

Kazimierz Żochowski

ARCHELWIA WSKODNIE

II/1049

... Ja drugiej takiej strony nie znajduję...  
czyli ARCHELWIA WSKODNIE po polsku

Warszawa, 27 marca 1990 r.

"... Można skazać, by każdy był dozgonnie nikim,  
lecz nie można, co usta, wyrwać słów z językiem..."

Tadeusz Kijonka

## O D A U T O R A

W mojej książce opisana jest cała prawda i tylko prawda. Zdecydowałem się ją napisać po z górą czterdziestu latach, tak więc pewne drobne szczegóły mogły się zatrzeć w mojej zawodnej - jak każda - ludzkiej pamięci. Nieścisłości mogą dotyczyć: dat, niektórych nazwisk obywateli radzieckich, nazewnictwa i innych nieistotnych spraw, które nie mogą mieć wpływu na meritum opisanych przeze mnie wydarzeń.

Pierwsze słowa tytułu książki oraz jej zakończenie zaczerpnąłem z refrenu popularnej, opiewającej piękno życia w Związku Radzieckim, piosenki pod tytułem : "Piesnia o roдинe" /Pieśń o ojczyźnie/ z muzyką I. Dunajewskiego i słowami W. Lebediewa-Kumacza: "Szyroka strana moja rodnaja, mnogo w niej lesow, polej i rzek ! Ja drugoj takoj strany nie znaju, gde tak wolno dyszyt czelowek" /Rozległy jest mój kraj ojczysty, wiele w nim lasów, pól i rzek ! Nie znam innego takiego kraju, gdzie tak swobodnie człowiek oddycha/.

Druga część tytułu: "Archipelag GUŁag" - / Głównoje Uprawlenie Łagerej czyli Zarząd Główny Obozów/- to tytuł książki o obozach w ZSRR napisanej przez Aleksandra Sołżenicyna.

Książka jest relacją moich osobistych przeżyć i moich dwóch kolegów, jak również opowiadań więźniów, z którymi odsiadywałem wyrok. Dotyczy : aresztowań dokonywanych w okresie stalinowskim przez służbę bezpieczeństwa wewnętrznego ZSRR, metod prowadzonego śledztwa oraz pobytu w więzieniach i łagrach przymusowej pracy.

Do czasu gorbaczowowskiej rewolucji sprawy te trzymane były przez władze radzieckie w ścisłej tajemnicy. Publikacje z tej dziedziny były w Związku Radzieckim, a także w Polsce, tematem "tabu".

Książka mogła się ukazać dzięki powstałej w ostatnich latach korzystnej sytuacji społeczno - politycznej w Polsce i w Związku Radzieckim, na którą - w pierwszym przypadku - miała wpływ działalność "Solidarności" z jej przywódcą Lechem Wałęsą na czele - i w drugim - "perestrojka i głasnost" zainicjowana przez Michała Gorbaczowa.

Adresuję ją przede wszystkim - choć nie tylko - do Młodego Czytelnika, żeby poznał i nigdy nie zapomniał tragedii swych ojców, jaką przeżyli w latach stalinowskiego terroru.

## SŁOWO O AUTORZE I JEGO KSIĄŻCE

Drogi Czytelniku, sądzę, że zainteresuje Cię nie tylko czteroletni wycinek życiorysu Autora opisany w niniejszej książce, lecz także pozostały okres jego bogatego w wydarzenia życia.

Kazimierz Żochowski, żołnierz Armii Krajowej, pseudonim konspiracyjny "Grab", mój szkolny kolega i późniejszy - aż do dnia dzisiejszego przyjaciel - Autor tych wstrząsających wspomnień o swej powojennej z górami czteroletniej gehennie w kazamatach stalinowskiego NKWD, urodził się 27 marca 1923 roku w Dęblinie.

Ojciec jego był zawodowym podoficerem 15 Pułku Piechoty "Wilków" w dęblińskiej Twierdzy.

Jego skrajnie zróżnicowane zainteresowania sprawiły, że - posiadając techniczne wykształcenie hutnicze - jest jednocześnie zawodowym piosenkarzem i konferansjerem. W czasie niemieckiej okupacji - w roku 1943 - debiutuje jako kompozytor i autor słów pisząc marsza partyzanckiego i partyzanckie tango. Obydwie melodie śpiewane były w kręgach dęblińskiego podziemia, a później również w Oddziałach Partyzanckich Armii Krajowej "Orlika" i "Zagończyka". Po wojnie komponuje dwie kolejne piosenki i pisze do nich słowa. Jest szybownikiem. W roku 1939 ukończył - z zamiarem wstąpienia do lotnictwa - kurs szybowcowy w Ustianowej.

Swe zainteresowania kulturą poszerza debiutując obecnie - jako Autor niniejszej książki - w zawodzie pisarza.

Jako szesnastoletni chłopiec wstępuje ochotniczo w 1939 roku do wojska. Dostaje się do niemieckiej niewoli, z której udaje mu się zbiec i powrócić do domu.

W listopadzie 1939 roku wstępuje do podziemnej organizacji Związek Walki Zbrojnej, późniejszej Armii Krajowej. Na początku 1940 roku zostaje wytypowany przez dęblińskie podziemie na przesz-



kolenie w zakresie pilotażu motorowego do Anglii, gdzie tworzyły się załążki polskiego lotnictwa wojskowego na emigracji. Przejście przez granicę nie powiodło się. Wraca do domu i kontynuuje dalszą działalność w ruchu oporu.

Pracując na lotnisku w Dęblinie, a następnie w dęblińskiej parowozowni zbiera materiały wywiadowcze o niemieckim lotnictwie i transportach kolejowych.

Na tajnych kompletach kończy szkołę podoficerską i podchorążych piechoty uzyskując stopień kaprała podchorążego.

W lutym 1944 roku rozbraja niemieckiego żołnierza - zabierając mu pistolet - i wstępuje do Oddziału Partyzanckiego AK "Orlik" operującego na terenie Obwodu Puławy.

Po około miesięcznym pobycie w Oddziale zostaje mianowany drużynowym. Bierze udział w akcjach na niemieckie obiekty wojskowe i administracyjne, grupy i pojedynczych niemieckich żołnierzy dla zdobycia broni, amunicji i żywności, a także w wywiadzie, ochronie rolników przed przymusowymi dostawami produktów rolnych dla Niemców, jak również w ściganiu i wymierzaniu kar osobom pochodzenia polskiego kolaborującym z okupantem.

Ze względu na dobrą znajomość języka niemieckiego uczestniczy w licznych akcjach w przebraniu niemieckiego żołnierza.

Biorąc udział w akcji "Burza" organizowanej przez dowództwo Armii Krajowej, która miała na celu udzielenie zbrojnego wsparcia powstańcom Warszawy, zostaje we wrześniu 1944 roku w drodze do Warszawy - wraz z dwoma kolegami z Oddziału AK "Orlik" Maciejem Burdzanowskim, pseudonim "Szczupak" i Zygmuntem Kulikiem, pseudonim "Zemsta" - aresztowany przez NKWD i osadzony w areszcie śledczym; następnie osadzony i skazany na dziesięć lat obozu pracy w ZSRR.

Prawie cztery lata przebywa i pracuje w łagrach syberyjskiej tajgi.

Gdy po powrocie do kraju ubiega się o pracę i pisze swój życiorys, wycina ten okres, zastępując rzeczywistość jakąś wymagowaną wstawką, aby - broń Boże - nie przyprawić o zdenerwowanie ówczesnej władzy, jakże bardzo uczulonej na to, co robił w przesz-

łości "zapłuty karzeł reakcji".

Gdy po 1956 roku z tymi sprawami zelżało, pisze już, że :  
"... w latach 1944 - 1948 - podczas pobytu w ZSRR - pracował  
w przemyśle drzewnym". Pomija tak "drobny szczegół", jak to, że  
był to obóz przymusowej pracy na Syberii /!/

Po powrocie, w listopadzie 1948 roku, do kraju przenosi się  
z Dębłina do Warszawy i tu podejmuje pracę. Przez ostatnie osiem  
lat pracuje w zespole hutnictwa Komisji Planowania przy Radzie  
Ministrów.

W czerwcu 1984 roku - korzystając z przysługującego mu prawa  
jako kombatant drugiej wojny światowej - przechodzi na wcześniejszą,  
o pięć lat, emeryturę.

Miłośnik warszawskich Łazienek. Za wieloletnią codzienną  
opiekę nad wiewiórkami i ptakami otrzymuje w roku 1985 odznakę  
"Honorowy Opiekun Łazienek" oraz w roku 1988 Złotą Odznakę Ligi  
Ochrony Przyrody.

Za udział w kampanii wrześniowej w roku 1939, w ruchu oporu  
podczas niemieckiej okupacji oraz w partyzantce otrzymał następu-  
jące odznaczenia: Odznakę Pułkową 15 Pułku Piechoty "Wilków" ,  
Medal Zwycięstwa i Wolności, Krzyż Partyzancki oraz Krzyż Walecz-  
nych i Krzyż Armii Krajowej, które otrzymał z Londynu.

x

x

x

W mojej relacji o Autorze książki - zresztą tak, jak to  
uczynił on sam i jak to zapewne dostrzeże Czytelnik - pominąłem,  
relacjonując jego życiorys, takie słowa jak: "bohaterski", "pat-  
riotyczny" i temu podobne przymiotniki. Przytoczyłem jedynie su-  
che, lecz autentyczne fakty. Właściwy osąd tego, co napisałem  
oraz przedstawił Autor książki, pozostawiam Czytelnikowi...

Brak jakiegokolwiek epatowania martyrologią i wystrajania  
faktów w wymiar heroiczny dlatego właśnie poraża i wstrząsa.

Tę relację o wydarzeniach wręcz niewiarygodnych z lat czerw-  
nego terroru czyta się z zapartym tchem.

Z czystym sumieniem polecam gorąco Wszystkim - bez wyjątku -

tę niezwykłą opowieść, spisana zrozumiałym dla każdego, łatwym, a nie pozbawionym uroku językiem, przy tym prostym, a jakże pięknym.

Warto przejść razem z Autorem przez to piekło i najgłębszy upadek ludzkości, by dołączyć do grona tych, którzy głoszą: "Nigdy więcej wojny ni faszysmu pod żadnym, w tym także czerwonym, kolorem /!/"

Józef Głogowski

b. zastępca naczelnego redaktora  
"DZIENNIKA LUDOWEGO"



Autor w styczniu 1944 roku, przed wstąpieniem do partyzantki.



## A R E S Z T O W A N I E

Po przełomowych zwycięstwach armii radzieckiej w bitwach pod Leningradem, Moskwą i Stalingradem oraz klęską sprzymierzonych wojsk "Osi"<sup>x/</sup> w Afryce, na Bałkanach, we Włoszech i w bitwie o Anglię rozpoczął się odwrót wojsk niemieckich i włoskich w Europie i Afryce ze wszystkich zajętych uprzednio terytoriów.

W czerwcu 1944 roku zostały zajęte przez wojska radzieckie i polskie, między innymi, Chełm lubelski i Lublin, a 25 lipca miasteczko Ryki koło Dębłina, centrum naszych partyzanckich operacji.

Połowa terytorium przedwojennej Polski została wyzwolona z trwającej od pięciu lat niemieckiej okupacji.

1 sierpnia wybuchło w Warszawie powstanie zainspirowane przez dowództwo Armii Krajowej, które miało na celu przyśpieszenie oswobodzenia stolicy.

W związku z nieudzieleniem powstańcom Warszawy skutecznej pomocy przez wojska radzieckie, które - po zdobyciu Pragi - znajdowały się na wschodnim brzegu Wisły i niedopuszczenie oddziałów AK, podążających z odsieczą, powstanie zaczęło się załamywać.

W połowie sierpnia dowództwo Armii Krajowej wydało rozkaz niektórym oddziałom partyzanckim udzielenia powstańcom czynnego wsparcia zbrojnego. Operacja odbywała się w ramach akcji "Burza" zainicjowanej przez Armię Krajową w styczniu 1944 roku mającej na celu współdziałanie z Armią Czerwoną w wyzwolaniu Polski.

---

x/ "Oś" - przymierze wojskowe Rzym - Berlin - Tokio.

Z naszego oddziału wytypowanych zostało pięćdziesięciu partyzantów. Maszerowaliśmy w kierunku Warszawy grupami po kilka osób, wioząc ze sobą na wozach konnych uzbrojenie i amunicję oraz materiały opatrunkowe. W mojej grupie był Maciek Burdzanowski, pseudonim "Szczupak" i Zygmunt Kulik, pseudonim "Zemsta".

20 września we wsi Dąbia Nowa, na północ od Ryk w kierunku Warszawy, na kwaterze u rolnika nazwiskiem Jan Głodek zostaliśmy zatrzymani przez funkcjonariuszy NKWD.<sup>x/</sup>

Kolegów, z którymi zostałem aresztowany, znałem od lat dziecięcych. Wszyscy trzej pochodziliśmy z Dębłina. Maciek i jego brat Wiesiek byli w oddziale moimi najbliższymi przyjaciółmi.

Maciek niewysoki, szczupły. Włosy miał blond, oczy niebieskie i lekko zadarty nos. Znaliśmy się - jak to się mówi - od dziecięcej piaskownicy, jeszcze z dęblińskiej Twierdzy, w której mieszkaliśmy od urodzenia do wybuchu wojny. Razem wstąpiliśmy ochotniczo do wojska w 1939 roku. Przez okres niemieckiej okupacji pracowaliśmy przez dłuższy czas na Lotnisku w Dęblinie. Spotykaliśmy się po pracy w gronie naszych wspólnych znajomych niemal codziennie. Przez wszystkich lubiany. Zawsze pogodny, pełen błyskotliwego humoru.

Pamiętam, gdy przy jakiejś uroczystości, przy suto zastawionym stole, rozmowa potoczyła się na temat: "alkohol" i każdy z nas wypowiadał swoje zdanie o warościach smakowych poszczególnych trunków, Maciek powiedział: -Ja jeszcze w życiu złej wódki nie piłem...

Zygmunt, również szczupły i niewysoki, blondyn o niebieskich oczach. Syn kolejarza. Mieszkał w osiedlu przy stacji kolejowej. Charakter nieskomplikowany. Prostolinijny, lojalny i obowiązkowy. Poznałem go bliżej dopiero w partyzantce. Był moim zastępcą. /Pełniłem w oddziale funkcję drużynowego/.

Obaj bojowi i ofiarni. Wspaniali żołnierze.

W naszym oddziale wszyscy byli ofiarni i bojowi. Pamiętam nasze ciągłe wielokilometrowe marsze - najczęściej nocne. Szczególnie

---

NKWD - Narodnyj Komissariat Wnutrniennych Dieł /Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych/

w terenie, po piaszczystych drogach były bardzo wyczerpujące. Konieczność ciągłego przemieszczania oddziału miała na celu zatarcie śladów i uniknięcie dekonspiracji. Na kilku podwodach, które służyły do transportu żywności, sprzętu oraz cięższej broni i amunicji, mieli prawo przysiąść jedynie słabi i chorzy - po uzyskaniu specjalnego zezwolenia od dowódcy. Bardzo często w takich sytuacjach "chorych i "słabych" było o wiele więcej, aniżeli mogły pomieścić podwozy. Gdy jednak następnego dnia, po nieprzespanej nocy, dowódca werbował ochotników do jakiejś akcji i wydał komendę: chorzy wystąp ! - wszyscy stali murem na miejscu. Gdy padła komenda: ochotnicy wystąp ! - wystąpili wszyscy.

Wybacz Szanowny Czytelniku, że się tak zagalopowałem i jeszcze trochę, a kontynuowałbym nowy temat: "Walki partyzanckie". Zamierzam napisać książkę o tej tematyce, jeżeli uda mi się mój obecny debiut?... ale teraz już ad rem - jak mawiali starożytni:

Był wczesny ranek. Dzień był pochmurny i dżdżysty. Siedzieliśmy przy stole w kuchni. Gospodyni podała śniadanie. Gospodarz krzątał się po podwórzu. Przez okno dostrzegliśmy, jak pies, który siedział do tej pory spokojnie, wyskoczył nagle z budy i zaczął nerwowo ujadać. Gospodarz podszedł do płotu; po chwili wbiegł zdenerwowany do kuchni.

- Panowie ! - krzyknął - Ruscy otaczają dom ! Są już blisko. Ukryjcie się gdzieś; może na strychu, albo tu - patrzcie... Otworzył drzwi do sieni, zerwał chodnik z podłogi i pokazał nam dobrze zamaskowane wejście do piwnicy...

- A co z wozem ?... - powiedziałem. Co im pan powie, gdy odnajdą ładunek ?

- O tym nie pomyślałem - odparł zakłopotany.

Wskoczyliśmy szybko do pokoju, skąd widać było pole poza ogrodzeniem.

Zabudowania usytuowane były luźno na polu. Była to tak zwana kolonia.

Zbliżali się wolno, w pełnej gotowości bojowej. Od zagrody dzieliło ich około czterdziestu metrów. Z ich zachowania widać było, że nie sprowadza ich tu przypadek, lecz jest to



akcja zaplanowana.

-Trzeba stworzyć pozory normalnej sytuacji - powiedziałem. Każdy z nas musi się czymś zająć...

- Kazik ma rację - poparł mnie Zygmunt. - Ja idę do stodoły. Dajcie wasze "gnaty", ukryję w słomie.

Wyciągnęliśmy pośpiesznie pistolety i oddaliśmy Zygmuntowi. Wolnym krokiem poszedł w kierunku stodoły.

- Ja idę do ustępu, choć mi się nie chce... - rzekł Maciek.

Humor go nigdy nie opuszczał; nawet w takiej sytuacji.

Ja zdecydowałem się pozostać w kuchni. Zabrałem się do robienia papierosów. Gospodyni sprzątała ze stołu. Gospodarz wyszedł na podwórze.

- Może nie będą plądrowali wozu - pomyślałem. Wyglądał "normalnie". Ładunek przykryty był ~~gnatą~~ warstwą słomy.

Za chwilę na podwórze weszło kilku żołnierzy. Podeszli do gospodarza. O coś go wypytywali?... Zachował zupełny spokój. Po chwili rozbiegli się po zabudowaniach. Jeden z nich wszedł do kuchni. Spojrzał na mnie i:

- Pan, wychodź na dwór ! - rozkazał, trzymając skierowaną <sup>x/</sup> we mnie pepeszę

Wyszedłem z chaty. Za chwilę dołączył do mnie Zygmunt, a po chwili Maciek.

Pobieżnie nas zrewidowali i kazali pozostać na miejscu.

- Komandir, idi siuda ! krzyknął ten, który plądrował stodołę. Nogi się pode mną ugięły...

- Poszli ! - padła komenda.

Część żołnierzy pozostała na podwórzu. My zostaliśmy odprowadzeni do zagrody innego rolnika we wsi Dąbia. Zastaliśmy tu kilka zatrzymanych uprzednio cywilnych osób. Stali w szeregu. Pilnowani byli przez otaczających ich wokół żołnierzy. Nie dostrzegłem wśród nich nikogo ze znajomych.

W odległości około piętnastu metrów stał oficer NKWD w asyście dwóch cywili. Rozmawiali ze sobą cicho, co chwila na nas spoglądając. Docierały do nas jedynie niektóre słowa rozmowy. Jeden z cywili rozmawiał z oficerem po rosyjsku; ze sobą porozumiewali

x/ Pepesza - automatyczny pistolet maszynowy.



się po polsku.

Po upływie kilkunastu minut wszyscy uprzednio zatrzymani zostali zwolnieni. Nas trzech załadowano na platformę ciężarowego samochodu wojskowego; wraz z nami dwóch żołnierzy eskorty. Kazano nam usiąść na podłodze, nie wstawać i nie rozmawiać.

Po kilku minutach jazdy - gdy żołnierze zajęci byli jakąś rozmową- Maciek powiedział szeptem:

- O naszym aresztowaniu Głodek na pewno powiadomi kogo trzeba, ale nie możemy go sypać. Musimy utrzymywać, że o niczym nie wiemy - działał, a my przedstawiliśmy się mu jako uciekinierzy...

- Małczy pan ! Razgovor zaprzeszczon ! - wrzasnął jeden z wartowników i po chwili dodał: wot kakije ; my za nich krow pereliwajem, a oni faszysty!...

- Pan za pana chowaj sia - powiedział drugi, śmiejąc się od ucha do ucha.

Nie zrozumiałem sensu tych słów ...

Przywieziono nas do wsi Bazanów Stary i ulokowano w ziemiankach; każdego osobno.

Znałem tę wieś i jej okolice. Był to obszar naszych partyzantskich operacji.

Dokonano nam powtórnej - tym razem szczegółowej - rewizji. Odebrano mi zegarek, pieniądze i maszynkę do golenia. Były to, według nich, przedmioty "zagrożające bezpieczeństwu" /?!/

Znajdowało się tu kilka piwnic wykopanych w ziemi, pokrytych deskami, z klapą do wyjścia. Cały teren, ogrodzony płotem z drutu kolczastego, strzegło dwóch strażników. Był to areszt śledczy, tak zwana KPZ' <sup>x/</sup>

Zostałem ulokowany w ziemiance, w której przebywali już trzej radzieccy oficerowie: major Bogdanow, kapitan Nowakszonow i kapitan Siergiej Pietrow.

O naszym aresztowaniu gospodarz Głodek natychmiast powiadomił dowódcę Obwodu Zygmunta Żebrackiego /pseudonim "Żeliwa"/.

Wywiad AK ustalił jeszcze tego samego dnia miejsce naszego pobytu i powiadomił moich rodziców w Dęblinie.

Mama wyruszyła wczesnym rankiem następnego dnia do Bazanowa.

x/ KPZ' - Kamera Przedwariantelnego Zakliuczenia /Cela aresztu tymczasowego/



Dąbia Nowa, dom nr 6 rolnika Jana Głodka /miejsce aresztowania/.  
Właściciel gospodarstwa z lewej strony, autor z prawej.

- Mam już osiemdziesiąt pięć lat - mówi Jan Głodek - ale bardzo dobrze pamiętam, gdy was tu u mnie w czterdziestym czwartym aresztowali. Miałem wtedy czterdzieści lat. Też jestem Akowcem. Pamiętam, jak dom otoczyli i was trzech zabrali; i ten wóz w stodole pełen broni i amunicji. Bardzo się wtedy bałem. Dobrze żeście mnie nie wydali, bo pojechałbym razem z wami. Dom to już nie ten, co był wtedy. Tamten był drewniany. Ale ten, nowy stoi w tym samym miejscu.



Bazanów Stary, dom nr 7. Miejsce, gdzie znajdowały się ziemianki KPZ'ów. Z lewej strony Czesław Rybak, autor z prawej.

- Mieszkam teraz w Rykach na osiedlu Jankowszczyzna, dom nr 1 - mówi Czesław Rybak, były właściciel tego gospodarstwa. Dwadzieścia lat temu sprzedałem tę ziemię. Stodoły wówczas nie było; było pole. Tu, gdzie teraz stoimy, wykopali kilkanaście ziemianek. Ziemię mi zrujnowali, ale - na szczęście - było już po żniwach. Cały teren ogrodzony był płotem z drutu kolczastego. Był pilnowany. Nie pozwalali zbliżyć się do płotu nawet nam - miejscowym.'



Osiemnaście kilometrów drogi przebyła w znacznej części pieszo. Dotarła na miejsce około południa. /Były to wówczas tereny przyfrontowe i nie było tu żadnej stałej komunikacji/.

Wynajęła łóżko u rolnika w chacie w pobliżu naszych ziemianek. Całymi dniami stała przed domem i obserwowała teren KPZ'ów nadziei, że mnie zobaczy. Szansa istniała tylko wówczas, gdy wychodziłem z ziemianki na wezwanie NKWD lub do ustępu.

NKWD odmówiło mamie widzenia się ze mną do czasu zakończenia śledztwa.

Tego dnia po aresztowaniu zostałem wezwany na przesłuchanie. Gdy byłem już na powierzchni, usłyszałem głos mamy:

- K a z i u ! - krzyknęła.

Spojrzałem w stronę skąd dochodził głos. Ujrzałem mamę z uniesionymi ramionami.

- K a z i u ! - powtórzyła.

Nie odpowiedziałem; słowa ugrzęzły mi w gardle. Stałem i patrzyłem na mamę, nie wiedząc jak się zachować...

O tym zadecydował wartownik:

- Postoj ! - wrzasnął chwytając za pepeszę. Schodi w ziemianku ! - dodał, pokazując mi klapę mojego "mieszkania".

Spojrzałem jeszcze raz na mamę, pomachałem ręką, aby wiedziała, że ją zauważyłem i wszedłem do ziemianki.

- Co z tobą ? - Dlaczego cię zawrócili ? - zapytał zdziwiony Siergiej.

Nie słyszeli głosu mamy; nie dotarł do ziemianki. Wartownika słyszeli doskonale.

- Mama przyszła - wykrztusiłem. Nie mogłem nic więcej powiedzieć. Nie płakałem. Łzy płynęły mi po twarzy mimo mej woli.

- No, ty nie płacz - pocieszali mnie.

W dalszym ciągu nie mogłem wypowiedzieć słowa. Przed oczyma miałem wciąż mamę z wyciągniętymi do mnie ramionami.

Przesłuchanie zostało odłożone.

Następnego dnia po śniadaniu wartownik otworzył klapę ziemianki i zawołał:

- Żachowski, wychodzi !





Bazanów Stary, dom nr 6. Miejsce przesłuchań , sądu i kwatery dowództwa NKWD. Z            strony gospodarz, z            Czesław Rybak, autor w środku.

- To ten sam dom, który był tu w czterdziestym czwartym - mówi Kazimierz Iwanek właściciel gospodarstwa. Ojciec, który tu wtedy mieszkał, już nie żyje. Opowiadał, że w naszym domu mieścił się sztab NKWD. Tu przesłuchiwali i sądzili. Słychać było krzyki, gdy przesłuchiwali. Do ziemianek było stąd blisko; tylko przez drogę.

Spojrzałem odruchowo w stronę, gdzie wczoraj stała mama. Tym razem nie było jej przed domem. Po podwórku domu, do którego zostałem wezwany na przesłuchanie krzątali się domownicy; ukradkiem mnie obserwowali.

Wprowadzony zostałem do pokoju w wiejskiej chacie, znajdującej się najbliżej naszych ziemianek. Za stołem siedział oficer; nie przejawiał najmniejszego podniecenia...

- Siadaj tu - powiedział - pokazując mi stojące po drugiej stronie stołu krzesło.

Oślupiałem, słowa były wypowiedziane najczystszą polszczyzną.

Przesłuchanie rozpoczął od rutynowych pytań: nazwisko, imię, imiona rodziców, rok i miejsce urodzenia. Osobne pytanie dotyczyło mojego pseudonimu, który używałem w konspiracji.

- "Grab" - odpowiedziałem.

- Zgadza się - potwierdził.

Byłem zaskoczony. - Skąd znali mój pseudonim, i to natychmiast po aresztowaniu?... /Działały na terenie Dęblina i okolic komunistyczne grupy N. Paramonowa i J. Granstofa.../

Kapitan Mazurek - takie miał nazwisko przesłuchujący mnie oficer śledczy - twierdził, że jest Ukraińcem i że jego znajomość języka polskiego pochodzi stąd, że do roku 1939 wychowywał się w Polsce. Jest absolwentem technikum budowlanego w Radomiu.

W pokoju poza Mazurkiem i mną nie było nikogo. Sam zadawał pytania i robił notatki.

Ja mam pytanie do pana - jeśli można - powiedziałem, zwracając się do Mazurka.

- Słucham - odpowiedział, spoglądając na mnie z zaciekawieniem.

- Dlaczego władze radzieckie trzymają nas w areszcie, a nie przekażą władzom polskim, które działają już na wyzwolonym terenie?

- Zostało podpisane Porozumienie<sup>x/</sup> pomiędzy rządami polskim i radzieckim, które przewiduje, że każdy, kto popełnił przestępstwo w strefie przyfrontowej będzie sądzony przez władze radzieckie.

- Szkoda - pomyślałem - że nasz rząd tak "zatroszczył się" o swych obywateli /?!/

x/ 26 lipca 1944 r. podpisane zostało w Moskwie pomiędzy PKWN a rządem sowieckim Porozumienie, na mocy którego, w myśl Artykułu pierwszego, który głosił, iż "W strefie działań wojennych na terytorium Polski po wkroczeniu wojsk radzieckich, władza najwyższa i odpowiedzialność we wszystkich sprawach dotyczących prowadzenia wojny, w okresie czasu niezbędnego dla przeprowadzenia operacji wojennych, koncentruje się w rękach wodza naczelnego wojsk radzieckich". Artykuł 7 dotyczył jurysdykcji radzieckiego wodza naczelnego, któremu podlegali wszyscy, którzy popełnili przestępstwa w strefie operacji wojsk radzieckich.



- Kto jest dowódcą oddziału partyzanckiego, w którym działa -  
łeś i gdzie się teraz znajduje ? - padło pierwsze, konkretne pyta-  
nie, tym razem pod moim adresem.

- "Orlik"<sup>x/</sup> - odpowiedziałem bez wahania. - Gdzie jest teraz  
nie wiem. Bardzo dawno go nie widziałem.

- "Orlik", to pseudonim, a jakie jest jego nazwisko ?

- Nie wiem. W oddziale obowiązywały wyłącznie pseudonimy.

W tym czasie wszedł do pokoju inny oficer. Stał obok stołu  
i bacznie mnie obserwował.

- Nazwisk kolegów, z którymi zostałeś aresztowany, też nie  
znasz ? - zapytał Mazurek, spoglądając na mnie badawczo.

- Nie, nie znam - odpowiedziałem zdecydowanie.

Na twarzy przybyłego pojawił się ironiczny uśmiech.

- Będziesz mówił prawdę, albo ?!... - wrzasnął przybyły i za-  
mierzył się na mnie pejcem.

Wstrzymałem oddech, i powtórzyłem:

- Nie znam ich nazwisk.

- Kładź się na podłogę! - krzyknął.

Zadał mi silny cios

w pośladek. Zacisnąłem zęby...

Zamierzył się powtórnie, lecz mnie nie uderzył i:

- Wstawaj - powiedział po chwili namysłu.

Otworzył drzwi sąsiedniego pokoju i wprowadził Maćka.

- On twierdzi, że cię zna jeszcze sprzed wojny - włączył się  
Mazurek - i że wszyscy trzej pochodzicie z Dęblińska, a także, że  
znacie swoje nazwiska. - Znaliście się już dawniej, czy poznaliś-  
cie się dopiero w partyzantce ? - zapytał, zwracając się tym razem  
do Maćka.

- Tak - odpowiedział Maciek - znaliśmy się jeszcze przed wojną.

- "Et tu Brute ?!..." - pomyślałem załamany. Poczułem się  
jak bezradne, usidlone zwierzę. Znałem Maćka, jako dobrego kolegę,  
uczciwego człowieka i bojowego żołnierza, a tu ?!..

Dostrzegł na mojej twarzy wyraz doznanego zawodu i powiedział  
zwracając się do mnie:

- Kazik, oni i tak wszystko o nas wiedzą; nie ma sensu czego-

---

x/ "Orlik" - Marian Biernaciek - dowódca Oddziału Partyzanckiego  
AK operującego na terenie Obwodu Puławy.

kolwiek ukrywać.

O nic więcej Maćka nie pytali. Wyprowadzili go.  
Mazurek triumfował...

- Będiesz teraz mówić prawdę ?

- Tak - odpowiedziałem.

Oficer, który włączył się do śledztwa wyszedł z pokoju.

Pamiętałem o jednym - ustaliliśmy to w drodze do KPZÉ- nie sypać gospodarza Głodka ! Był Akowcem i znał doskonale cel naszej podróży.

Padło również takie pytanie. Oświadczyłem wówczas, że gospodarz o niczym nie wiedział. Przedstawiliśmy się mu jako uciekinierzy, których olbrzymie rzesze - szczególnie mieszkańców znad Wisły, gdzie utrzymywał się front - opuszczały swoje domy i przemieszczały się na wschód. Większość lokowała się na wsi, gdzie było stosunkowo bezpiecznie i łatwiej o żywność.

Tłumaczenie takie miało wiele cech prawdopodobieństwa.

Deklamowałem życiorys kilkakrotnie - także w czasie następnych przesłuchań. Wszystko skrupulatnie zapisywał i - jak zauważyłem - gdy ponawiał zadawane mi uprzednio pytania, sprawdzał, czy moje odpowiedzi pokrywają się z tym, co mówię obecnie. Jednym z podstawowych było pytanie, dlaczego nie wstąpiłem do wojska, pomimo wydanych zarządzeń ? Zaimponowałem mu - jak zauważyłem - gdy odpowiedziałem, że nie chciałem złamać przysięgi, jaką złożyłem na wierność mej organizacji.

- Pan też przysięgał dochowanie wierności swojej ojczyźnie i armii - powiedziałem, spoglądając na Mazurka w oczekiwaniu na reakcję, jaką wywarło na nim moje oświadczenie ?

-Twoja odpowiedź jest szczerą, podoba mi się - powiedział.-  
Wszyscy, których do tej pory przesłuchiwałem, tłumaczyli się, że nie czytali ogłoszeń.

Zadawał mi pytania dotyczące okresu sprzed 1939 roku. Zauważyłem, że nie interesowały go szczegóły. Byłem wówczas jeszcze młodym chłopcem. Odnotował jednak fakt mojej przynależności do harcerstwa i Przysposobienia Wojskowego. Zapisał także dane o moich rodzicach.



Zapytał mnie również dlaczego wstąpiłem właśnie do Armii Krajowej, skoro w konspiracji działały także inne organizacje ?

- Nie słyszałem o istnieniu jakiegokolwiek innej organizycji w Dęblinie i najbliższej jego okolicy. O BCh i AL dowiedziałem się dopiero w lutym 1944 roku, gdy wstąpiłem do partyzantki.

Pierwsze przesłuchanie trwało około dwóch godzin. Pomimo, iż Mazurek prowadził je spokojnie, poczułem się bardzo wyczerpany.

Gdy znalazłem się ponownie w ziemiance, powróciłem myślami do postawy Maćka, którą mnie tak bardzo zaskoczył. Po głębszym przemyśleniu doszedłem jednak do wniosku, że ujawnione przez niego szczegóły są tak nieistotne, że nie mogą stanowić, w naszej sytuacji, żadnego dodatkowego obciążenia. Podstawowym zarzutem było posiadanie broni i niewstąpienie do wojska.

Współtowarzysze z ziemianki nie przejawiali zainteresowania tym, o co byłem pytany. Zachowywali się tak, jakby się nic szczególnego nie wydarzyło. Sądziłem zapewne, że z mojej relacji i tak by niewiele zrozumieli. Moja znajomość języka rosyjskiego była wówczas prawie żadna.

Mówiłem do nich po polsku, oni natomiast po rosyjsku. Początkowo, gdy nie rozumiałem wielu słów, porozumiewaliśmy się z zastosowaniem najbardziej niezawodnej w takich przypadkach gestykulacji. Z każdym dniem z moim rosyjskim było coraz lepiej. Tekst polski wzbogacany był o coraz więcej nowych słów. Było to jednak w dalszym ciągu takie polsko - rosyjskie "esperanto".

Pamiętam, gdy podczas pierwszego dnia mego pobytu w ziemiance, chcąc wyjść do ustępu, zwróciłem się do wartownika "per pan", odburknął:

- Jaki ja dla ciebie pan ?! - Gdy po chwili użyłem słowa "towarzysz", replika była ta sama: jaki ja dla ciebie towarzysz ?! - warknął obrażony.

Zgłupiałem ?!..

Z tej, jak mi się wydało, sytuacji bez wyjścia, uratował mnie major Bogdanow:

- Słuchaj - powiedział spokojnym głosem - my jesteśmy aresztantami; do niego należy się zwracać "grażdanin".!

Teraz nie było przeszkód...

Gdy jako tako oswoiłem się z sytuacją, częściej włączałem się do rozmowy. Opowiadałem o moim dzieciństwie, o rodzicach, trudnych latach okupacji, o ruchu oporu i partyzantce. Zaciekawiała ich bardzo moja relacja o jeńcach radzieckich w dęblińskiej Twierdzy. Opowiedziałem kolejno wszystkie walki naszego oddziału, które miałem świeżo w pamięci. Dużą rolę w niektórych akcjach odgrywała znajomość języka niemieckiego.

Z nauką języków w szkole radziłem sobie nieźle. W czasie okupacji zachęcony przez mych zwierzchników z podziemia powiedzeniem: "chcesz poznać wroga, poznaj jego język", uczyłem się pilnie niemieckiego. Pracując na Lotnisku w Dęblinie, a następnie w dęblińskiej parowozowni, miałem częste okazje potwierdzenia czynionych w tej dziedzinie postępów. Uczyłem się słówek, czytałem szkolną lekturę i niemieckie okupacyjne gazety. Otrzymywałem je od Niemców, z którymi pracowałem. Wyzywało to u nich przekonanie, iż nie jestem aż taki bardzo "verfluchte Pole", skoro interesują mnie wiadomości podawane w ich gazetach.

Opowiadałem o akcjach w przebraniu niemieckich żołnierzy. Miałem w nich spory udział z uwagi na dobrą już wówczas znajomość niemieckiego. Do tego celu służyło mi kilka mundurów niemieckich formacji wojskowych, które zakładałem w zależności od sytuacji.

Opowiadań tych słuchali z dużym zainteresowaniem. Nawet Nowak-szonow, nie udzielający się zbyt towarzysko, był wtedy obecny.

Gdy wepchnięto mnie po raz pierwszy do ziemianki, potraktowali mnie jak intruza, a może wroga. Po kilku dniach stosunek zmienił się na poprawny, nawet grzeczny.

Spory udział w zmianie nastawienia miały zapewne paczki żywnościowe od mamy, którymi dzieliłem się z nimi jak z braćmi.

Nasze kazonne wyżywienie było nadzwyczaj skromne: rano kipjatki czyli wrzatek i 300 gramów chleba, na obiad rzadka baranda czyli zupa bełtuga i na kolację kipjatki. Żywność od mamy stanowiła więc podstawę naszej egzystencji.

Na widzenie ze mną mama nie otrzymała zezwolenia. W przekazywaniu paczek nie czyniono ograniczeń. Moje prośby o żyw-

ność oraz paczki przekazywali pilnujący nas żołnierze. Mama hojnie ich za to obdarowywała; najczęściej bimbrem. Trunek ten bardziej skutecznie, aniżeli jej łzy, wpływał na złagodzenie obowiązujących rygorów.

Spore - jak na jednego - ilości żywności topniejące w naszej ziemiance wydawały się mamie nieprawdopodobne. Sądziła, że nie wszystkie przesyłki są mi doręczane. O tym, że dzieliłem się nią z moimi współtowarzyszami, dowiedziała się dopiero podczas naszego pierwszego widzenia i - sprawa się wyjaśniła.

Pamiętam, gdy otrzymałem pierwszą paczkę; rozpakowałem ją pospiesznie i zabrałem się do jedzenia. Choć udawali, że nie zwracają na mnie uwagi, czułem ich wzrok na rozłożonych na moim posłaniu "przysmakach". Przełknąłem kilka kęsów i:

- Proszę - powiedziałem, zapraszając ich do wspólnego "stołu".
- Częstujcie się, panowie.

Nie było tu żadnego mebla. Posłanie służyło nie tylko jako miejsce do spania; zastępowało również stół i krzesła. Po ziemiance można się było poruszać jedynie na kolanach.

Wszyscy zajęli się przygotowaniem kanapek. Szło nam bardzo sprawnie. Był chleb, ciasto, mięso, smalec i papierosy.

W ziemiance poweselało, a ja poczułem się tu po raz pierwszy w roli gospodarza.

Papierosy palił tylko Bogdanow i ja. Ograniczaliśmy sobie tę przyjemność; papierosy były bowiem wówczas na rynku artykułem bardzo trudnym, a także nie chcieliśmy niepalącym kolegom i sobie psuć i tak niezbyt świeżego w ziemiance powietrza.

Jeden raz w tygodniu wyprowadzali nas do domu sąsiadującego z nami gospodarza, abyśmy mogli się ogolić i umyć. Toaleta - czyniona w pośpiechu - była bardzo powierzchowna. O kąpieli całego ciała nie było mowy.

- Ruszajcie się, drudzy czekają! - ponaglali opiekunowie.

Po upływie około tygodnia od naszego aresztowania - gdy pewnego dnia wychodziłem na kolejne przesłuchanie - dostrzegłem we władze sąsiedniej ziemianki znajomą twarz. Był to Zygmunt Kęska,



pseudonim "Świt", kolega z oddziału. Znałem go doskonale; pochodził z Dębłina. On dostrzegł mnie również.

- Kazik ! - zawołał.

- Cześć Zygmunt; - i ty także ?...

- Nie rozmawiać ! - wrzasnął wartownik.- Idź, idź ! - ponaglał, abym się nie zatrzymywał.

Następnego dnia ujrzałem twarz Zygmunta w otworze naszej ziemianki. Wsypał naręcze porąbanych na opał drzewa. Jeden kawałek rzucił oddzielnie i szepnął:

- Przeczytaj i odpowiedz...

Na jego gładkiej powierzchni wypisał datę i miejsce swego aresztowania. Doszedł dalej niż my: w okolice Garwolina. Prosił, abym tą samą drogą powiadomił go, o co pytają w czasie śledztwa i co z nami zamierzają uczynić ?

Jak się okazało, dostrzegł obecność Maćka i Zygmunta.

O formie prowadzonych przesłuchań i rodzaju zadawanych pytań przekazałem Zygmuntowi informację następnego dnia, gdy zgłosiłem się - ochotniczo - do rąbania i roznoszenia drzewa. O naszym dalszym losie nic mu nie mogłem konkretnego powiedzieć...

Moi radzieccy towarzysze, choć widzieli całą tę "operację", nie zadenuncjowali mnie swym władzom. Odniosłem wrażenie, że zaczęli mnie traktować zupełnie jak swego.

Opowiedzieli mi kolejno swoje życiorysy. Niektóre szczegóły zapamiętałem i mogę Czytelnika z nimi zapoznać:

Kapitan Nowakszonow, lat około trzydziestu; szczupły, średniego wzrostu; miał ciemne gęste włosy i śniadą cerę. Pochodził ze wschodniej Syberii. Powołany został do wojska w czasie wojny.

U nas jest tylko dziewięć miesięcy zimy, a reszta to lato - ma wiatr, jakby był z tego dumny. - Mrozy bywają silne, ale nie ma wiatru. Klimat jest bardzo zdrowy. Ludzie prawie wcale nie chorują, a gdy zachorują, leczą się sami. Z lekarzem mają kontakt tylko wówczas, gdy trafią do szpitala. Opowiadał o swoich myśliwskich sukcesach; jak kiedyś udało mu się upolować niedźwiedzia, a innym razem tygrysa. Skóry tych zwierząt zdobią dziś ściany jego mieszkania.

Udział w wojnie bardzo mu nie odpowiadał. Po prostu nie chciał narażać życia. Tęsknił wciąż za swą rodziną i ukochaną tajgą. Czuł się źle w miejskiej aglomeracji i całej tej - jak twierdził - zbyt zmechanizowanej dzisiejszej cywilizacji, szczególnie na wojnie. Pewnego dnia, załamany i zdesperowany, zranił się z własnego pistoletu w nogę, symulując postrzał w ataku. Z frontu wycofali, lecz sprawę rozszyfrowali. Jako samostrel i "wróg sowieckiego narodu" miał teraz wrócić na Syberię, ale już w innym charakterze i do innych warunków.

Major Bogdanow, lat około czterdziestu. Zawodowy wojskowy. Średniego wzrostu, krępej budowy ciała, blondyn z lekką czołową łysiną. Pochodził z jednego z miast na Uralu. W swym pułku był intendentem; odpowiadał za wyżywienie. Duża to była - jak twierdził - odpowiedzialność. Prowiantu wciąż było za mało. Poprawiło się znacznie, gdy zaczęli pomagać Amerykanie. Swinnaja tuszonka i inne produkty uratowały trudną sytuację.

W podległych mu magazynach znajdowały się również napoje alkoholowe, które wydawał wyłącznie na polecenie dowódcy pułku. Nie wszystkie były na piśmie, i to go właśnie zgubiło. Remanent wykazał niedobór dwustu litrów. Śledztwo było jedynie formalnością. Wyrok dziesięć lat /!/

Od najmłodszych lat służył w wojsku. Walczył na froncie od samego początku wojny. -Ot widzisz, postąpisz sto razy dobrze, a tylko jeden raz źle i wszystko przepadło - mówił z żalem.

Miał wiele odznaczeń, w tym również frontowych.

Najmłodszym z nich był dwudziestoletni - mój rówieśnik - kapitan artylerii Siergiej Stanisławowicz Petrow. Student. Powołany do wojska w czasie wojny. Do ziemianki trafił i otrzymał siedmioletni wyrok za to, że prowadząc w stanie nietrzeźwym samochód ciężarowy wjechał do przydrożnego rowu i spowodował śmierć stojącego na stopniach szoferki, również pijanego żołnierza. Wojak przygnieciony został platformą samochodu. Pomimo natychmiastowej pomocy, po kilku godzinach zmarł. Wypadek wydarzył się, gdy Siergiej wracał na kwaterę od polskiej dziewczyny, córki kierownika szkoły z sąsiedniej wsi, w której - jak twierdził - bardzo się zakochał

i zamierzał ją, gdy tylko się skończy wojna, poślubić. On również podobał się dziewczynie. Jej rodzice wyrazili zgodę na ten związek. Rozłąkę z nią przeżywał bardziej, niż przysądzony mu wyrok, którego - jak miał nadzieję - nie przyjdzie mu w całości odsiadywać.

Trudno się dziwić, że Siergiej mógł się dziewczynie podobać. Był wysoki - wzrost ponad sto osiemdziesiąt centymetrów; włosy blond; oczy niebieskie. Typ urody raczej nordycki, aniżeli słowiański. Rysy twarzy regularne. Był przystojnym mężczyzną. Pochodził z Moskwy. Inteligentny i muzykalny. Umiął grać na fortepianie i akordeonie; ładnie śpiewał. Pochodził z rodziny inteligentkiej. Jego ojciec był znanym w Moskwie naukowcem.

Już od pierwszych dni mego pobytu w ziemiance, do której wtrącony zostałem siłą w towarzystwo ludzi, będących symbolem mojego nieszczęścia, on pierwszy nawiązał ze mną rozmowę.

- Kak tebia zowut ? - zapytał.

Nie zrozumiałem pytania.

Dostrzegł to i, widząc moją bezradną minę, zapytał ponownie:

- Kak twoje imia ?

- Kazimierz - odpowiedziałem.

- K a - z i - m i e r z - powtórzył, cedząc poszczególne sylaby i Kazimir ! - wykrzyknął już po rosyjsku, uradowany, że się ze mną dogadał.

Spojrzałem na jednego, potem drugiego "lokatora". Obserwowali mnie z zainteresowaniem, lecz nie włączali się do rozmowy. Inicjatywę pozostawili Siergiejowi. Jak się później okazało, był od nich o wiele inteligentniejszy.

- Za co cię posadzili? - padło następne, najbardziej typowe w takiej sytuacji pytanie.

Choć zadał mi je po rosyjsku, zrozumiałem wszystkie słowa. Brzmiały zupełnie jak po polsku.

- Jestem partyzantem - odpowiedziałem. - Moja grupa szła pomagać powstańcom Warszawy. Wasi żołnierze rozbili mnie i aresztowali.

Odniosłem wrażenie, że wszystko zrozumieli.



- Ty się nie martw - pocieszał mnie. Nikogo nie zabiłeś, niczego nie ukradłeś. Będą sądzić i wypuszczą<sup>cie</sup> do domu albo wezmą do wojska - zawyrokował. - Nasz los gorszy od twego - dodał - jak gdyby pozazdrościł mi mojego położenia.

- A może chciał mnie tylko pocieszyć ?... - pomyślałem.

- Kazimir, ty wiesz co ? - powiedział do mnie któregoś późnego wieczora, gdy dwaj pozostali towarzysze już spali.

- Ja jestem Polakiem. - Mój dziadek Polak dostał się na Syberię jeszcze za cara. - Moje nazwisko Piotrowski . - Spojrzał, czy jego koledzy na pewno śpią i położywszy palec na usta powiedział jeszcze ciszej: - Ale ty nie mów nikomu tego, co ci powiedziałem...

- Dobrze - odpowiedziałem również cicho.

Od tego momentu wstąpiła we mnie jakaś nadzieja... - Bratnia dusza w ziemiance. Może rzeczywiście wezmą mnie do wojska ?

Wkrótce obaj usnęliśmy. Była to najprzyjemniejsza i najspokojniejsza noc od chwili aresztowania. Rano, gdy się obudziłem, przeżyłem jeszcze raz to, co wydarzyło się wczorajszego wieczora...

Moja przyjaźń z Siergiejem pogłębiała się z każdym dniem.

- Bierzcie śniadanie! - krzyknął strzeżnik - ukazując głowę w otworze ziemianki.

Po śniadaniu zostałem wezwany na kolejne przesłuchanie.

Pierwsze pytanie dotyczyło udziału mojego ojca w kampanii wrześniowej.

- Ojciec walczył w szeregach 15 Pułku Piechoty, w którym był zawodowym podoficerem - odpowiedziałem. - Wiem, że ten pułk walczył pod Wieluniem i Pabianicami. - Gdy wojna zbliżała się ku końcowi, a wojsko polskie było w rozsypce, ojciec powrócił do domu. Zataiłem fakt, że ojciec znalazł się z wycofującym pułkiem na wschodnich terenach Polski, już po 17 września 1939 roku, to jest po wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Polski. Wielu żołnierzy z tego pułku dostało się do sowieckiej niewoli; ojciec również. Po kilku dniach udało mu się zbiec i powrócić do domu.

Opowiedziałem również o moim krótkim udziale we wrześniu w walce pod Trawnnikami w okolicach Chełma lubelskiego; o niewoli

i udanej ucieczce z przejściowego obozu jeńców w Kielcach.

Słuchał z zainteresowaniem moich opowiadań o akcjach partyzanckich. Miałem tu wiele do opowiedzenia...

Wypytywał, czy nasz oddział nie popadł w konflikty z partyzantką radziecką, Armią Ludową i działaczami partii komunistycznej ?

Powiedziałem, iż nie znam takich przypadków. Powiedziałem jednocześnie, iż znany mi jest z opowiadania fakt, gdy partyzanci komunistycznego Oddziału AL "Cienia"<sup>x/</sup> operującego na terenie Lubelszczyzny,

po spotkaniu z Oddziałem AK dowodzonym przez "Hektora"<sup>xx/</sup>, w czasie normalnej - jak się wydawało - przyjaznej rozmowy, zastrzelili podstępnie, stojących w szeregu <sup>xxx/</sup> i nie spodziewających się ataku, dziewiętnastu partyzantów "Hektora". Fakt ten miał miejsce we wsi Owczarnia koło Opola Lubelskiego 4 maja 1944 roku.

- Nie sądzę, aby to było możliwe - odparł Mazurek. - Temat ten - dodał obojętnie - nie jest przedmiotem śledztwa, które ja prowadzę...

Opowiadając akcje szczególnie tragiczne, w których zginęli koledzy, bardzo je przeżywałem. Twarz Mazurka była - jak zwykle - urzędowo spokojna.

- Jakie akcje prowadziliście po wkroczeniu armii radzieckiej na te tereny ? - zapytał.

- Nie prowadziliśmy żadnych akcji bojowych. Niemcy byli już za Wisłą. Nie było przeciw komu walczyć. Przebywaliśmy na kwatarach w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. - Jediną akcją, którą przeprowadziliśmy w tym czasie, było uratowanie przed zniszczeniem składów broni i amunicji w miejscowości Stawy koło Ryk. Niemcy - kontynuowałem - spodziewając się opuszczenia magazynów, gdy zbliżała się armia radziecka, zaminowali wszystkie obiekty i tory ko-

x/ Prawdziwe nazwisko "Cienia" Bolesław Kaźmierczuk; zmienił je po wojnie na Kowalski.

xx/ "Hektor" - Zdzisław Jan Targosiński, dowódca Oddziału partyzanckiego AK operującego na terenie Obwodu Puławy.

xxx/ Wśród zamordowanych znaleźli się dwaj moi koledzy: mieszkaniec wsi Bobrowniki koło Dęblińska Stefan Buksiński, pseudonim "Wyrwa", i mieszkaniec Dęblińska Czesław Skorupski, pseudonim "Spec".

F o t o

Miejsce upamiętniające ofiary "Cienia" we wsi Owczarnia.





Grób "Cienia" w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Komunalnym /dawniej wojskowy/ w Warszawie. /kwatery A 25, rząd "Tuje", grób nr 11/  
Napis na nagrobku: "Za Polskę, wolność i lud. Bolesław Cień -  
Kowalski - 4.VII.1924 - 18.VIII.1966. Były dowódca Oddziału  
Partyzanckiego Gwardii i Armii Ludowej Ziemi Lubelskiej.

lejowe. Pracujący w Stawach nasi ludzie, znający dokładnie sytuację, uszkodzili sieci połączeń elektrycznych i nie dopuścili do wybuchu ładunków. Akcja ta uniemożliwiła Niemcom zniszczenie jednego z największych - wybudowanych jeszcze przed wojną - tego typu obiektów w Polsce.

- Pod dowództwem "Spokojnego"<sup>x/</sup> - przedwojennego sapera z Puław - uczestniczyłem wraz z moimi kolegami w akcji demontowania materiałów wybuchowych. Zostały one następnie przekazane polskim jednostkom wojskowym armii Berlinga.<sup>x/</sup>

- W drugiej połowie sierpnia dotarła do nas wiadomość - jeszcze wówczas nieoficjalna - że część naszego oddziału zostanie skierowana do Warszawy w celu wzięcia udziału w powstaniu.

- Wystarczy - przerwał mi Mazurek. - To, co było dalej, jest mi wiadome.

Zapytał, czy znana mi jest sprawa jeńców radzieckich wziętych do niemieckiej niewoli? Interesował go szczególnie los jeńców więzionych w dęblińskiej Twierdzy. Wiedział, że tam przed wojną mieszkałem.

-Znam na ten temat wiele szczegółów / - oświadczyłem. / Zginęło tam około osiemdziesięciu tysięcy jeńców - w większości z głodu i wycieńczenia. Przydziały żywności były bardzo małe; często przez kilka kolejnych dni żadne. Najpopularniejszym "daniem", jakim karmiono jeńców, była zupa z nieumytych i nieobieranych buraków pastewnych lub brukwi zaprawiona sporą ilością piasku i innych zanieczyszczeń. Jeńcy jedli trawę i chwasty. Zdarzały się przypadki kanibalizmu.

-Wielu Polaków zatrudnionych w Twierdzy okazywało im pomoc. Pracownicy piekarni - między innymi moi dwaj koledzy Jerzy Ślusarz i Jerzy Kopeć - przerzucali przez płot bochenki chleba. Wiadomo było, czym mogłaby się skończyć taka pomoc, gdyby odkryli ją Niemcy...'

-Wśród jeńców byli i tacy, którzy nie wytrzymali ładunku tortur i głodu i, chcąc ratować życie, wstępowali do organizowanej przez Niemców, składającej się z byłych żołnierzy radzieckich,

---

x/ "Spokojny" - Wacław Kuchnio, adiutant "Orlika"  
xx/ Zygmunt Berling - generał. Dowódca I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, następnie I Armii Polskiej w ZSRR.

tak zwanej ROA<sup>x/</sup> pod dowództwem generała Armii Czerwonej Własowa, który z dużą grupą wojska radzieckiego przeszedł na stronę Niemców. Żołnierzy tych nazywano popularnie "Własowcami". Wykorzystywani byli do służby wartowniczej. Strzegli torów kolejowych, mostów i niemieckich obiektów wojskowych.

-Widywałem ich na ulicach Dębina. Kilku z nich poznałem osobiście. Był wśród nich artysta - tenor kijowskiej opery "Witali". Wszyscy twierdzili zgodnie, że mundur ROA przywdziali jedynie dla ratowania życia.

- To byli zdrajcy ojczyzny! - zawyrokował Mazurek. - Byłoby lepiej, gdyby zginęli.

Po raz pierwszy dostrzegłem na jego twarzy zdenerwowanie.

Razem z jeńcami radzieckimi przebywali w Twierdzy również Polacy, pochodzący ze wschodnich terenów przedwrześniowej Polski. Wielu z nich, odbywając regularną służbę w sowieckiej armii, po niemieckiej napaści na Związek Radziecki 22 czerwca 1941 roku, dostało się do niewoli.

Oto relacja, jaką na ten temat przekazałem Mazurkowi:

-Po usilnych, kilkumiesięcznych staraniach działaczy dęblińskiego Czerwonego Krzyża, niemieckie władze wojskowe wyraziły zgodę na zwolnienie z obozu szesnastu Polaków. Zwolnieni zostali jedynie ciężko chorzy. Wypuszczono ich 27 marca 1942 roku /datę zapamiętałem dokładnie, jest to bowiem dzień moich urodzin/. Byli na wpół żywi z głodu, chorób i wycieńczenia; obdarci zawszeni i brudni.

-Zaopiekowało się nimi społeczeństwo Dębina. Przewiezieni zostali furmankami do miasta i ulokowani w budynku straży pożarnej. Do akcji wkroczyli - przede wszystkim - pracownicy służby zdrowia. Jeńcy zostali dokładnie zbadani i poddani leczeniu. Nie nadające się do użytku ubrania zostały spalone. Otrzymali nowe lub używane, podarowane przez miejscową ludność. Regularne posiłki były przygotowywane przez aktywistki PCK. W akcji tej brałem czynny udział. Z jednym z nich - Stanisławem Paszkowskim - bardzo się zaprzyjaźniłem.

-Nie wszystkich udało się uratować. Pomimo usilnych starań,

x/ ROA - Russkaja Oswoboditelnaja Armija /Rosyjska Armia Wyzwolenicza/.

da /Rosyjska Armia Wyz-



czterech zmarło.

-Po około miesięcznej kwarantannie dwunastu pozostałych przy życiu wyjechało z Dębłina w swe rodzinne strony.

Wybiegając w przód chciałbym zaprosić Czytelnika do wspólnego przeżycia wielce radosnego wydarzenia, jakie miało miejsce w 1953 roku: Na jednej z warszawskich ulic spotkałem ex- jeńca z dęblińskiej Twierdzy Stanisława Paszkowskiego, z którym utrzymuję do dnia dzisiejszego bliskie kontakty towarzyskie.

Opowiedziałem o przypadkowym spotkaniu kilku naszych chłopców z oddziału, w okolicach Kłoczewa koło Ryk, z grupą radzieckich partyzantów dowodzoną przez "Sierafima"<sup>x/</sup> - radzieckiego oficera który zbiegł z niemieckiej niewoli:

-Wiosną, pewnego wczesnego ranka, czterech kolegów z naszego oddziału wjechało wozem konnym na podwórze rolnika, u którego kwaterowali radzieccy partyzanci. W grupie tej był Maciek Burdzanowski. Czterech obcych przybyszy nie stanowiło żadnego zagrożenia dla kilkudziesięciu ukrytych i mogących działać przez zaskoczenie radzieckich partyzantów. Pozwolili naszym wjechać na podwórze. Otoczyli ich z bronią gotową do strzału. Gdy nasi wystraszeni, bez najmniejszych szans do obrony, po usłyszeniu wezwania: ruki w wierzch ! nie stawiali oporu i powiedzieli, że są partyzantami, zostali zaproszeni do mieszkania i gościnnie przyjęci.

Moje ostatnie słowa Mazurek skwitował uśmiechem szczerego zadowolenia.

- Proszę, mów dalej - rzekł. To ciekawe co opowiadasz!

- Z Oddziałem "Sierafima" - kontynuowałem - mieliśmy wspólne hasło: była to liczba "10". Jeżeli jedna ze stron wymieniła jakąś dowolną liczbę, która musiała być mniejsza od liczby "10", strona przeciwna wymieniała taką, która - po jej dodaniu - dawała w sumie "10". Gdy podanym hasłem była na przykład liczba "4" to prawidłowym odzewem mogła być jedynie liczba "6".

Opowiedziałem również zdarzenie przejęcia przez nasz oddział kilkunastu Własowców:

- Żołnierze Własowa, przebywając na ćwiczeniach w okolicy wsi

Moszczanka koło Dębłina, oderwali się od swej grupy i, ostrze-  
x/ Sierafim Pawłowicz Aleksiejew, pseudonim "Sierafim" - po ucieczce z niemieckiej niewoli - zorganizował w maju 1942 roku Oddział Partyzancki złożony ze zbiegłych z niemieckich obozów radzieckich jeńców wojennych i polskich komunistów. Działał głównie na terenie pomiędzy Rykami i Łukowem, Kockiem i Żelechowem.

liwując się, zbiegli do pobliskiego lasu. Przypadek zrzucił, że szukając kontaktu z Oddziałem "Sierafim" natknęli się na ludzi z naszej organizacji. Zbiegów doprowadzono do naszego dowódcy "Orlika". Na wypadek ewentualnej prowokacji zostali rozbrojeni

i z załadowaną na wóz bronią i amunicją przekazani "Sierafimowi". "Sierafim", w dowód wdzięczności za okazaną pomoc, oddał naszemu oddziałowi połowę uniesionej przez uciekinierów broni i amunicji. Akcję tę znałem z relacji kolegów, którzy brali w niej udział. Widziałem na własne oczy prezent przekazany przez "Sierafim". Było to: kilka kabeków, schmeisserów<sup>x/</sup>, granatnik, kilkanaście granatów trzonkowych i skrzynka amunicji.

Sądzę, że Czytelnik nie weźmie mi tego za złe, jeżeli na chwilę wybiegnę z relacją wydarzeń o prawie trzydzieści lat w przód i opiszę fakt, który miał miejsce w roku 1972. W tym roku "Sierafim" odwiedził Polskę; był w Dęblinie i spotkał się z Maćkiem Burdza - nowskim. Za gościnność okazaną przez jego partyzantów chłopcom z naszego oddziału, był rewanż w dęblińskiej restauracji.

Gdy powracałem do ziemianki po długich przesłuchaniach, niekiedy pełnych napięcia i zdenerwowania, warunki w ziemiance - jakkolwiek dalekie od domowego "komfortu" - wydawały mi się zupełnie znośne; doznawałem uczucia ulgi i odprężenia.

Moi towarzysze z ziemianki "rozliczyli się" z oficerem śledczym i Wojennym Trybunałem jeszcze przed moim aresztowaniem. Oczekiwali jedynie na transport w dalszą, nikomu z nas nieznaną drogę.

W ciągu długich dni bezczynności zapełnialiśmy sobie czas na różne sposoby: śpiewaliśmy, graliśmy w karty sporządzone własnym przemysłem z papieru pakowego, a także w kości wykonane z ugniecionego chleba. Nauczyłem ich gry w miasta, bardzo u nas popularnej - szczególnie wśród młodzieży; zupełnie przez nich nie znana, cieszyła się dużym powodzeniem.

Oni nauczyli mnie kilku swoich popularnych piosenek, takich jak: "Dawaj zakurim", "Tiszyna", "Sineńkij nieżnyj płatoczek" i inne. Do tej ostatniej wyjątkowo pięknej, skomponował muzykę - o czym dowiedziałem się dopiero wiele lat po wojnie - znany polski kompozytor okresu międzywojennego Jerzy Petersburski, przebywający

---

x/ Schmeisser- automatyczny pistolet maszynowy.

w czasie wojny na emigracji w ZSRR.

Nie rozumiałem jeszcze wówczas wszystkich słów w tekstach tych piosenek, lecz pamiętam je do dziś. Gdy moje, trwające wciąż od dzieciństwa, zainteresowania muzyką i śpiewem usankcjonowałem zdobywając uprawnienia zawodowego piosenkarza, wiele z nich włączyłem do mego repertuaru.

Śpiewałem im polskie przedwojenne przeboje: "Szkoda lata", "Już nigdy", "To ostatnia niedziela" i wiele innych, szczególnie ładnych i modnych, wylansowanych przez przedwojenną kinematografię; niektóre okupacyjne, takie jak: "Siekiera motyka...", "Serce w plecaku", "Chryzantemy złociste", a także "Marsza Partyzanckiego", do którego skomponowałem muzykę i napisałem słowa. Siergieja, który znał nieźle język angielski, nauczyłem dwóch angielskich piosenek: "My golden baby" oraz "It 's long way tu Tipperary".

Pewnego dnia Siergiej powiedział do mnie:

- Kazimir, jeżeli ty kiedykolwiek będziesz w Moskwie, odwiedź mnie koniecznie. - Zapamiętaj mój adres: Moskwa trzydzieści cztery, Pęreńłok Pomerancewa, dom..., mieszkania... - Powtarzaj: Moskwa trzydzieści cztery... - Zapamiętaj koniecznie !

Deklamowałem ten tekst przez kilka następnych dni, aż do pozytywnego skutku. Nie mogłem jednak pojąć dlaczego, usiłując mnie wyuczyć swego adresu na pamięć, mówił jednocześnie: "zapomnij ?..." Po co ta konspiracja ?... - Po długich perswazjach zrozumiałem, że po rosyjsku "zapomni" znaczy - na odwrót jak u nas - : "zapamiętaj" Mogę dziś stwierdzić, że mam opanowany język rosyjski zupełnie nieźle; zdałem egzamin państwowy na cztery z plusem. Jednak w pierwszych latach, w kontakcie z tym językiem, gdy miałem użyć słowa "zapomni", musiałem się przez ułamek skundy zastanowić.

Na widzenie z mamą NKWD nie wyraziło zgody nawet po zakończeniu śledztwa. Zdecydowałem się więc wysłać do niej gryps. Ukryłem go w przekazanej do prania bieliźnie. Zawarta w nim treść - gdyby został przechwycony przez władzę - nie mogła budzić u niej żadnych zastrzeżeń...



Mamusiu,  
Jeśli Mamusia może  
to temu żoł-  
nierzowi 1/2 l. wódki  
za to że się  
ze mną dobrze  
obchodził.  
Pozdrowienia dla  
dla Ojca, Wujenki,  
Irki i wszystkich  
znajomych.  
Od komendanta  
ter proszę

wziąć zegarek,  
maszynkę  
i 1050 zł.  
7.10.44 Kazik

Z uwagi na niezbyt dobrą czytelność grypsu podaję jego treść:

"Mamusiu,

Jeśli Mamusia może, to temu żołnierzowi 1/2 l. wódki za to, że się ze mną dobrze obchodził.

Pozdrowienia dla Ojca, Wujenki, Irki i wszystkich znajomych.

Od komendanta proszę wziąć zegarek, maszynkę i 1050 zł.

7.X.44

Kazik"

W październiku było już bardzo chłodno. Zimno dokuczało szczególnie nocą, tym bardziej, że w ziemiance panowała wilgoć. Piecyka praktycznie nie używaliśmy; dawał więcej dymu, niż ciepła.

Dni upływały jeden podobny do drugiego.

12 października wysłałem kolejny gryps.

Ukochane Mamuniu  
Rozmawiać nie wolno —  
nie ma warte  
K. Godka, Jano, nie wsi  
Dobro (około Talona)  
jest mój weter, weter  
nie wielki i reklamista  
(2 pory skomponowanych rekla-  
merek) i blichuz.  
Proszę przynosić mi koc,  
kurtkę i reklamista wa-  
miane  
Czyjeś to dobre jest  
zdrowie i czyjeś Was  
mocy Kierke

12 - X - 44

Treść grypsu:

"Kochana Mamusiu,

Rozmawiać nie wolno, więc piszę kartkę.

U Głodka Jana na wsi Dąbia /obok Zalesia/ jest mój sweter, wełna na szalik i rękawiczki /2 pary skórzanych rękawiczek/i bielizna. Proszę przynieść mi koc, szalik i rękawiczki wełniane.

Czuję się dobrze, jestem zdrow -

12.X.44

Kazik"

15 października zostałem doprowadzony do pokoju przesłuchań. Podsunęto mi do podpisania dokument /w języku rosyjskim/, który - jak mi oświadczone - jest niezbędny dla potwierdzenia jakiejś "mało istotnej" formalności. Gdy zażądałem przetłumaczenia, zakomunikowano , że nie ma tłumacza.

- A kapitan Mazurek ? - zapytałem.

- Jego dzisiaj nie ma i nie będzie - padła krótka, lakoniczna odpowiedź.

- Nie podpiszę, jeżeli nie będę wiedział w czom dieło - oświadczyłem, kończąc po rosyjsku.

- Możemy ci przeczytać po rosyjsku - zaproponował "kompromisowe" wyjście najstarszy rangą oficer.

- Niech czytają - pomyślałem - może zrozumiem?...

- Proszę czytać - powiedziałem po chwili namysłu.

Nie rozumiałem wielu urzędowych słów, lecz sedno sprawy było dla mnie zupełnie jasne. Słowa brzmiały prawie tak, jak po polsku: "... ja podpisujus 'zdies', czto ja nikakich cennosti nie imieł..."

- Jak to nie imieł ?! - zaprotestowałem. - A moje czasy, pieniądze i maszynka do golenia ?!

- No dobrze. Nie chcesz - nie trzeba. I tak sądzić będziemy - zawyrokował ze spokojem oficer. Wróciłem do ziemianki. Gdy opowiedziałem moim współtowarzyszom przebieg sprawy i jej epilog, dostrzegłem na ich twarzach wiele znaczące uśmiechy...

Przed nocą przekopciliśmy w piecyku i ułożyliśmy się do snu.

Zmrok zapadał już bardzo szybko. Dzień był o kilka godzin krót-



szy, niż latem. Jedynym światłem w ziemiance były strzępy promieni lamp oświetlających teren, którym udało się przedrzeć przez szpary w stropie naszego legowiska.

Gdy usnęliśmy na dobre, rozległo się wołanie:

- Żachowski, wychodzi !

Znów ci sami, co poprzednio.

W ich słowach było teraz więcej łagodnej perswazji: -...że po co ci zegarek, i tak ci go ukradną?... - Za twoje pieniądze i tak tu nic nie kupisz...

- Dziwne pojmowanie prawa ? - pomyślałem. Funkcjonariusze NKWD mogą mnie okraść. Przejawem braku rozsądku z mojej strony byłoby, gdybym dopuścił, aby okradli mnie więźniowie /?!/

Nie podpisałem.

- Idź spać.

Po kilku godzinach to samo, a nad ranem jeszcze raz...

Bez rezultatu.

Byłem wykończony, i moi Bogu ducha winni towarzysze również.

Gdy po ostatnim "maglowaniu" wróciłem do ziemianki, arbitralnej porady udzielił mi major Bogdanow:

- Kazimir, podpisz - powiedział spokojnie, lecz przekonywująco - oni ciebie zamęczą.

Podpisałem.

Najsmutniejsze jest to, że na wpół "legalnego" złodziejstwa dopuścili się rzecznicy wymiaru sprawiedliwości /!/

Pewnego dnia, przy końcu drugiej dekady października, wywołany został z ziemianki major Bogdanow. Spośród nas czterech traktowany był przez władzę w sposób najbardziej łagodny. Po powrocie przekazał mi wiadomość, która bardzo mnie zasmuciła:

- Kazimir - powiedział - przed twoim aresztowaniem przebywał tu w KPZ Polak partyzant. Był sądzony. Odesłano go do jednego z więzień w Brześciu lub we Włodzimierzu Wołyńskim. - Nie chcę cię martwić, ale radzę, abyś - na wszelki wypadek - zaopatrzył się w ciepłą odzież i bieliznę.

Jeszcze tego samego dnia wysłałem do rodziców kolejny gryps.

Hociouka Houda  
 Rozmievam sa o tom  
 v Gvadalupe Jana na  
 Dala jest kaci k party  
 nezobudim sa do zranenia  
 k tomu v meste i vsetna  
 me nezobudim  
 Kaci i nezobudim i v meste  
 potrebujeme v meste  
 Bede v dnuj pravda  
 podskanie popadine  
 do vyznania  
 Brasca alb. Ho  
 drinera Holziska  
 i me v meste  
 v no list  
 Gdajze v as meste  
 19. X. 44 Kank

Treść grypsu:

"Kochana Mamusiu,  
Rozmawiać nie wolno.

U Głodka Jana na Dąbi jest koc, 2 pary rękawiczek skórzanych, bielelizna, sweter i wełna na rękawiczki.

Koc i rękawiczki z wełny potrzebuję - i sweter.

Będę sądzony - prawdopodobnie popadnę do więzienia w Brześciu albo Włodzimierz Wołyński.

Z więzienia napiszę list.

Całuję Was mocno

19.X.44

Kazik

20 października w znanym mi już w najdrobniejszych detalach pokoju, w którym spędziłem wiele godzin, zajął miejsce za stołem triuwirat funkcjonariuszy NKWD, tak zwany Russkij Wojennyj Tribunal który miał rozstrzygać o mojej winie i karze.

Polecili mi stanąć naprzeciw i słuchać.

Niewiele pojąłem z tego, co mi odczytano. Zrozumiałem jednak dokładnie słowa oskarżenia. Wynikało z nich, że dopuściłem się "wielce haniebnego czynu", który w myśl paragrafu - jeśli dobrze pamiętam - "58/8", potraktowany został jako terroryzm i zdrada ojczyzny. Wyrok : 10 lat poprawczego obozu pracy w ZSRR.



Wszyscy obecni na rozprawie funkcjonariusze wymiaru "sprawliwości" byli rzecznikami mego oskarżenia i monterami wyroku. Nie było wśród nich obrońcy - nawet z urzędu /!/  
Nie bardzo dotarło do mojej świadomości to, co usłyszałem.

Gdy trawiłem ostatnie słowa wyroku, zapytali czy mam jeszcze coś do powiedzenia ?

- Chciałbym wstąpić do wojska.

Z ich min domyśliłem się, że nie zrozumieli, o co chodzi.

- Chcę wstąpić do armii.

- W armiji ? - ~~n~~elzia !-powiedział ten w środku.

Rozprawa trwała zaledwie kilka minut i prowadzona była w języku rosyjskim. Nie było tłumacza /!/  
Zasądzony mi wyrok wcale nie zaskoczył moich współlokatorów z ziemianki.

- Głupstwo - powiedział lekceważąco Bogdanow. - Taki wyrok można przesiedzieć na kiblu.

Siergiej zapewniał mnie, że nie ma mowy o odsiadywaniu całych dziesięciu lat. Jak tylko skończy się wojna, wszystkich takich jak my, wypuszczą do domu.

Przed rozprawą ludziłem się, że może rzeczywiście wezmą mnie do wojska?... - W pogmatwanych myślach przeważało teraz uczucie doznanego zawodu i niesprawiedliwości /!/  
Wychowany w okresie międzywojennym w wielkim patriotyzmie, od pierwszych dni wojny, poprzez okupację, podporządkowałem całe moje życie idei odzyskania niepodległości. Nie oczekiwałem, że spotka mnie za to w przyszłości jakaś nagroda, a tym bardziej kara /?!/  
- Przecież my pomagaliśmy waszej armii w walce z Niemcami - powiedziałem moim współtowarzyszom, jak nigdy dotąd uniesionym głosem. - Przez Polskę - gdy walczyliście pod Moskwą, Leningradem i Stalingradem - podążały tranzytem prawie wszystkie niemieckie transporty z wojskiem, bronią i amunicją. Setki pociągów nasza partyzantka wysadziła w powietrze. Transporty te częściowo lub całkowicie uległy zniszczeniu. Wiele dotarło na front ze znacznym opóźnieniem. - Co byłoby, gdyby wszystkie dojechały na miejsce nie-

tknięte... - Jak potoczyłyby się losy wojny ?...

Kiwali głowami ze zrozumieniem, wyrażając jednocześnie bezsilność wobec wszechpotężnej sowieckiej władzy, którą - w naszej sytuacji - reprezentowało NKWD. Ja natomiast odczuwałem wielki żal i rozgoryczenie. Lata niemieckiej okupacji przyzwyczały mnie do przeżywania na co dzień przejawów cierpienia, niesprawiedliwości i poniżenia. To, co się stało teraz, można by porównać jedynie z sytuacją, w której wyciągnięta do kogoś z pomocą ręką, została przez niego amputowana /!/

Mama uzyskała zezwolenie na widzenie ze mną w drugim dniu po ogłoszeniu wyroku.

W noc poprzedzającą spotkanie prawie zupełnie nie spałem. Nie mogłem się doczekać rana. Było wyjątkowo chłodno. Okryłem się szczelnie kocem i leżałem nieruchomo. Ciężkie oddechy śpiących spokojnie towarzyszy i krążące mi po głowie bezładne myśli nie pozwalały zasnąć.

Wreszcie podali kapiatok i chleb. Zjadłem szybko i czekałem zniecierpliwiony na znane mi hasło ...

- Żachowski wychodzi ! - usłyszałem wreszcie głos wartownika.

Wyskoczyłem pospiesznie z ziemianki. Zostałem doprowadzony do chaty, w której przeprowadzaliśmy jeden raz w tygodniu osobistą toaletę.

Mama czekała w progu. Dostrzegłem stojącą w oknie, gdy wchodziłem na podwórze. Ucałowałem ją, wziąłem pod rękę i zaprowadziłem do pokoju wskazanego przez wartownika.

Nagle zaskoczenie : w drzwiach stał ojciec. Jak się później dowiedziałem, nie mógł przyjeżdżać do Bazanowa; przez dłuższy czas chorował, a także pilnował mieszkania. Front był blisko. Różni ludzie waleśali się po okolicy. Zdarzały się rabunki.

Mama płakała. Trzymała mnie w mocnym uścisku.

W pierwszej chwili nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa. Pierwsza mama, zwolniwszy nieco uścisk, zapytała:

- Jak się czujesz ? - Czy nie robią ci krzywdy ? - Czy nie brak ci czegoś ?...

Patrzyła na mnie zamglonym, na wpół przytomnym wzrokiem.

Zacząłem się o nią niepokoić; miała chore serce.

Wartownik, który przyglądał nam się do tej pory z urzędową obojętnością, gdy dostrzegł, w jakim stanie jest mama, postawił pepeszę na podłodze, podszedł do nas i powiedział życzliwym głosem :

- Mama, ty nie płacz. On powróci wkrótce do domu, gdy tylko skończy się wojna. Położył przy tym ręce na ramieniu moim i mamy.

Gdy tak staliśmy, wzrok mój zatrzymał się na stojącej bez - pańsko pepeszy.

- Chwycić ją i uciekać - pomyślałem. - Szybko jednak oprzytomniałem. Wykazywałem zawsze dużą odporność, gdy znalazłem się w akcji w podobnej sytuacji... - Nie mam tu żadnych szans - pomyślałem, gdy ochłonąłem nieco z pierwszego podniecenia. - Czy wstrząs, jakiego doznałaby mama, nie okazałby się dla niej zbyt mocny ? - Jaki los spotkałby wartownika, który okazał nam tyle życzliwości ? - Czy moja ucieczka powiodłaby się przy tak dużej liczbie obecnego tu wojska ?

Doświadczenie nabyte w partyzantce nakazywało działać odważnie lecz także ostrożnie. Ten ostatni nakaz przesądził o moim zachowaniu...

- Mama, ty się nie martw - pocieszał znów mamę wartownik.

- Twój syn napisze prośbę o ułaskawienie do Kalinina<sup>x/</sup> i puszczą go do domu.

- Co on mówi ? - zapytała mama.

- Mówi, że mogę napisać prośbę do Kalinina aby mnie zwolnili.

Przez cały czas rozmowy z rodzicami wstrzymywałem się od powiadomienia ich o wyroku oraz o tym, że zostanę odesłany do obozu w Związku Radzieckim. Po słowach pocieszenia wypowiedzianych przez wartownika, uznałem ten moment za najbardziej odpowiedni.

- Boże ! - krzyknęła mama. - To ja już cię więcej nie zobaczę?!

Nie martw się. - Gdy tylko przywiozą nas do więzienia, natychmiast napiszę prośbę do Kalinina.

- Napisz koniecznie, i do nas, do domu także.

- Kończcie ! - Idziemy do ziemianki - powiedział wartownik, tym razem zdecydowanym głosem.

x/ Michaił Kalinin - członek Biura Politycznego; od 1938 roku przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.



- Mama, wartownik każe kończyć.

- Niech cię Bóg ma w swojej opiece. Będę się modlić, abys szybko powrócił. - Słowa te wypowiedziała bardzo spokojnie, jakby wierzyła w ich magiczną moc...

Uścisnąłem i ucałowałem rodziców. Nie płakałem. Nie chciałem bardziej rozczulać mamy.

- Kaziu - powiedział na zakończenie ojciec - udało się mnie i tobie uciec z niewoli, może i tym razem Bóg da...

- Idziemy ! - ponaglał już bardzo zniecierpliwionym głosem wartownik.

Stali na podwórzu, aż zniknąłem w otworze wjazdu.

W paczce, którą otrzymałem, był gruby ciepły sweter, koc, kurtka, czapka, szalik, zimowa bielizna i wełniane rękawiczki.

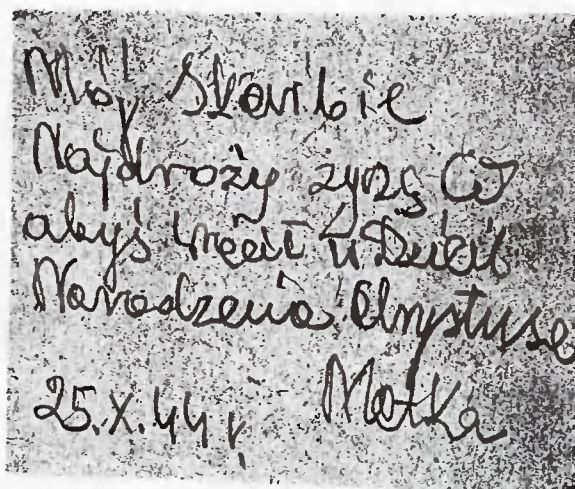
Według nie potwierdzonych przez władze, nieoficjalnych informacji, wyjazd do więzienia miał nastąpić przy końcu października.

Wartownik przekazał mi zgodę władz na jeszcze jedno widzenie z rodzicami w przeddzień wyjazdu z KPZ'e.

Kolejne dni upływały w beznadziejnej pustce i oczekiwaniu "nie-wiadomego", które miało nastąpić.

Moim towarzyszom z ziemianki wiadomość wyjazdu poprawiła humor. Pojadą w rodzinne strony, a dodatkową pociechą - jak twierdzili - jest to, że nie muszą więcej ryzykować życiem, ponieważ wojna się dla nich już skończyła.

25 października ujrzałem we wjazdzie ziemianki twarz kupionego za bimber, traktującego mnie najbardziej łagodnie, wartownika. Przekazał mi ręcznik, który mi mama posłała. W jego fałdach odnalazłem maleńki gryps.



Mój Skowronie  
Najdroży zrodzony  
abyś wrócił u siebie  
Nadzieję. Omyśle  
25.X.44 r. Matka

jąc staroście kąć wagonu.

Biedny starosta zdetronizowany po raz drugi, przyjął utratę władzy w milczeniu i pokorze. Nikt spośród wszystkich obecnych w wagonie - nawet jego najbliższych kompanów - za nim się słowem nie upomniał.

Sasza Domanski - takie nosił nazwisko nowoprzybyły - kazał opróżnić miejsce przy zawietrznej stronie wagonu i urządził tam sobie posłanie. Miał sporo ciepłej odzieży i dwa koce.

Jak się później wygadał, dostał 15 lat za to, że po pijanemu zastrzelił w swej kompanii podczas sprzeczki dwóch armiejców.

- No, chłopaki, nie oczekujmy po nim niczego dobrego - powiedział z przerażoną miną Maciek. Po chwili dodał: - Gdy się dowie, że jesteśmy Polakami będzie dla nas lepiej jeżeli przeniesiemy się do innego wagonu.

Panowała cisza. Nikt nie odważył się skomentować tego co się stało. Wszyscy oczekiwali na coś, co mogło się jeszcze wydarzyć...

Sasza był spokojny; zajęty wyłącznie sobą. Grzebał w swych manelach. Po pewnym czasie ułożył się na plecach i leżał nieruchomo.

Napięcie rozładowało powtórne otwarcie wagonu. Tym razem podali bałandę. Podziaku dokonywał, już teraz, Sasza. Podeszliśmy, jak zwykle, na końcu. Otrzymaliśmy najgęściejszą porcję od czasu, gdy wsiedliśmy do wagonu /!/  
- A może on nie będzie dla nas taki zły? - powiedział, uśmiechając się, Zygmunt.

- Pożywjom, uwidim...- zacytowałem ich popularną pogaworkę.

Dawny starosta nie zgłosił się po bektugę. Sasza zauważył to i - zanim napełnił swój kociołek, zwracając się do niego - powiedział:

Ty co, jeść nie chcesz?

Głód przewyciężył ambicję...

Sasza nie miał kumpli w naszym wagonie, nie miał więc powodu nikogo faworyzować. Chleb i bałandę rozdzielał sprawiedliwie, biorąc jedynie sobie przysługujące dwie porcje. Nie zauważyłem,

aby kiedykolwiek w przyszłości źle potraktował swego poprzednika.

Około 15 lutego dojechaliśmy do Nowosybirska. Strażnicy w dalszym ciągu ukrywali cel naszej podróży.

Nasilający się mróz - w miarę jak oddalaliśmy się na wschód - ostukiwanie wagonu na każdej stacji, na której zarządzono dłuższy postój i sprawdzanie przy pomocy młotków i kopniaków naszej obecności, było zmorą nie do zniesienia.

-Jak nieprawdopodobnego wysiłku musi dokonać ludzki organizm - pomyślałem - by mógł funkcjonować w takich warunkach /?!/

W łaźni byliśmy ostatnio przed dwudziestoma dniami. Brak wody i mydła doprowadził nasze ciała do kompletnej ruiny. Skóra wysuszona, zwiotczała, pokryta była pryszczami i śladami ukąszeń wszy. Wszystko to niemiłosiernie swędziało. W miejscach, które nieopatrzenie rozdrapałem potworzyły się otwarte rany i strupy. Bielizna przywierała do ran.

Znów dwa dni postoju - tym razem w Nowosybirsku - i dalej w drogę. Miałem wrażenie, że ta podróż nigdy się nie skończy...

Był to już obszar środkowej Syberii.

Dzień stawał się coraz dłuższy, a mróz bardziej dokuczliwy.

Z opowiadania ludzi znających te okolice dowiedzieliśmy się, że zima trwa tu do połowy maja.

Żytko przyniósł pewnego dnia wiadomość, że wiozą nas do pracy w tajdze, i że lada dzień dotrzemy do miejsca przeznaczenia. Informacje z zewnątrz mogły przeciekać do wagonu jedynie za pośrednictwem wywoływanych przez ochrę na "spowiedź" donosicieli lub - w obecnej chwili - mógł je dostarczyć Sasza?...

Nasilała się gorączka wyzbywania odzieży i wszystkiego, co mogło być w obecnej chwili na tyle zbędne, aby nie spowodowało zagrożenia dla życia. Trafiały więc znów do wagonu dodatkowe porcje chleba, gazety i machorka.

- W obozie dadzą wszystko służbowe - zapewniali ci, którzy znali już z własnego doświadczenia lub z opowiadania, panujące tam stosunki.

My nie mieliśmy niczego do zaoferowania. Egzystowaliśmy wyłącznie na kazionnym wyżywieniu, a od palenia papierosów musieliś-



my się, z konieczności, odzwyczaić.

Największą wyprzedaż prowadził ex - starosta. Do niedawna ciągle na podwójnej porcji chleba i bułandy, nie miał potrzeby czegokolwiek się wyzbywać. Teraz, z wiarą w wytrzymałość swego syberyjskiego organizmu i w nadziei, że w łagrze dadzą wszystko nowe sprzedawał co się dało. Przehandlował koc, szynel, a wzupełnie niezłym stanie łożogórkę zamienił na jakiś bezwartościowy łach - oczywiście za dopłatą. Łakomstwo i chciwość naraziły go na cierpienia, jakie musiał teraz znosić z powodu panującej tu wciąż srogiej zimy. Na czyjąkolwiek pomoc - w myśl obowiązującego tu wciąż "prawa": "Ty podychaj się dzisiaj, a ja zawtra" - nie mógł liczyć.

W jego pozbawionej - nawet na miarę obowiązującej w więzieniu etyki - wyobraźni wykiełkował perfidny pomysł: Licząc, że nikt się za nami nie upomni, postanowił urządzić się naszym kosztem.

Pewnego wczesnego ranka, gdy jeszcze spaliśmy, poczułem jak ktoś ciągnie koc, którym byliśmy okryci. Otworzyłem oczy. W naszych nogach stał ex - starosta. Chwyciłem koc; to samo uczynili Maciek i Zygmunt. Nie miał szans; przewaga siły fizycznej była po naszej stronie. Koc był podniszczony, ale był dość gruby i miał gęsty splot. Dłuższej szarpaniny mógł jednak nie wytrzymać. Nie dając rady siłą, uciekł się do zastraszenia:

- Dawajcie koc, pany, a to ja was !... - zawarczał wygrażając kuliakiem.

- Nie dam ! - odpowiedziałem stanowczo.

"Być, albo nie być" - zawisło nad naszymi głowami.

Uniosłem się z posłania i jednym ciosem powaliłem kanalię na podłogę. Byłem gotów do dalszej walki. Nikt nie próbował wmieszać się do konfliktu. Mogłem sobie wyobrazić, co by mnie spotkało, gdyby jego kumple chcieli się za nim wstawić...

Gdy tak stałem oczekując odwetu, usłyszałem głos z końca wagonu:

Mołodiec Polak !

Spojrzałem. - Był to głos Saszy.

- Chodź tu - powiedział jakby uradowany.

Nie ruszyłem się z miejsca.

- Chodź tu, nie bój się - dodał zauważywszy moją zatrwożoną minę.

Mrówki przeszły mi po krzyżu...

- Aniele Boży, Strózu mój, ty zawsze przy mnie stój... - zacząłem odmawiać modlitwę mamy.

Ruszyłem w jego kierunku, spodziewając się czegoś najgorszego... Nogi miałem jak z waty.

- Może jego reakcja jest tylko pozą - pomyślałem ?...

Sasza, nie wstając z posłania, rzekł spokojnym głosem:

- Kładź się obok mnie. - Posuńcie się dalej - powiedział do mnie, a następnie do leżących obok niego towarzyszy.

Zrobili dla mnie miejsce.

- Spasiba - odrzekłem zmieszany, i choć słownik jaki opamawiałem pozwalał mi już na kleczenie prostych zdań po rosyjsku, zabrakło mi języka w gębie. Dokończyłem więc po polsku:

- Ja śpię z kolegami i chcę spać razem z nimi.

Wszystko zrozumiał.

- Twoi koledzy niech też tu przyjdą - powiedział zachęcająco.

- No rebiata, zróbcie jeszcze miejsce dla dwóch ludzi - powiedział, zwracając się ponownie do sąsiadów.

W tych słowach zawarty był ostateczny i najkorzystniejszy "wyrok" jaki mógł dla nas zapaść w tej sytuacji.

"Być, albo nie być" pozostało po mojej - ściślej mówiąc - po naszej stronie.

Przed snem odmówiłem cały pacierz i kilkakrotnie "Aniele Boży..."

Powędrowałem myślami do mojej najukochańszej na świecie matki... Dotknąłem gryps... - Czy można nie wierzyć w cuda ?...

Gdy zasypiając przemyślałem jeszcze raz to, co się wydarzyło i usiłowałem znaleźć motywy zachowania się Saszy, nie mogłem doszukać się żadnego logicznego uzasadnienia?...

Z Saszą rozmawialiśmy teraz dość często. Wspomniiał któregoś

dnia o tym, jak doszło do draki z bojcami, których zastrzelił. -  
Jeśli by nie ja ich, to oni by mnie !...

Zauważyłem, że nie lubił tego tematu. Więcej do niego nie  
powracaliśmy.

Powiedział kiedyś - jak gdyby z żalem - że wojaczka dla niego  
skończyła się na Pradze nad Wisłą i że Polacy to dobrzy ludzie,  
a Polska bardzo mu się podobała.

Najbardziej interesowały go nasze opowiadania o latach nie-  
mieckiej okupacji w Polsce i o naszych akcjach partyzanckich.

Do tego czasu - za wyjątkiem Żytka, Ukraińca sołtysa i Glae-  
snera - nikt nie prowadził z nami towarzyskich rozmów. Teraz, gdy  
spłynęła na nas "łaska" Saszy, staliśmy się obiektem ogólnego za-  
interesowania. Siadali wokół nas i wysłuchiwali naszych opowia-  
dań. Bardzo im imponowaliśmy, gdy opowiadaliśmy o spotkaniu chłop-  
ców z naszego oddziału z partyzantami w którym, obecny tu Maciek,  
odegrał pierwszoplanową rolę, a także o pomocy jaką udzielaliśmy  
wygłodzonym, bardziej niż my obecnie, jeńcom radzieckim  
w dęblińskiej Twierdzy oraz o ratowaniu żołnierzy Czerwonej Armii  
pochodzenia polskiego przez dęblińskie społeczeństwo.

Nasze opowiadania sprawiły, że urosliśmy w oczach wszystkich  
do roli bohaterów.

Opowiedzieliśmy również o naszym aresztowaniu.

- A wy do naszych nie strzelaliście ? - zapytał jeden z nich.

- Ty co, głupcze ? - zareplikował drugi. - Jeżeli by strze-  
lali, to by im nie dali takiego "dziecinnego wyroku"...

- On ma rację - poparł tego ostatniego Zygmunt.

O nasz dalszy los w środowisku tych ludzi mogliśmy być już  
taraz absolutnie spokojni.

- Popatrzcie na ex - starostę, jaki on teraz przegrany -  
powiedział Zygmunt. Siedzi markotny; z nikim nie rozmawia.

Siedział z podkurczonymi pod brodę nogami. Widać było, że  
bardzo mu dokucza zimno.

- Dobrze tak, złodziejowi ! - wtrącił Maciek.

- To prawdziwy pechowiec - powiedziałem, próbując ratować  
jego reputację. - Trzy razy oberwał, w tym dwa, bez naj-



mniejszego powodu.

- Nie martwmy się o niego, martwmy się o siebie - powiedział, nie dając jak zwykle za wygraną, Maciek.

Minęły dalsze dwa dni, a końca podróży wciąż nie było widać. Trzeciego dnia, gdy podali rano chleb i kipyatok, ex - starosta poprosił o lekpoma.

Staliśmy wówczas na jakiejś małej stacyjce, czy nawet w polu, pomiędzy Nowosybirskiem i Krasnojarskiem.

Gdy zjawił się felczer, ex - starosta zawisnął nad paraszą i po chwili pokazał mu zakrwawiony kawałek szmaty.

- Idziemy - zdecydował felczer.

W ten sposób ex-starosta znalazł się w wagonie dla dochodiag.

-Jemu nic nie dolega - powiedział któryś z jego sąsiadów a krew, którą pokazał felczerowi zebrał z paraszy. - Tak sobie wykombinował, że w wagonie dla dochodiag zdobędzie czego mu brak; odzież i koc po tych co umierają, a jest ich tam kilku każdego dnia. - Chleba i bałandy też niektórzy zupełnie nie jedzą. Połowę tego, co im podadzą, zabierają z powrotem.

- Niech mu tam ziemia lekką będzie - rzekł Maciek, złożony rękami jak do modlitwy.

Tego dnia późnym wieczorem powtórzyła się przygoda, jaką przeżyłem z Siergiejem w ziemiance. Gdy wszyscy ułożyli się do snu, Sasza zbliżył się do mnie i powiedział:

- Ty wiesz co, ja jestem Polakiem.

- Mówisz po polsku? - zapytałem.

- Nie. Rodzice mówią dobrze. Ja nie miałem okazji...

Była to odpowiedź na pytanie, dlaczego Sasza stanął po naszej stronie - nota bene w imię sprawiedliwości - w konflikcie z ex - starostą, pomimo, iż jego postawa nie mogła znaleźć poparcia w tym środowisku.

Pewnego dnia na śniadanie podali tylko kipyatok. - Chleb damy później - powiedzieli. Niestety - i tym razem zawiedli, a następnego dnia nie tylko nie oddali zaległości, lecz również nie dali przydziału na bieżący dzień. Znowu kolejne dwa dni bez chleba /!/  
Ci, co mieli jeszcze coś na sprzedaż, jakoś się ratowali;

wszyscy pozostali musieli cierpieć.

Trzeciego dnia, gdy nad ranem zatrzymaliśmy się na jakiejś małej stacyjce, usłyszeliśmy duży hałas wokół naszego pociągu. Krzyk zmieszany był z ujadaniem psów.

-Może ktoś uciekł - powiedział Zygmunt.

Któryś z towarzyszy wyjrzał przez okienko.

- Bratcy ! - krzyknął. Wszystkich wysadzają !

-Nareszcie ... - pomyślałem. - Już nic gorszego, po tym co było, nie może nas spotkać /!/  
- No, chłopaki, zbieramy manatki - powiedział radosnym głosem Zygmunt. Minę miał taką, jak byśmy odzyskali wolność.

Niewiele było do pakowania. Zrolowaliśmy koce i czekaliśmy na naszą kolej.

Pokrzykiwania strażników ochry i ujadanie psów stawało się coraz głośniejsze. Chrobot otwieranego haka, i drzwi zostały rozsunięte, jak nigdy, na całą szerokość.

-Zbierajcie się z rzeczami!- padła komenda.

Nie było tu wysokiego peronu. Nawoływani wciąż do pośpiechu, z wagonu nie wysiadaliśmy lecz wypadaliśmy jedni drugim na plecy.

Trzydzieści siedem dni prawie bez ruchu. Nogi czułem tak, jakby to były protezy.

- Po bystnej ! po bystnej ! Szewelities' ! - pokrzykiwali konwojenci, ściągając z wagonu tych, którzy "grzebali się" zbyt wolno.

Rozwścieczone naszym widokiem psy szalały i tak się szarpały, jakby chciały powyrywać ręce swoim opiekunom.

- "Stancja Reszoty" - przeczytał któryś napis na stacyjnym baraczk.

Dołączyliśmy do kolumny. Zrobiłem zaledwie kilkadziesiąt kroków i czułem, że dalej nie dam rady.

Staliśmy - na szczęście jeszcze około godziny na miejscu. Przeglądali dokładnie wszystkie wagony - również pod spodem. Następnie nas policzyli. Gdy zakończyli, wygłosili znaną formułę o konieczności przestrzegania wymagań konwoju, i:

- Szagom marsz !

Tak zakończył się kolejny trzydziestosiedmiodniowy etap naszej poniewierki.

R y s u n e k

Zima. Stacyjka typu "odludzie" z małym pochyłym ze starości baraczką; na nim napis /cyrylicą/ "Резоты".

Dwa rzędy torów. Na jednym pociąg towarowy /za parowozem dwa wagony sypialne/ Ogółem trzydzieści wagonów.

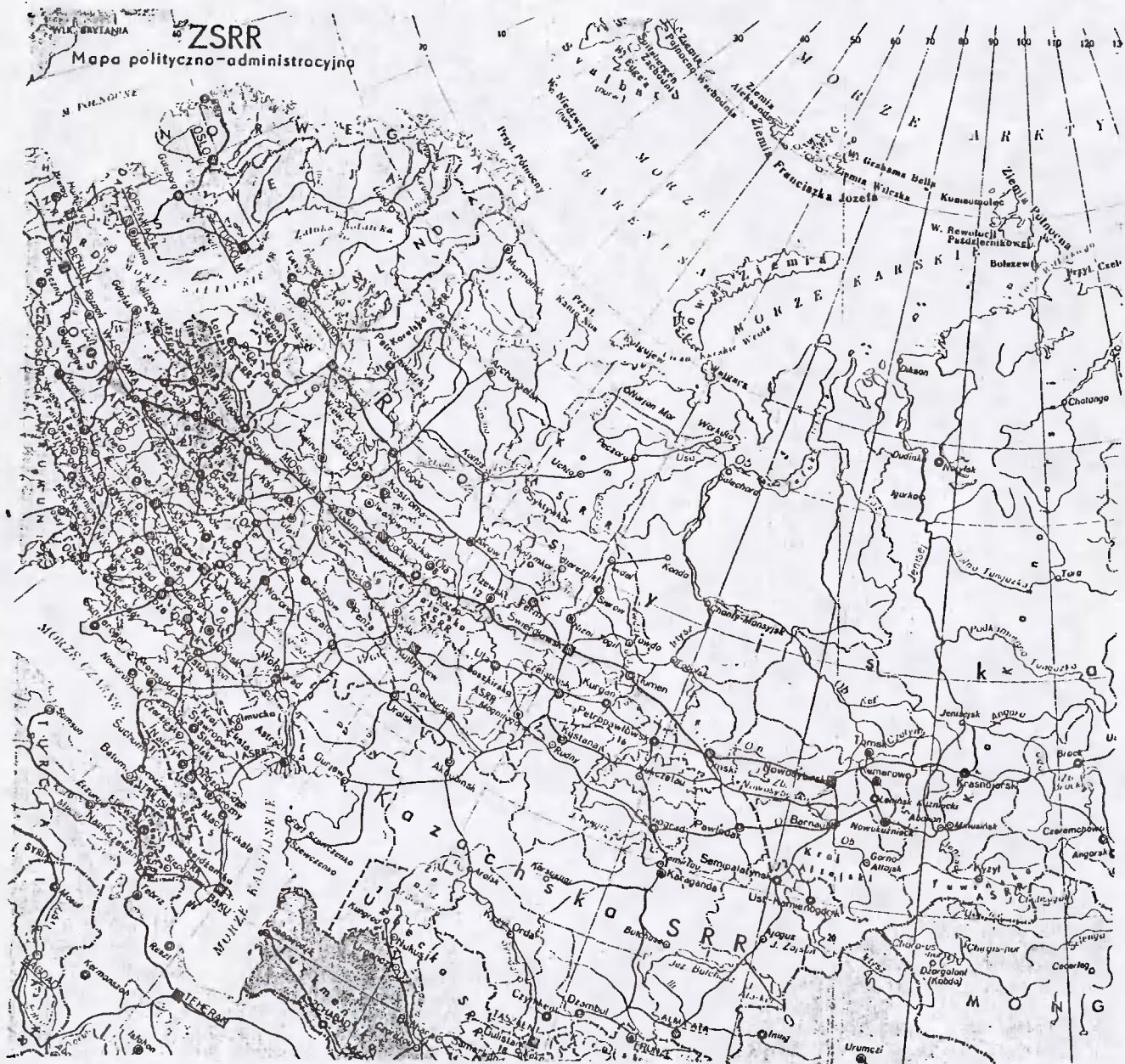
Z dwóch wagonów, objętych pierwszym planem, więźniowie wypychani na ziemię przez straż; jedni drugim spadają na plecy./ nie ma wysokiego peronu/. Strażnicy w kozuchach /białych/ i futrzanych czapkach, trzymają na smyczy rozwścieczone i rwące się do nas, szczerzące kły, psy.

Część tych, którzy już wysiedli, ustawiona trójkami. Więźniowie odziani w łachmany; zarówno wojskowi jak i cywile.

Obok stacyjki kilka sosen.

Wyładunek więźniów po przybyciu transportu do stacji "Резоты" na Syberii.





Przebyta trasa z Dąbi Nowej do stacji Reszoty /około 6 tysięcy kilometrów/.

W T A J D Z E

Do obozu dotarliśmy - w asyście licznej straży ochry i niezmordowanej sfery psów - około południa.

Był to dzień 22 lutego 1945 roku. Od dnia aresztowania upłynęło pięć miesięcy.

Zostaliśmy ułokowani w barakach. Obóz nosił nazwę wtorej czyli drugi.

- Nareszcie będzie nam tu ciepło - pomyślałem.

Sporej wielkości piec i zapas leżącego drewna dawał nadzieję, że jedna z największych zmor, jakie nas prześladowały, pójdzie w zapomnienie. Mogliśmy już teraz zdjąć z siebie wierzchnią odzież, również czapki i rękawice.

Usiedliśmy na pryczy i czekaliśmy dalszych poleceń.

Wszystkie brygady wyprawiały swoich ludzi do chleborozki czyli krajalni chleba. Kolejka była długa. Obóz liczył kilka tysięcy osób. Szło jednak sprawnie, ponieważ chleborozka wydawała porcje zważone i całkowicie przygotowane do podziaku. Były dwukrotnie większe od tych, które otrzymywaliśmy uprzednio; ważyły około 500 gramów.

Wreszcie upragniona chwila. Na dwóch drewnianych tacach leżały piramidy chleba. Na każdej prawie porcji sterczały doczepione drewnianą szpilką tak zwane: dowieski, dobawki lub prikołki czyli dodatki, uzupełniające ją do pełnej, określonej wagi. W niedalekiej perspektywie czekał nas kociołek gorącej zupy, którą każdy z nas miał otrzymać wprost od kucharza w okienku budynku kuchni.

Nasz Sasza ze starosty został awansowany na brigadira. Jego rola przy podziale pożywienia spadła tu praktycznie do zera. Nie został on jednak pozbawiony przywileju otrzymywania podwójnych porcji ciepłych potraw.

My trzej postanowiliśmy, że "uczcie obżarstwa" urządzimy sobie dopiero po otrzymaniu zupy. Ażeby zmniejszyć cierpienia spowodowane nieotrzymaniem przez ostatnie dwa dni chleba ustaliliśmy, że każdy z nas ma prawo do odgryzienia z pajki takiego kęsa jaki może zmieścić w ustach. Było przy tym trochę ubawu... Reszta chleba powędrowała do "sejfu" czyli woreczka.

Wreszcie wezwano naszą brygadę do kuchni. Na dworze zapadał już zmrok.

Gdy od okienka dzieliło nas około dwudziestu metrów, poczułem nagle, jak ktoś wyszarpnął mi z ręki woreczek z chlebem. Gdy się obejrzałem, złodziej był już ode mnie w odległości kilku metrów. Oddalał się szybko. Po chwili zniknął w tłumie. Zrezygnowałem z pościgu; nie miałem szans... Był to mój pierwszy, a jakże bolesny kontakt z młodocianym obozowym złodziejaszkiem zwanym tu turka. Kradzieży dokonał na oczach wielu ludzi, w wyjątkowo prymitywnym i bezczelnym stylu. Czekał mnie trzeci dzień bez chleba. Poczuję się bardzo pokrzywdzony i, jeżeli by wielkość cierpienia była wymierna, to była by ona obecnie większa niż w chwili gdy odczytano mi wyrok /!/  
- To sukinsyn! - zaklął Maciek. - Ażeby się bydlak uchlawił.  
- Nie martw się - dodał po chwili - nasze dwie, nadgryzione wprawdzie pajki podzielimy na trzy części, a i tak będą to porcje większe aniżeli w wagonie.  
- Oczywiście tak zrobimy - potwierdził Zygmunt.  
- Dziękuję wam; fajne z was chłopaki. Nigdy wam tego nie zapomnę.  
Na duszy zrobiło mi się lżej.  
Barak, w którym nas ulokowano, był to parterowy drewniany budynek z dwuspadowym dachem pokrytym gontem. Okna miał bardzo małe, podobne do tych, jakie miały w Polsce stare wiejskie chaty z dziewiętnastego wieku. Tu chodziło zapewne o zapobieżenie od -



pływu ciepła wobec panujących silnych mrozów i długiej zimy.

Z centralnego wejścia do korytarza, prowadziły dwa wejścia do oddzielnych obszernych pomieszczeń dla dwóch brygad.

Sala wyposażoną była w piętnaście drewnianych piętrowych nar czyli prycz, każda dla czterech osób. Obok stały tumboczki czyli szafki nocne do przechowywania drobnych przedmiotów. Pośrodku ustawiony był kilkumetrowej długości stół, a po jego bokach dwie tej samej długości ławy. Przy wejściu znajdował się dwumetrowej długości gliniany piec pokryty żeliwną płytą. Oświetlenie stanowiła zwisająca z sufitu naftowa lampka. Podłoga drewniana z surowych desek miała spore szpary.

Zupę zdecydowaliśmy się zjeść na pryczy. Przy stole nie starczało miejsca dla wszystkich. Była nieco lepsza i gęściejsza niż w wagonie, jednak nie tak dobra jak się spodziewaliśmy. Poprawy wyżywienia mogliśmy oczekiwać dopiero wówczas, gdy rozpoczniemy pracę. Wielkość otrzymywanych porcji była tu uzależniona od wykonanej normy.

Mary zapakowane zostały do ostatniego miejsca. Było nas w brygadzie sześćdziesięciu. Ulokowani tu ludzie pochodzili z dwóch różnych wagonów. Z naszego w czasie podróży ubyło sześciu - ciężko chorych, przeniesionych do dochodiag - pozostało więc czterdziestu czterech. Wszyscy nasi ulokowali się w sąsiedztwie. Do nas trzech dołączył Żytko. Zajął miejsce z Zygmuntem na piętrze; ja z Maćkiem na parterze.

Prycze były gołe. Za materac służyła mi kurtka, koc do przykrycia, a wszystko pozostałe: marynarka, szalik, spodnie, buty, rękawiczki i ręcznik za poduszkę.

Uprzedzono nas, abyśmy niczego nie pozostawiali bez opieki, ponieważ panuje tu złodziejstwo; szczególnie nocą. Kradzieże dokonywane są nie tylko przez współlokatorów, lecz również przez obcych.

Byliśmy ciekawi, jak wygląda teren obozu, po którym mogliśmy się już teraz poruszyć swobodnie, bez konwoju. Było już ciemno i tę przyjemność odłożyliśmy na dzień następny. Obeszliśmy jedynie teren wokół naszego baraku.

Mieliśmy tu spędzić pierwszą noc - po trzydziestu siedmiu dniach - nie zakłóconą stukotem kół i łomotem młotków, nareszcie w ciepłym pomieszczeniu i na własnym oddzielnym pościeliu.

- Wiecie - odezwał się Zygmunt - słyszałem, że o kilkaset kilometrów stąd na wschód jest jezioro Bajkał; na południe - też nie wiele dalej - granica z Mongolią. Około tysiąca kilometrów jest do granicy z Chinami.

- Tysiąc kilometrów - wtrącił Maciek - wydaje się tu blisko, a u nas byłoby to przez całą Polskę w najdłuższym miejscu.

- Z tego wynika - dodałem uzupełniając przytoczone tu dane z geografii - że znajdujemy się od naszych domów o więcej niż 6 tysięcy kilometrów.

- Gdyby mnie teraz wypuścili - powiedział Żytko - nie zastanawiałbym się ani minuty i ruszyłbym do domu na piechotę.

- My wszyscy na pewno też - dodał Maciek - ale zanim się spakujemy, prześpijmy tę noc na miejscu, bo jesteśmy bardzo zmęczeni.

Dniewalnyj /dyżurny/ przykręcił knot. W sali zapanował półmrok. Był to sygnał do zachowania nocnej ciszy.

Odmówiłem dziś cały pacierz, Aniele Boży... i okryłem się szczelnie kocem. Było mi tak dobrze... Trochę twardo, ale w porównaniu z wagonem zupełny "komfort". Usnąłem natychmiast. Nie wiem, jak długo trwał sen? Wyrwały mnie z niego liczne ukąszenia. Sądziłem początkowo, że wszy, poczuwszy poprawę warunków, przejawiały teraz większą aktywność. Gdy zacząłem je zgarniać i rozgniatać, poczułem jakiś znany mi z przeszłości zapach. Były to pluskwy. Przypomniałem sobie, gdy kiedyś - będąc jeszcze w partyzantce - spałem na wsi u jakiegoś brudasa chłopca; oblażyły mnie i cięły niemiłosiernie. Resztę nocy przesiedziałem wówczas na krześle. Teraz czułem ich obecność na całym ciele. Gniotłem je na oślep szorując rękami gdzie popadło.

- Czego ty się tak wierzisz? - zapytał wyrwany ze snu Maciek.

- Ty nie czujesz? - Roje pluskiew po nas łażą. Nie dają spać!

- Rzeczywiście, mnie też coś gryzie - wymamrotał na wpół przy-

tomny, a po chwili dodał: - Pazabijałem wszystkie i śpię dalej. Potwierdził to spokojnym i głębokim oddechem.

Nie było wyjścia... Usnąłem również.

Gdy po nocy, przy dziennym świetle obejrzałem ciało, przerażeniem się. Całe było w plamach krwi i resztek rozgniecionych pluskiew.)

Do wszy, które towarzyszyły nam nieprzerwanie od początku pobytu w więzieniu, dołączyły insekty jeszcze bardziej dokuczliwe i żarłoczne.

Na śniadanie otrzymaliśmy czerpak bałandy i 500 gramów chleba. Zjedliśmy wszystko na raz i, ponieważ nie było w dalszym ciągu żadnych poleceń, postanowiliśmy zwiedzić obóz.

Teren, w kształcie kwadratu o boku około 200 metrów, ogrodzony był dworkowym płotem - z pali powbijanych w ziemię - o wysokości trzech metrów, zwieńczonym kilkoma rzędami kolczastego drutu. Przestrzeń przylegająca do płotu oświetlona była o zmroku i w nocy światłem elektrycznym. Na rogach usytuowane były wieżyce, wyposażone w ruchome reflektory, na których czuwali przez całą dobę strażnicy ochry. Kilkumetrowej szerokości pasy ziemi po obu stronach płotu - zaorywane i spulchnione - /zimą tę rolę spełniał śnieg/ stanowiły strefę zakazaną, zwaną tu zaprętnąją zona. Do człowieka, który tę przestrzeń naruszył, wartownicy mieli prawo strzelać bez uprzedzenia.

Oprócz kilkunastu baraków, w których mieściły się brygady robocze, w obozie znajdowały się następujące zabudowania: karaulnaja czyli wartownia przy bramie głównej; URBe /skrót oznaczał - jeśli dobrze pamiętam : Uprawlenije Raboczich Brigad /czyli biura, w których zatrudniani byli więźniowie, a także ludzie wolni, tak zwani wolnonajomyje; magazyn żywności, tak zwany prodowolstwennyj skład; magazyn odzieży - skład odożydy; warsztaty naprawcze czyli mastierskaja; szwalnia czyli szwejnaja; kuchnia z podręcznym magazynem żywności i stołó<sup>ka</sup> zwaną stołowaja; chlebożezka, o której już wspominałem; bania z nieodłączną żarłką na wszy; szpital czyli bolnica oraz izba przyjęć czyli prijomnyj pokoj, barak dla dochodiag, tu ciężko poszkodowanych nie



R y s u n e k

Według opisu na stronie 97

Widok obozu z lotu ptaka.

pracujących inwalidów oraz ludzi nieuleczalnie chorych - na wykończeniu; karczer i latryna czyli ubornaja.

Od tych, którzy przebywali tu już dłużej dowiedzieliśmy się, że strażnicy ochry wraz z naczalstwem oraz wolnonajomni mieszkają poza terenem obozu. Naczalstwo najczęściej w oddzielnych domach, a wszyscy pozostali w wielorodzinnych barakach. Były tam również sklepy, warsztaty rzemieślnicze oraz inne niezbędne dla codziennego życia obiekty.

Po obiedzie i krótkim wypoczynku wyruszyliśmy w dalszą wędrówkę.

Po ziemiance, więzieniu i wagonie, gdzie możliwości poruszania się mieliśmy mniejsze aniżeli zwierzęta trzymane w klatkach, spacer po obozie dawał nam poczucie dużej swobody.

Z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy wezwania do łaźni. Od ostatniej kąpieli w Moskwie upłynął z górą miesiąc. Ciało - jeszcze bardziej jak wówczas zwiotczałe i wysuszone - pokrywały liczne zaczerwienienia, strupy i pryszcze.

Bania i żarłoka pracowały na pełnych obrotach. Musiały przepuścić przez swe pomieszczenia kółka tysięcy nowoprzybyłych. Tego szczęścia doczekaliśmy się dopiero po pięciu dniach pobytu w obozie.

W sposobie strzyżenia, golenia, kąpieli i dezynsekcji ubrań obowiązywał wówczas - dla ludzi trzymanych w odosobnieniu - zapewne ten sam "styl" w całym Związku Radzieckim.

Po kąpieli było trochę ubawu, gdy pewien nowicjusz odebrał z żarłoki skórzane rękawiczki. Sądził, że zostały mu zamienione. Gdy się jednak im dobrze przyjrzał stwierdził, że otrzymał swoje. Wysoka temperatura, która nie zawsze dawała radę insektom, poradziła sobie z rękawiczkami, zmniejszając je do takiego rozmiaru, że nadawały się teraz dla średniej wielkości lalki. Dla ich właściciela nie było to wcale śmieszne. Były to jego jedyne rękawiczki, a zima trwała tu nadal.

Gdy po nocy z trzeciego na czwartego marca obudziłem się, przy moim posłaniu stali uśmiechnięci Maciek i Zygmunt. Gdyby nie oni, zapomniałbym o dniu moich imienin.

- Zdrowia, szczęścia, a także jak najszybszego powrotu do kraju - obowiązkowo w naszym towarzystwie - życzę ci z całego serca - powiedział Maciek.

Życzenia złożył mi również Zygmunt, podpisując się pod tym, co powiedział Maciek, a także Żytko, gdy za - uważył, że się ściskamy, zeskoczył z nar, uścisnął mnie i życzył jak najszybszego powrotu do domu.

Przy końcu pierwszej dekady marca wezwano naszą brygadę na badanie lekarskie. Za stołem siedziała kobieta w towarzystwie dwóch mężczyzn; wszyscy w wojskowych uniformach.

Polecili rozebrać się do naga. Poczujęm się bardzo skrępowany...

- Jakie jest twoje nazwisko, imię i imię ojca? - padło pierwsze pytanie.

Następne dotyczyły: narodowości, roku i miejsca urodzenia oraz wyuczonego zawodu. Na ostatnie odpowiedziałem, że jestem urzędnikiem i że pracowałem na kolei w biurze parowozowni.

- Podejdź bliżej - rozkazała kobieta. - Obróć się. - Możesz się ubierać.

Badanie zostało zakończone.

- Co to za badanie? - powiedziałem, gdy znaleźliśmy się znów razem. - Ani słowem nie zapytali jak się czuję?...

- Mnie badali tak samo - powiedział Maciek.

- I mnie także - dodał Zygmunt.

- Oni bardzo dobrze wiedzą, jak się kto czuje - "wyjaśnij"

Maciek - i po co by mieli zadawać zbędne pytania.

- Gdy zapytali o zawód, powiedziałem, że chodziłem do szkoły rzemieślniczej.

- A ja - dodał Zygmunt - że ukończyłem kurs dla sanitariuszy.

Te właśnie - pozornie niewinne - pytania miały zadecydować o naszej najbliższej przyszłości: Zygmunt został skierowany do pracy w bolnicy; Maciek zatrudnili w mastejskiej. Ja miałem czekać na dalsze decyzje.

Po kilku dniach zakomunikowano mi, że zostanę przeniesiony





wiadomości i - chleb. Dał go nam w wielkiej tajemnicy, aby nie drażnić innych. Każdy z nas - także Żytko - otrzymał po jednej 500 - gramowej pajce. Wybałuszyliśmy oczy, nie wierząc w szczęście, jakie nas spotkało.

- O nic nie pytajcie, tylko słuchajcie - powiedział Zygmunt. - Gdybym wiedział, jak tam jest, nigdy bym nie ujawnił mojego medycznego wykształcenia. Nie wyobrażacie sobie, co się tam dzieje. Istna trupiarnia. Umiera codziennie kilkudziesięciu. Nie nadążają grzebać. Gdzieś ich wynoszą, ale nie wiem, co z nimi robią? - Ziemia zamarznęta na metr, albo głębiej... - Największe zniwo zbiera krwawa biegunka i tyfus. Ci, przed śmiercią, nie wstają już do ubornej, tylko robią pod siebie. Straszny smród. Lekarstw żadnych nie dają. Czyj organizm sam nie zwalczy choroby - wykańcza się. Niektórzy chorzy na biegunkę, leczą się sami. Pałają chleb na węgiel i jedzą. Prowadzą kilkudniową głodówkę. Piją do tego kipjatok. Tylko nielicznym udaje się wyleczyć. Chorzy na tyfus nie mają szans. Zaziębienia też nie ma czym leczyć; brak nawet aspiryny. Pozostaje wiele chleba i bałandy. Można się tam najesć do syta i wykarmić całą brygadę. Moja rola ogranicza się do podawania im bałandy, chleba i kipiłatku, którego wypijają całe wiadra. Nie nadążam nosić. Spośród tych, których przenieśli z naszego wagonu do dochodiag, nikogo - oprócz ex - starosty - nie ma wśród żywych. Przejrzałem całą bolnicę. On też długo nie pociągnie; jest bardzo słabiutki. Już nie wstaje o własnych siłach. A pamiętacie - przecież symulował chorobę, aby go przenieśli do ciężko chorych. Tam się zaraził krwawą biegunką i teraz już ledwie zipie.

- Wcale mi go nie żal - powiedział Maciek.

- Nikomu z nas go nie żal - dodałem. Chciał nas wykończyć, a sam postarał się o to dla siebie.

Te straszne rzeczy, które Zygmunt opowiadał nie przeszko - dziły nam bynajmniej w jedzeniu bolnicznego chleba. Z połową pajki rozprawiłem się w mig. Z drugą szło mi nieco gorzej. Żołądek przystosował się do łagiernych porcji. Połowę pozostawiłem więc na kolację.

Był to dla nas pierwszy, od wielu miesięcy, poważny zastrzyk dodatkowych porcji chleba, który wpłynął w znacznym stopniu na poprawę naszego samopoczucia.

- Czy jednak warto - powiedziałem, zwracając się do Zygmunta - abyś ryzykował zdrowiem? Twoja praca w bolnicy jest bardzo niebezpieczna /!//

- Co wy, chłopaki, chorych staram się nie dotykać, a jeżeli muszę, myję natychmiast ręce; nawet po kilka razy na minutę.

"Rozpusta" z dodatkowymi porcjami chleba trwała dla mnie zaledwie kilka dni. Nadeszła chwila pożegnania. Rozstanie było przykre; dla mnie szczególnie bolesne. Oni pozostawali na miejscu w sytuacji wiadomej i w jakiś sposób ustabilizowanej; ja wyruszałem w nieznane?...

- Trzymajcie się - powiedziałem na pożegnanie. - Może - jak Bóg da - jeszcze się spotkamy; jeżeli nie tu, to w kraju.

- Na pewno Bóg da - pocieszył mnie Zygmunt. Gdybyśmy przestali w to wierzyć, życie nasze nie miałoby sensu.

- Będzie nam ciebie bardzo brak - dodał Maciek<sup>✓</sup> ale nie tracimy nadziei... Minę miał przy tym - co mu się niezbyt często zdarzało - bardzo poważną.

Stali obaj, aż zniknąłem za bramą.

Do Ingasza przywieziono kilkuset nowych z różnych obozów. Znalazłem się w baraku z zupełnie nieznanymi ludźmi. Na moich narach rozlokowali się: na parterze dwaj Rosjanie, na piętrze - wraz ze mną jakiś południowiec o kruczo czarnych włosach i śniadej cerze. Miał lat około pięćdziesięciu. Jak się później okazało był Ormianinem. Na imię miał Aran.

Nie byli to obozowi nowicjusze. Każdy z nich legitymował się kilkuletnim łagiernym stażem. Z ich zachowania widać było, że przyzwyczaili się już do nowych warunków. Ja natomiast, rozłączo-



ny z moimi najbliższymi przyjaciółmi, czułem się tu obco.

Moją niepewność dostrzegł sąsiad z piętra.

- Dlaczego jesteś taki smutny?- zapytał.

- Czuję się tu bardzo osamotniony. - Nie dość że wywieźli mnie z mojej ojczyzny, to jeszcze dziś rozłączyli z moimi kolegami pochodzącymi z tej samej co ja miejscowości.

Gdy usłyszał, że jestem Polakiem powiedział, że jego też wywieźli z rodzinnych stron; z pięknej, słonecznej i ciepłej Armenii. Posadzili, gdy tylko rozpoczęła się wojna dlatego, że ma krewnych za granicą - na Zachodzie - z którymi utrzymywał jedynie listowny kontakt. Wyjechali zaraz po rewolucji i nie pytali go o zdanie. Miał wówczas dopiero trzynaście lat.

- Pomówimy jeszcze - powiedział schodząc pospiesznie z narlecz teraz muszę sobie zaparzyć herbaty. - Ona dla mnie ważniejsza, niż chleb.

Nabrał kubek wody i postawił na piecu.

Po raz pierwszy od chwili aresztowania widziałem, jak ktoś parzy herbatę.

Zacząłem się urządzać na posłaniu.

Ormianin zrobił na mnie przyjemne wrażenie. Jego towarzystwo wypełniło mi w pewnym stopniu pustkę, jaka powstała po oddzieleniu mnie od moich najbliższych przyjaciół.

Postanowiłem jeszcze dziś wyruszyć na poszukiwanie Pomy Mordasowa, którego mi tak bardzo polecał Zajcew.

Jego mieszkanie odnalazłem bez najmniejszego trudu. Zaprosił mnie do środka. Przyglądał mi się z zaciekawieniem, lecz gdy powołałem się na Zajcewa, przywitał mnie bardzo przyjaźnie. Wypytywał, co u niego słychać i jak sobie radzi ?

Powiedziałem, że byłem z nim w tej samej brygadzie i że byliśmy bliskimi sąsiadami. - Jest zdrow i pozdrawia go serdecznie.

- Ty na pewno nie jesteś Rosjaninem ? - zapytał, spoglądając na mnie badawczo.

- Jestem Polakiem - odpowiedziałem . Poczułem się nieco speszony...

-No dobrze. - powiedział jakby do siebie. Po chwili zapytał: - Nie jesteś głodny ?

-Nie wiedziałem jak się zachować?... Z drugiego wyjechaliśmy zaraz po śniadaniu, a tu przyjechaliśmy już po obiedzie. Byłem rzeczywiście głodny, ale gdy - nie chcąc okazać się natrętem - zwlekałem z odpowiedzią, wyjął z szafki pajdę chleba i:

- Masz, jedz - powiedział przyjaznym głosem.

Foma był średniego wzrostu; oczy miał szare bez wyrazu, włosy siwe rzadkie krótko przystrzyżone /nie ostrzyżone do "zera", tak jak niemal wszyscy w obozie/, nos szeroki krótki, cerę bladą, skórę na twarzy bardzo pomarszczoną. Miał lat - jak się później dowiedziałem - pięćdziesiąt, a wyglądał na sześćdziesiąt kilka. Był Ukraińcem. Nie miał na sobie - jak wszyscy o tej porze roku - waciaków, lecz typowy strój ukraińskiego chłopca: płócienne ciemne spodnie wpuszczone w buty z cholewami i jasnopopielatego koloru rubachę wypuszczoną na spodnie, przepasaną wąskim rzemiennym paskiem. Wyglądał czysto i schludnie. Robił wrażenie życzliwego i dobrego człowieka.

W izbie było czysto, co właśnie było jego zasługą.

Wyposażona była - jak na obozowe warunki - bardzo bogato: przy ścianach, po przeciwległych stronach, stały dwa drewniane parterowe łóżka zaścielone kocami. Pośrodku stał stół i dwie ławy. Była również szafa na ubranie i dwie nocne szafeczki, taboret z wiadrzem na wodę i wiadro na odpadki, a także umywalka z miednicą. Okno przysłonięte było firankami i zasłonkami. Niewielki piec z żeliwną płytą dawał dostateczną ilość ciepła.

- Ja nie mieszkam tu sam - powiedział Foma, gdy rozglądałem się po mieszkaniu. Jestem tu tylko dniewalnym.

Powiedział następnie, że głównym lokatorem jest Moskwanin, były pracownik resortu handlu zagranicznego. Jest narodowości żydowskiej. Bardzo młody; ma dopiero trzydzieści pięć lat. Bywał często służbowo za granicą. Nazywa się Duchan. Podpadł w czymś sowieckiej władzy i z artykułu "KRA" /kontrrewolucja i agitacja/ posadzili go w 1941 roku na dziesięć lat. Pracuje tu w biurze. Ma znajomości. Żyje mu się - jak na obozowe warunki - całkiem

nieźle, a jemu przy nim również. Chwalił go, że to dobry człowiek. Inteligentny, wykształcony; zna języki angielski i francuski.

Słyszałem, że błatnyje czyli ludzie mający chody, żyją w obozie o wiele lepiej, aniżeli pospólstwo. Nie przypuszczałem jednak, że mieszkają aż w takim komforcie, i że mają do swej dyspozycji ordynansa, dziś burżuazyjny przeżytek, a niegdyś przywilej oficerów carskiej armii.

Gdy rozmawiałem z Fomą, zjawił się drugi lokator. Wstałem od stołu i zacząłem zbierać się do wyjścia.

Foma przedstawił mnie przybyszowi, mówiąc, że jestem Polakiem i znajomym Zajcewa. Duchan objął mnie dyskretnie spojrzeniem, przywitał, po czym zachęcił, abym się nie spieszył i pozostał przez jakiś czas i opowiedział, co dzieje się teraz w Europie.

- Do kolacji jeszcze więcej, niż godzina - powiedział Foma, podtrzymując zaproszenie Duchana.

Główny lokator był mężczyzną wysokim, z górą metr osiemdziesiąt; szczupły, oczy miał piwne. Jego ciemne włosy układały się w fale. Był przystojny. Rysy miał regularne. Odziany był w waciałki. Strój, choć kazonny, był w zupełnie dobrym stanie i dobrany w kolorze. Na głowie miał futrzaną czapkę, na nogach nowe walonki. Wszystko to czyniło z niego obozowego eleganta.

- Jak się pan tu dostał? - zapytał.

Opowiedziałem wszystko od początku: o okupacji, partyzantce i aresztowaniu. Słuchali z zainteresowaniem.

Foma nie szczędził epitetów pod adresem sowieckiej władzy, a w szczególności NKWD. Duchan był w wyrażaniu takich opinii bardzo powściągliwy.

- Może nie wierzy w moją tożsamość? - pomyślałem.

Naród radziecki żył w tym okresie w okrótnym zastraszeniu i niepewności. Ludzie byli nieufni. Przejawy najmniejszych odchyleń od głoszonych przez władze marksistowsko-leninowskich doktryn były surowo karane. Nawet w odosobnieniu, gdzie - jak mogło się wydawać - już nic gorszego człowiekowi zagrozić nie może, ludzie czuli obawę przed represjami. Było powszechnie wiadome, że również i w tym środowisku NKWD lokowała swoje wtyczki



i różnego autoramentu donosicicli.

Ja nie czułem potrzeby zachowania jakiejkolwiek ostrożności wobec Fomy po tym, co usłyszałem o nim od Zajcewa.

Duchan - jak opisał go Foma - był rzeczywiście inteligentny, posiadał sporą wiedzę ogólną i zupełnie niezłe - jak na człowieka przebywającego od kilku lat w łagrach - wiadomości o tym, co się dzieje na świecie.

- Za pół godziny kolacja - powiedział Foma.

Miałem okazję pożegnać moich dwojga nowych sympatycznych znajomych.

Gdy wychodziłem, zapraszali abym ich często odwiedzał. Usłyszałem przy okazji komplement, że jak na tak krótki kontakt z językiem rosyjskim, radzę sobie z nim całkiem niezłe.

W niedługim czasie po moim powrocie do baraku zarządzono zbiór-  
kę na kolację. Oprócz zupy otrzymaliśmy po 150 gramów chleba.

Pluskwy nie dawały tu również spokoju. Były nieodłącznym at-  
rybutem wszystkich obozów. Było ich tu jedynie mniej. Urządzano  
zapewne częściej, bardziej skuteczną dezynsekcję.

Przez kilka pierwszych dni nie brali nas, nowoprzybyłych  
do pracy.

Wyżywienie dzienne stanowiło: na śniadanie zupa i 500 gramów  
chleba, na obiad zupa i czerpak - wielkości połowy szklanki - rzad-  
kiej kaszy, na kolację zupa i 150 gramów chleba.

Pensjonariusze tego łagru nie byli zatrudniani do prac w taj-  
dze. Nie kierowano tu ludzi chorych, <sup>(lecz)</sup> jedynie wycieńczonych długo-  
trwałym śledztwem, pobytem w więzieniu lub ciężką pracą w łagrze.  
Kuracja miała na celu regenerowanie sił w celu odzyskania robot -  
nika do pracy przy eksploatacji lasu.

Byli więc zatrudniani w magazynie warzyw i jarzyn, w warsz-  
tatach rzemieślniczych, do prac porządkowych w obozie, w szpitalu,  
kuchni i - w okresie letnim - w pomocniczym gospodarstwie rolnym,  
znajdującym się w pobliżu obozu.

Przez kilka tygodni miałem szczęście pracować w magazynie wa-  
rzyw i jarzyn przy sortowaniu marchwi, kartofli i kapusty. Praca  
polegała na odrzucaniu zgniłych marchwi i kartofli i obcinaniu

nałpsutych liści kapusty.

Przed przystąpieniem do pracy zostaliśmy uprzedzeni, że jedzenie na miejscu surowych jarzyn i warzyw, przyrządzanie z nich potraw, a także wynoszenie z magazynu, jest zabronione i będzie karane, z przeniesieniem do cięższej pracy, a nawet karcerem włącznie!

Racje żywnościowe dla złej pracujących były tu wprawdzie większe jak na drugim, ale potrawy pozbawione - jak wszędzie - mięsa i tłuszczu były mało kaloryczne i nie dawały poczucia sytości.

Głód był silniejszy niż strach, a przemyślność łagiernika osiągała szczyty pomysłowości. Przyłapanie na jedzeniu surowizny było praktycznie niemożliwe; trzeba by było przy każdym z nas posadzić bardzo uczciwie traktującego swój obowiązek strażnika. Gotowanie na piecu zdarzało się - choć bardzo rzadko - jeżeli nadzorca był w dobrym humorze lub został czymś przekupiony. Z wynoszeniem poza teren magazynu było podobnie: gdy kontrola prowadzona była w sposób pobieżny, udawało się przenieść do baraku, pokrojone na cienkie plasterki, niewielkie ilości kartofli, marchwi lub pojedyncze liście kapusty ukryte w ubraniu. Najpewniejszymi schowkami były: buty, rozpruty i następnie zaszyty z całą zawartością kołnierz, wewnątrz czapki lub miejsce pod paskiem od spodni.

Bardzo sumienny i doświadczony kontroler znalazł wszystko. Bywało i tak, że kazał wówczas rozbierać się do bielizny - niezależnie od pory roku... Trafiali się niekiedy i dobrzy ludzie, którzy dokonywali rewizji z przymróżeniem oka. Należało to jednak do rzadkości. Byli i tacy, którzy rewizji w ogóle nie przeprowadzali z powodu zwykłego lenistwa. W takich przypadkach piec w baraku pracował na najwyższych obrotach...

W Ingaszu poznałem kilkunastu Polaków Akowców aresztowanych w roku 1944. Zaprzyjaźniłem się bliżej z Wacławem Strusiem pochodzącym z Warszawy. Aresztowany został w grudniu 1944 roku w pobliżu Mińska Mazowieckiego i był sądzony - również z paragrafu 58, punkt 8 - za "zdradę ojczyzny i terroryzm". Linia frontu

przebiegała wówczas nad Wisłą.

Pamiętam, gdy zapytałem w śledztwie Mazurka, dlaczego moją sprawą zajmują się władze radzieckie, a nie polskie, wyjaśnił, że wynika to z Porozumienia zawartego z rządem polskim, w myśl którego każdy polski obywatel, który popełnił przestępstwo w strefie przyfrontowej podlega jurysdykcji władz radzieckich. Przypadek Wacława Strusia był ewidentnym tego "Porozumienia" zaprzeczeniem. Mińsk Mazowiecki leży bowiem w odległości 40 km od Wisły /?!/

Jak dowiedziałem się już w 1949 roku od innego kolegi - również sybiraka - Ryszarda Dolewskiego, Wacław Struś zmarł w krótkim czasie po powrocie do kraju.

Fomę odwiedzałem dość często; przynajmniej dwa razy w tygodniu. Witał mnie zawsze z niekłamaną radością. Częstoował zupą i chlebem. Odwdzięczałem się za to pomagając mu w pracy w jego mieszkaniu. Zamiatalem podłogę i teren przed barakiem, wynosiłem śmieci i przynosiłem wodę. Jeden raz w tygodniu myłem podłogę. Czynność ta była bardzo pracochłonna i męcząca. Podłogę należało namoczyć wodą i trzeć cegłą, a następnie ponownie obficie namoczyć i przeciągać szwabrami /rodzaj przyrządu na długim kiju podobny do ściągacza wody z szyb okiennych/.

Foma był już nie młody i schorowany. Wieloletni pobyt w łagrach bardzo wyniszczył jego organizm. Cenił więc moją pomoc przy pracach szczególnie wyczerpujących.

Zupę i kaszę dla Duchana i siebie otrzymywał w kuchni bez większych ograniczeń. W tej sytuacji wydzielenie dla mnie zupełnie niepełnej porcji nie sprawiało mu żadnego kłopotu.

Przy bliższym poznaniu jeszcze bardziej mi ufał. Któregoś dnia opowiedział mi swój bogaty w tragedie życiorys: Urodził się na Ukrainie w ostatnim dziesięcioleciu dziewiętnastego wieku. Był synem średnio zamożnego chłopca. Służył w carskiej armii, odbywając obowiązkową służbę jako poborowy. Podczas rewolucji jego pułk został rozbity przez czerwonych. Większość zginęła lub dostała się do niewoli. On uratował się ucieczką i, po przebraniu w cywilne ubranie, powrócił do swej rodzinnej wioski. Tam został przez



kogoś zadenuncjowany, aresztowany przez funkcjonariuszy CzeKi i zesłany na Syberię. Kilku jego kolegów ratowało się ucieczką do Polski. Jego też namawiali. Wybrał powrót do domu. Teraz bardzo żałuje...

Potwierdził wszystko to, co opowiadał o nim Zajcew, że dziesięcioletni wyrok, jaki otrzymał, przedłużali mu już dwukrotnie bez najmniejszego powodu i rozprawy sądowej; że siedzi w łagrach już z górą ćwierć wieku, w których przyjdzie mu - jak sądzi - prawdopodobnie pozostać do końca życia.

Przez ten okres czasu poznał wielu odbywających karę, a także nasłuchał się opowiadań o aresztowaniach i bestialskich metodach prowadzenia śledztwa przez milicję i służbę bezpieczeństwa. Jego zdaniem, z górą osiemdziesiąt procent ludzi skazanych za przestępstwa polityczne, dostało się do więzień i łagrów niewinnie.

Sadzali bogatych rolników, tak zwanych kułaków, ale często również drobnych posiadaczy ziemi; ludzi wierzących i praktykujących /władza głosiła teorię, że wiara to opium dla ludu/; popów i ich potomstwo; nauczycieli, którzy nie dość gorliwie wykładali zasady marksizmu, leninizmu i uwielbienie dla "najdoskonalszego wodza i ojca" sowieckiego narodu - Stalina; byłych żołnierzy carskiej armii, a także żołnierzy Czerwonej Armii, którzy dostali się do niemieckiej niewoli; tych, którzy mają krewnych za granicą /szczególnie na Zachodzie/; kłosokradów to jest tych, którzy po żniwach i zbiorach penetrowali pola i zbierali pozostawione kłosa, jarzyny i warzywa; szkodników gospodarczych - często domniemanych - aresztowanych na podstawie jednostronnego ustalenia winy przez władze partyjne, milicję lub służbę bezpieczeństwa; takich, którym znane było jakieś wykroczenie i nie donieśli o tym władzy; tych, którzy odmówili - gdy im proponowano - aby zostali konfidentami; ukraińskich nacjonalistów: petlurowców i banderowców; bołtunów, w tym wielu za opowiadanie politycznych dowcipów; za kontrrewolucję i agitację /KRA/ oraz tak zwane uprawianie terroru; elementy socjalno - niebezpieczne. Byli również i tacy, którzy za odmienne od marksistowskich poglądy zostali zadenuncjo-

A oto treść jedyne go grypsu od mamy:

"Mój Skarbie najdroższy,  
Życzę Ci, abys odzyskał wolność w Dzień Narodzenia Chrystusa.

25.X.44      Matka"

Wszystkie grypsy do mamy zostały przez nią starannie przechowane i są obecnie w moim posiadaniu. Gryps od mamy przewędrował ze mną kilkanaście tysięcy kilometrów i był świadkiem mojej największej w życiu tragedii.

Ostatnie pożegnanie z rodzicami trwało zaledwie kilka minut. Wartownik ponaglał, abysmy długo nie rozmawiali, by umożliwić pozostałym Polakom pożegnanie swoich najbliższych.

- Ja będę się modliła do Matki Boskiej, abys jak najprędzej powrócił do domu. Mam ciebie tylko jednego. - Pamiętaj, abys też modlił się codziennie do Matki Przenajświętrzej. Ona nas na pewno wysłucha. - Do kościoła nie będziesz chodził, bo oni w Boga nie wierzą, ale nie zapominaj o codziennej modlitwie. Odmawiaj pacierz i "Aniele Boży, Strózu mój..." - Wszystkie słowa wypowiedziała w wielkim skupieniu i powagą.

Zapewniłem, że będę się modlił codziennie, tak jak to czyniłem w ziemiance. /Rano i wieczorem odmawiałem pacierz; tylko w myśli

i nie klękałem na kolana!

Mama była bardzo religijna. Codzienne uczęszczanie do kościoła uważała za swój święty obowiązek. We mnie wpajała wielkie umiłowanie wiary i egzekwowała wypełnianie religijnych praktyk. Wszystkie kościelne święta obchodzone były w naszym domu bardzo uroczystie.

- Kończ, mama ! - Kazimir idziemy - włączył się wartownik. Ostatnie uściski i pocałunki ...

Na drogę dostałem pieczoną kurę, słoik smalcu i bochenek wiejskiego chleba.

Rodzice stali - jak zwykle - na podwórzu i odprowadzali mnie wzrokiem, aż zniknąłem w ziemiance.

27 października śniadanie otrzymaliśmy wcześniej, niż zwykle. Było jeszcze ciemno, a przy tym ponuro i dżdżysto. Pogoda była potwierdzeniem nastroju, jaki można mieć w takiej sytuacji.

Z ziemianek wyciągnięto nas około dwudziestu. Był Maciek i Zygmunt; nie było Zygmunta Kęski. Jego rozprawa zapewne się jeszcze nie odbyła. Uścisnęliśmy się serdecznie i stanęliśmy obok siebie. Jedynym pocieszeniem było to, że znaleźliśmy się znów razem.

Zostaliśmy załadowani na platformę samochodu ciężarowego. Polecono nam usiąść na podłodze i nie wstawać. Eskortę stanowiło trzech strażników: dwóch siedzących na stołkach z tyłu platformy i jeden w szoferce.

Była tu istna "Wieża Babel". Byli: Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini, a także ciemnowłosi południowcy przypominający wyglądem Arabów; Tatarzy i Kazachowie o dużych twarzach i skośnych oczach, podobni do Mongołów. Znaleźli się tu również: rosyjski Żyd nazwiskiem Awierbach z wyrokiem dziesięć lat za to, że został uznany za "opasnyj element" dla sowieckiej władzy, a także Polak z za Buga nazwiskiem Żytko, mieszkaniec miasta Baranowicze, które do 1939 roku należało do Polski. / My trzej byliśmy tu jedynymi Polakami i cywilami; wszyscy pozostali to obywatele ZSRR - wojskowi. Żytko miał dwadzieścia siedem lat. Przed wojną odbywał czynną służbę w wojsku polskim. Gdy Baranowicze znalazły się pod panowaniem sowieckim, powołany został - w dniu napaści Niemiec na Związek Radziecki - do Czerwonej Armii. Sądzony był za to, że



opowiadając w gronie kolegów o warunkach w wojsku polskim powiedział, że wyżywienie, jakie otrzymywali polscy żołnierze, było lepsze, aniżeli w wojsku radzieckim. Ktoś go zadenuncjował. Wyrok : siedem lat. Był to typowy boitun <sup>(czyli pleciuga.)</sup> Gdy dostrzegł, że jesteśmy Polakami dołączył do naszego towarzystwa.<sup>1</sup>

Moi współtowarzysze z ziemianki ulokowali się po przeciwnej stronie samochodu.<sup>2</sup>

Wygłoszono - jak zwykle w takich okolicznościach - formułę, że w razie próby ucieczki wartownicy użyją broni bez uprzedzenia.

Przed nami było wiele godzin jazdy, w czasie której mogliśmy - już teraz bez żadnych przeszkód - porozmawiać o tym, co każdy z nas przeżył w czasie ponad miesięcznej rozłąki.

Jechaliśmy szosą Warszawa - Lublin, oczywiście na wschód.

Gazik był bardzo głośny, deski platformy twarde; resory również. Wszystkie nierówności na drodze odczuwaliśmy w krzyżach. Rozprostować mogliśmy się tylko wówczas, gdy zarządzone postój dla zakażenia naturalnej potrzeby . Wypuszczano nas jedynie do przydrożnego rowu i tylko pojedynczo. Wartownik trzymał broń gotową do strzału. /Nigdy nie miałem tak troskliwej opieki w tak bardzo prozaicznej sytuacji !/

## W WĘZ I E N I U

Przed zmrokiem dotarliśmy do Brześcia. Wyładowano nas na placu więzienia.

Z opowiadania pewnego Ukraińca, pochodzącego z oddalonej o kilka kilometrów od Brześcia wioski, dowiedzieliśmy się, że warunki w więziennych pomieszczeniach są tu - jak na tego typu obiekt - bardzo dobre. W porównaniu z ziemianką oczekiwał nas tu prawdziwy, socjalny komfort.

Wprowadzono nas do pomieszczenia na parterze, w którym funkcjonariusze straży więziennej dokonali rewizji osobistej. Odebrano nam paski i szelki do spodni, sznurówki do butów, wszystkie przedmioty metalowe, w tym także: igły, agrałki, guziki i sprzączki, noże, żyletki, brzytwy i tym podobne drobiazgi, jakże potrzebne na codzień. Konfiskacie uległy również wszystkie przedmioty kultu religijnego, w tym : łańcuszki z krzyżykami i medalikami, różańce i książeczki do nabożeństwa.

Byłem świadkiem, gdy dokonujący rewizji NKWD`zista, znalazłszy u jednego z nas książeczkę do modlitwy, wykrzyknął z radością : kuritel'naja bumaga ! - i wyrwawszy kartkę nasypał do niej machorki i zapalił. - No, takich więcej. - Kto ma jeszcze taki papier ? - zapytał, wodząc wzrokiem po wszystkich przybyłych.

Dziś całe zło przypisuje się Stalinowi. To nie on jednak nakazywał odbierać ludziom książeczki do nabożeństwa, lecz czynili to na własny rachunek jego najgodsliwi wychowankowie, przerastający w okrucieństwie jakże często samego "mistrza" /!//

Po przeprowadzonej rewizji funkcjonariusze straży więziennej odczytywali kolejno nazwiska przybyłych i wzywali do stolika, przy którym sprawdzano szczegółowo naszą tożsamość. Spośród nas trzech poszedłem na pierwszy ogień.

- Jaka jest twoja narodowość ? - padło pierwsze pytanie.

- Polak - odpowiedziałem.

- O ! , i ty popadłeś do nas - powiedział <sup>(strażnik)</sup> patrząc na mnie z wyrazem szczerzej radości. - Pan za pana chowaj się - dodał śmiejąc się przy tym tak, że przypominało to rżenie konia.

Już gdzieś słyszałem ten pożałowania godny żart /?!/...

Potem było: nazwisko, imię, imię ojca i rok urodzenia.

Po sprawdzeniu personaliów zostaliśmy podzieleni na dwie grupy. Moi współtowarzysze z ziemianki zostali od nas oddzieleni. My trzej - na szczęście - pozostaliśmy razem.

Do celi skierowano nas jako pierwszych.

Gdy opuszczaliśmy salę odpraw pomachałem moim współlokatorom z KPZ ręką na pożegnanie. Uczynili to samo .

- Kazimierz !, napisz list - krzyknął Siergiej.

Ich poprawne, a nawet przyjazne wobec mnie zachowanie w czasie przeszło miesięcznego wspólnego pobytu w ziemiance spowodowało, że przyzwyczaiałem się do nich, a nawet ich polubiłem.

Tylko nieliczni Rosjanie - również spośród współtowarzyszy niedoli - okazywali nam, Polakom życzliwość.

Po rewizji nie mogłem sobie w żaden sposób poradzić ze spodniami i butami. I jedne i drugie nie chciały się na mnie trzymać. Buty spadały z nóg, szczególnie wtedy, gdy szedłem po schodach. Spodnie musiałem przytrzymywać ręką. Gdy je nosiłem jeszcze przed miesiącem, leżały na mnie jak ulał i trzymały się na biodrach bez paska; teraz miały wiele luzu.

Cela, do której nas wprowadzono, znajdowała się na drugim piętrze. Zastaliśmy w niej dwudziestu więźniów. Z ilości miejsc do spania wynikało, że przewidziana jest dla sześciu osób. Nas włączono trzydziestu.

Wyjrzałem przez okno. Było już ciemno. Po ulicach przemykali ludzie zajęci swoimi sprawami. Domy gorejące tysiącami świateł





Grupa Polaków zza Bugu na tle więzienia w Brześciu.

tętniły normalnym codziennym rytmem, obojętnym na to, co dzieje się za murami więzienia.

Myślami wróciłem do mojego rodzinnego Dębłina, sławnego przed wojną z jedynej w Polsce szkoły oficerów lotnictwa, zwanej "Szkołą Orłąt". Znalazłem się teraz w mojej ukochanej Twierdzy, w której się urodziłem i mieszkałem do wybuchu wojny. W pierwszych dniach września wszystkie rodziny wojskowych zostały z niej ewakuowane. Niemieckie lotnictwo już pierwszego września bombardowało Lotnisko i most kolejowy na Wiśle. Zapewniano nas wówczas, że do domów powrócimy za kilka - lub co najwyżej kilkanaście dni. Do Twierdzy, niestety, już nigdy nie powróciliśmy.

Moje rozmyślanie przerwał Zygmunt.

- Chłopaki, gdzie my się ulokujemy? - powiedział rozglądając się po celi w poszukiwaniu wolnego miejsca.

Nie było to łatwe. Na pryczach wszystkie były zajęte przez umieszczonych tu wcześniej lokatorów, do których przykleili się - kosztem wygody tych ostatnich - bardziej przedsiębiorczy z naszej bazanowskiej grupy. Połowa rozlokowała się na podłodze - także pod pryczą. Stosunkowo najluźniej było przy drzwiach w pobliżu kibla. Nie mieliśmy wyboru ...

Cela miała około sześciu metrów długości i czterech szerokości. Z prawej strony - patrząc od wejścia - znajdowała się pryczka ciągnąca się wzdłuż całej ściany. Była to metalowa konstrukcja pokryta deskami; bez materacy lub jakiegokolwiek podściółki. Z lewej, przy drzwiach stało metalowe wiadro o pojemności około pięćdziesięciu litrów - tak zwana parasza - do którego załatwialiśmy potrzeby fizjologiczne. Opróżniane było dopiero wówczas, gdy było pełne. Były to jedyne "meble" znajdujące się w pomieszczeniu.

Aby dobrać do paraszy trzeba było - szczególnie nocą - wykazać się umiejętnością ekwilibrysty. Cała podłoga zasłana była śpiącymi ludźmi i było prawie niemożliwe przebyć tę trasę i nikogo nie nadepnąć. Poszkodowany szał pod adresem intruza stosowne "życzenia..."

Nasza sytuacja pod tym względem była jednocześnie i dobra

i zła: do paraszy mieliśmy blisko, lecz byliśmy często potrącani i budzeni. Najdotkliwiej jednak dokuczał smród. W ciągu pierwszych kilku nocy prawie nie spałem. Budzili mnie ciągłymi szturchańcami coraz to nowi współtowarzysze... Wstrzymywałem chwilami oddech, aby choć na krótko uwolnić się od tego straszego fetoru. Gdy jednak zmuszony byłem, po takim "zabiegu" wciągnąć więcej powietrza, czułem go nie tylko w nosie, lecz w całym ciele. Parafrazując powiedzenie: "człowiek nie świnia, do wszystkiego się przyzwyczai", po kilku dniach powietrze wydało mi się zupełnie normalne.

Drobne braki w garderobie, które powstały przy rewizji, udało się usunąć dzięki pomysłowości i życzliwości pewnego Ukraińca nazwiskiem Glaesner. Nazwisko miał niemieckie, jego matką była Polka. On natomiast uważał siebie - czego wcale nie ukrywał - za ukraińskiego nacjonalistę. Przejęty głoszonymi przez Niemców hasłami o wolnej i niepodległej Ukrainie, naraził się władzy sowieckiej i trafił w nasze towarzystwo.

Z gubych, wyciągniętych z worka nici upłótkł sznurówki do butów i pasek do spodni.

Dziwiła mnie jego życzliwość, jaką nam okazywał. Znane były fakty licznych grabieży, podpaleń domostw oraz morderstw, dokonanych na Polakach przez Ukraińców w 1939 roku, gdy dawne tereny polskie zajęła władza sowiecka, a także gdy następnie, po czerwcu 1941 roku wkroczyli tu Niemcy.

Za elitę wśród więźniów uważali się Rosjanie. Następne klasy to Białorusini, Ukraińcy i dalej wszystkie inne nierusskije swołoczi, a na końcu my - Polacy.

Starostą w celi był kapitan - Rosjanin pochodzący z Syberii. Do jego obowiązków należało dopilnowanie przestrzegania więziennych przepisów, a także wyznaczanie ludzi do sprzątnięcia celi. Czynnością najważniejszą było dzielenie bałandy oraz porcjowanie i rozdawanie chleba. Starosta brał sobie - po zakonu - porcje podwójne.

"Sposobem gospodarczym" wykonane zostały rekwizyty do krojenia i ważenia chleba: znalezionym na parapecie za oknem odłamkiem szkła wystrugany został, z oderwanego od pryczy kawałek deski, drewniany nóż. Waga została wykonana z patyka wyciągniętego z miotły



oraz trzech kawałków sznurka.

Całodzienne nasze wyżywienie to około trzystu gramów chleba i czerpak bałandy na obiad. Ciecz ta była tak rzadka, że nikt nie używał do niej łyżki. Wyglądem przypominała mętną wodę. O jej "odżywczej" wartości świadczy powiedzenie : "jesz - woda, pij - woda, srat' nie będziesz nigdy".

Przydzielane nam - Polakom porcje chleba nigdy nie trzymały wagi. "Klasa uprzywilejowana" skupiona wokół starosty otrzymywała porcje największe.

Chleb, który dawali w KPZ<sup>o</sup> pochodził z wypieku dla wojska i był względnie dobrej jakości. Ten, który tu otrzymywaliśmy - z więziennej piekarni - nie przypominał swą strukturą ani smakiem chleba. Używana do jego wypieku podłej jakości mąka zaprawiona była sporą ilością otrąb. Podczas jedzenia miało się wrażenie jakby się połykało glinę nafaszerowaną ostem. Rano i wieczorem podawano kapiatok.

Nie zapomnę, gdy pewnego wczesnego ranka wyrwała mnie ze snu głośna rozmowa. Na pryczy siedział bardzo zdenerwowany Ukrainiec w wieku lat około czterdziestu, krępej budowy ciała, który, rozprawiając z najbliższej niego leżącymi sąsiadami, machając nerwowo rękami krzyczał :

- Moje suchary !... - Gdzie woreczek ? - Ukradł podlec ! ale ja odnajdę.

W sposób tajemniczy zniknął w ciągu nocy, wyciągnięty właścicielowi spod głowy/!/, woreczek z sucharami. Szczegółowa rewizja, której się wszyscy bez oporu poddali, nie dała pozytywnego rezultatu. Wszyscy przeszukiwani mieli miny "niewiniątek". Nie znaleziono śladu suchara, a było ich - jak twierdził właściciel - około kilograma. Przepadł również woreczek, mogący stanowić dowód przestępstwa./Prawdopodobnie został wyrzucony przez okno.../

Żaden człowiek nie może zjeść na raz w ciągu krótkiego czasu takiej ilości sucharów - tym bardziej wyголоdzony ?... Nikt jednak po tej nocy nie zachorował. Wszystko odbyło się bezszelestnie, podczas snu, gdy prycza i podłoga zasłana były szczelnie leżącymi ludźmi. Był to prawdziwy złodziejski "majstersztyk".

Poszkodowany znał język polski. Mieszkał od urodzenia do chwili aresztowania we wsi w pobliżu Łucka, która przed 1939 rokiem należała do Polski. Miał odsiedzieć w łagrze 15 lat za to, że po zajęciu przez Niemców Ukrainy pełnił w swojej wiosce funkcję sołtysa, którą - jak twierdził - sprawował jeszcze przy władzy radzieckiej. - Ludzie za mną świadczą - mówił rozgoryczony - że nic złego nie uczyniłem i Niemcom się nie wysługiwałem. - Nie pomogło. Posadzili.

Można było uwierzyć w to, co mówił. Gdyby kolaborował z Niemcami, nie siedziałby teraz z nami, lecz z katorżnikami i z wyrokiem o wiele wyższym.

Z jego opowiadania poznałem kilka szczegółów o obiekcie, w którym przyszło nam obecnie zamieszkać, a mianowicie: więzienie zostało zbudowane na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej przez władze polskie. Usytuowane było zdaleka od centrum miasta, w pobliżu miejskiego parku i rzeki Muchawiec. Opodal znajdowały się dwa obiekty przemysłowe: tartak, widoczny z naszej celi oraz wybudowana w latach trzydziestych, również przez władze polskie z udziałem Szwedów, hydroelektrownia na rzece Muchawiec. Zewnętrzna elewacja budynku, wykonana z czerwonej cegły, dała mu powszechnie używaną tu nazwę "Czerwoniak". Całość otoczona była kilkumetrowym mурowanym płotem zwieńczonym kilkoma rzędami kolczastego drutu. Na czterech rogach parkanu usytuowane były wieżyczki dla straży. Czteropiętrowy budynek mógł pomieścić kilka tysięcy więźniów.

Pojawiły się w naszych ubraniach i we włosach wszy. Rozmnażały się bardzo szybko. Wyszukiwanie ich i likwidowanie stało się naszym ciągłym zajęciem.

Już po kilku dniach pobytu w więzieniu potworzyły się w naszej celi grupki ludzi bardziej ze sobą zaprzyjaźnionych. Do nas dołączył, jeszcze w samochodzie, i pozostał do dziś, Żytko z Baranowicz. Nie stronił od nas Glaesner, który jednak częściej przebywał w towarzystwie swych rodaków z Ukrainy. Czasami dołączał, na plotki, znajomy z KPZ'ę Awierbach.'

Prowadzone rozmowy dotyczyły najczęściej okresu spędzonego

na wolności. Należały do nich również wspomnienia o przysmakach, które kiedyś jadalіśmy, a które dziś drażniły jedynie naszą wyobraźnię...

Przeważającą liczbę w naszej celi i - jak sędzę - w całym więzieniu, stanowili polityczni. Sądzeni byli w znacznej większości na podstawie paragrafu 58 za terroryzm i wrogi - najczęściej domniemany, jak twierdzili wtajemniczeni - stosunek do władzy sowieckiej, a także wielu, których władza posadziła po prostu "na wszelki wypadek".<sup>2</sup>

Mijał dzień po dniu, jeden podobny do drugiego, tylko wszy - pomimo codziennych polowań - wciąż przybywało. Ubywało nam natomiast w dość szybkim tempie na wadze.<sup>3</sup>

Od ciągłego spania na boku na gołej podłodze, wystające części bioder powycierały mi się do kości. Przysychające nieco w ciągu dnia rany, drażnione każdej kolejnej nocy, krwawiły i przylepiały się do bielizny. Na "luksus" spania na plecach lub na brzuchu mogła sobie pozwolić jedynie "klasa uprzywilejowana", zajmująca miejsca na pryczy. Pozostała "swołocz", ze względu na panującą ciasnotę, mogła spać, przylegając szczelnie ciało do ciała, tylko na boku.<sup>4</sup>

O jakiegokolwiek pomocy lekarskiej, a nawet otrzymaniu najprostszego medykamentu jakim jest woda utleniona, nie było mowy. Pamiętam, gdy pewnego dnia jeden z nas zranił się dość dotkliwie w rękę, żłobiąc kawałkiem szkła drewnianą łyżkę. Zapukał w drzwi i pokazując strażnikowi mocno krwawiącą ranę, poprosił o wodę utlenioną lub jodynę. Nie tylko został wyśmiany, lecz nieomal nie trafił do karceru za posiadanie w celi ostrego narzędzia. Uratowało go jedynie to, że powiedział, iż zranił się o wystający kawałek metalowej konstrukcji pryczy.<sup>5</sup>

Tym samym "narzędziem" wykonana została z przemyconego przez rewizję kawałka drutu igła. Pomysłowy wykonawca wykazał wiele cierpliwości, szczególnie przy żłobieniu otworu. Zajęło mu to cały dzień żmudnej pracy. Zaostrzenie końca było bagatelką.<sup>6</sup>

Nasze wciąż jedyne i te same ubrania, które służyły jako okrycie i materac, nie czyszczone i nie prane, wymagały coraz



częstszej naprawy. Na wypożyczenie igły trzeba było czekać w kolejce. Zapłata - w zasadzie dobrowolna - wynosiła, w zależności od czasu jej użytkowania, kilkadziesiąt gramów chleba. Jeżeli ktoś nie miał własnego materiału na łaty, kupował go również za chleb. Nici do szycia wyciągaliśmy z worka. Z kawałków płótna, które podarował nam Glaesner, uszyliśmy woreczki do przechowywania chleba. Takie woreczki uszyli sobie wszyscy. Spełniały ważną rolę: chleb włożony do kieszeni bardzo się kruszył; pozostawiony nawet na chwilę, bez opieki "znikał"; przechowywany w woreczku, zaciągniętym sznurkiem i przytroczony do pasa, był absolutnie bezpieczny. Rekwizyt ten miał dodatkowo zaletę, że nie uroniła się z niego nawet najdrobniejsza kruszynka.

W człowieku pozbawionym wolności, przebywającym nawet w ciężkich warunkach, pojawia się niekiedy w jego podświadomości jakiś instynktowny pęd do normalnego życia. Odżywają w jego osobowości pozytywne wartości jakimi obdarowała go natura. Zdarza się to najczęściej wówczas, gdy zaświta jakaś iskra nadziei na odzyskanie wolności lub poprawę ciężkiego losu.

Zabrzmiała pewnego dnia w naszej celi piosenka; po niej następna i następna... Zdarzyło się to, gdy jeden z naszych współlokatorów, mieszkaniec miejscowości położonej w pobliżu Brześcia, otrzymał z domu paczkę z żywnością. Były w niej suchary, cebula i słonina. W naszych warunkach był to prawdziwy zastrzyk "glukozy". Szczęśliwiec zabrał się natychmiast do jedzenia. Poczęstował kawałkami suchara i plasterkami słoniny - jak to było we zwyczaju - jedynie kilku zaprzyjaźnionych z nim, najbliższych sąsiadów. U wszystkich pozostałych "uczta" ta wywołała niepożądaną reakcję organów trawiennych oraz zdecydowane pogorszenie samopoczucia...

W środowisku, w którym obowiązuje prawo: "Ty podychaj siegodnia, a ja zawtra", przewagę ma ten, do którego los uśmiechnął się, nawet wówczas, gdy jego szczęście obliczone jest na krótką metę.

Taka okazja nadarzyła się właśnie teraz. Śpiewali cicho, prawie szeptem. Śpiewanie w więzieniu było bowiem surowo zakazane. Rozbrzmiewały nuty przepojone smutkiem i tęsknotą. Była również

i taka piosenka, która - pamiętając okres carskiej Rosji - pasowała do naszej sytuacji i wciąż nie traciła na swej aktualności. Zapamiętałem dwie pierwsze zwrotki; oto ich treść:

W woskresenije mat' starucha  
k worotam tiurmy przisła  
i swomu rodnomu synu  
peredaczu priniesła  
Peredajcie peredaczu  
a to ljudi goworiat,  
czto po tiurmam zakliuczonych  
silno gołodom moriat...

Tłumaczenie tekstu:

W niedzielę matka staruszka  
podeszła do bramy więzienia  
i swemu rodzonemu synowi  
przyniosła paczkę.

Przekażcie paczkę  
bo ludzie mówią,  
że więźniów w więzieniach  
bardzo morzą głodem...

Nie pamiętam dalszych zwrotek piosenki. Nie zapomniałem jednak jej tragicznego epilogu: Zbolałej matce paczkę zwrócili. Jej syn już nie żył; został rozstrzelany /!/  
←

Po około miesięcznym pobycie w więzieniu zaprowadzono nas po raz pierwszy do bani czyli łaźni. Przed kąpielą zostaliśmy poddani "obróbce" fryzjera. Stawało się przed nim w stroju "Adama", a on, poczynając od góry, orał maszynką do strzyżenia głowę i twarz, oszczędzając jedynie brwi. Niższe partie, to jest pod pachami i niżej, podlegały namydleniu i goleniu brzytwą. Muszę przyznać, że była to dla mnie operacja bardzo krępująca ... W ten jednak sposób pozbywaliśmy się nie tylko włosów, lecz setek gnid i wszy. Dalej następowało smarowanie ciała cieniutką warstwą /na grubą nie starczało przydziału/ mazistego mydła. Później był prysznic chłodną wodą, krótkie wysychanie i biegiem do szatni. Pozostawione w ubraniu i bieliźnie wszy oczekiwały w pełnej gotowości, by ze zdwojoną zjadłością dobrać się do umytego i zmiękczonego kąpielą ciała.

Tylko ten poznał smak "prawdziwej" kąpieli, kto - nie zdejmując przez cały miesiąc ubrania i nie myjąc w ciągu tego czasu nawet rąk i twarzy - dopadł okruch mydła i trochę wody /!/  
←

Dostawy bałandy i kipiátku do celi odbywały się względnie regularnie. Gorzej było z chlebem. Przynajmniej jeden raz w tygodniu zawodziły. Za każdym razem obiecywano, że chleb będzie na pewno dostarczony i zaległość wyrównana. Nie znam takiego przypad-

ku, aby obietnica została dotrzymana. Nie pomagały prośby i narzekania, choć - trzeba przyznać - przyjmowane były przez władzę z "ubolewaniem". Władza raczyła tolerować jedynie takie, które miały charakter pokornej prośby... Na zdecydowane i stanowcze - jakkolwiek słuszne - nikt by się nie odważył. Bywa jednak i tak, że człowiek poniżony i ubezwłasnowolniony zdobędzie się na desperacki czyn rozpaczony w przypadku najwyższego zagrożenia, jakim jest utrata życia.

Miarka się przebrała, gdy w ciągu kolejnych dwóch dni nie otrzymaliśmy chleba. W celi zawrzało. My trzej siedzieliśmy cicho; zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze protesty na nic by się nie zdały i wywołałyby jedynie śmiech i oburzenie. Co innego, gdy zaprotestują obywatele radzieccy...

Minął z górą miesiąc naszego pobytu w więzieniu. Przez kilka pierwszych dni niezłym uzupełnieniem - a właściwie podstawą - naszego bytu była żywność, którą otrzymaliśmy na drogę od naszych rodzin w Bazanowie. Prawdziwa głodówka rozpoczęła się dla nas dopiero przed trzema tygodniami. Na więziennym garnuszku, prawie bez ruchu /na spacerach - jak to bywa w "cywilizowanych" więzieniach - nas nie wyprowadzano/, w panującym w celi zaduchu oraz z udziałem bardzo aktywnych wszy, organizmy nasze zostały doprowadzone do ruiny. Sprawę pogorszyły jeszcze dwa ostatnie dni bez chleba.

Kondycję, jaką wówczas mieliśmy, obywatele radzieccy określali powiedzeniem: "Nie podochniesz, no lubiś' nie zachociesz". Nasza kondycja była o wiele słabsza. Straciliśmy kilka dalszych kilogramów na wadze. /Stwierdziłem to w łaźni/. Mięśnie zwiótzczały, a skóry na ciele było jakby za dużo.

- Ciekawe - odezwał się w pewnej chwili Maciek - jak długo człowiek może żyć bez jedzenia ?

- Z tego, co wiem - powiedziałem - bez jedzenia i picia umiera po około dziesięciu dniach, przy czym po siedmiu nie może już chodzić. Jeżeli pije wodę, żyje o kilka dni dłużej.

- No tak - uzupełnił mnie Zygmunt - jeżeli był zdrow i sprawny fizycznie. Nam trzeba by było ten okres skrócić na pewno o



kilka dni.

- Chyba nas tu na śmierć nie zagłodzą - powiedziałem. Mają nas przecież stąd zabrać do pracy?...

Na całym świecie więźniowie przebywają w odosobnieniu i nie są zmuszani do pracy. Niemcy stosowali wprawdzie taki przymus, ale praca miała wówczas na celu nie tylko uzyskanie ekonomicznych efektów, lecz przede wszystkim szybkie uśmiercanie przeciwników. Sowiecka władza stosowała w tym względzie nieco zmodyfikowany modus vivendi : Zanim się człowieka wykończy, można jeszcze z niego wiele wycisnąć...//

Gdy pomimo obietnic, trzeciego dnia również nie dano nam chleba, a na obiad podano jedynie bełtugę, niezadowolenie sięgnęło szczytu. W pewnej chwili dało się słyszeć z sąsiedniej celi słabe pukanie w ścianę. Uderzenia były ciągłe lecz nieregularne. Wyglądało to - w moim odczuciu - jakby ktoś wbijał w ścianę gwóźdź lub dokonywał jakiejś naprawy. Inaczej odebrali to siedzący na pryczy, w pobliżu ściany skąd dochodził głos, armiejcy. Przerwali rozmowę i zaczęli nasłuchiwać. Domyśliłem się, że był to przekaz jakiegoś tekstu alfabetem Morse'a.

Zapanowała cisza. Niewielu z nas znało ten alfabet, lecz wszyscy słuchali z zapartym tchem. Po chwili do grupy nasłuchujących dołączył jeszcze jeden wojskowy. Słuchał skoncentrowany. W pewnym momencie, <sup>(gdzie)</sup> w nadawaniu nastąpiła przerwa,

- Towarzysze ! - powiedział szeptem - oni oczekują odpowiedzi. - Kto ma dobrą, metalową łyżkę ? - zapytał , rozglądając się po celi.

Znalazła się natychmiast.

Wystukiwał krótko. Potwierdził, że tekst został odczytany. Nadawanie zostało wznowione. Trwało jeszcze około dwóch minut ,

po czym zupełnie ucichło. Nasi wystukali do nich jeszcze kilkadziesiąt znaków. Po chwili, ten który nadawał - zwracając się do nas - powiedział:

- Towarzysze! nasi bracia w sąsiedniej celi, i jak na to wygląda w innych celach, tak jak i my już trzeci dzień nie otrzymują chleba. Nasze prośby nie poskutkowały. - Około godziny trzeciej po obiedzie, gdy robotnicy w mieście będą opuszczali swe zakłady powiemy im, jak tu się nad nami znęcają. Niech dowie się całe miasto, że od trzech dni nie otrzymujemy naszej nędznej porcji chleba; że morzą nas głodem. - Zostało ustalone, że otworzymy okna i będziemy krzyczeć. Jeżeli uczynimy to wszyscy, nic nam nie grozi. Tylko solidarnie ! - bratcy. Niech się nikt nie załamie. Ostatnie słowa wypowiedział z dużą powagą. Brzmiały jak rozkaz.

- Informację, którą otrzymaliśmy, musimy przekazać naszym sąsiadom z przeciwnej strony - dodał - po czym wzięła łyżkę i rozpoczął wystukiwanie.

- Na razie zapytałem ich czy znają Morse'a ? Jeżeli nie, dalsze stukanie nie miałoby sensu.

Oczekiwaliśmy w napięciu. Bez rezultatu.

- Zapewne nie zrozumieli - powiedział zrezygnowany. - Spróbuję jeszcze raz. Jeżeli nie zareagują - trudno... - Odstukam naszym nadawcom, że tamci nie odbierają.

Nagle rozległo się oczekiwane pukanie.

- Zrozumieli ! - krzyknął uradowany.

Odetchnęliśmy z ulgą.

Stukał teraz spokojnie, powtarzając szeptem słowa, jakby sam siebie sprawdzał czy nadaje prawidłowo.

- Powtarzam jeszcze raz - powiedział tym razem głośno, i zastukał ponownie.

Po chwili nadali odpowiedź:

- Wszystko zrozumieliśmy. Przyłączamy się !

- Zadanie wykonane! - powiedział nasz "telegrafista".

Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

Wszyscy poczuliśmy ulgę, choć w tej akcji byliśmy jak do-

tań jedynie statystami.

Zbliżała się godzina "zero". Napięcie rosło. Skupiliśmy się przy oknie.

Nagle w jednej z cel pod nami zagrzmiało:

- Towarzysze robotnicy, chleba nam nie dają - morzą nas głodem! - R a t u j c i e - e - e ! I znów: Towarzysze robotnicy, chleba nam nie dają...

Więźniowie wszystkich cel dołączali kolejno do tego dramatycznego apelu. U nas krzyczeli prawie wszyscy; my również. W krzyku tym było tyle potęgi, że nie słyszałem własnego głosu.

Ludzie na ulicy przystawali; zbierali się w grupki i spoglądali w kierunku więzienia.

- Niech się wszyscy dowiedzą - pomyślałem - że chcą nas tu zamorzyć głodem.

Trwało to może minutę, może dwie - gdy nagle:

- Rebiata, wystarczy! - Przestańcie krzyczeć. Rozejdźcie się! - zakomenderował starosta.

Zapanowała cisza. W innych celach krzyki nie ustawały. Staaliśmy w dalszym ciągu wszyscy przy oknie.

- Rozejdźcie się!, mówię - powtórzył wezwanie starosta, po czym dodał: - Będzie lepiej, jeżeli - gdy zjawi się tu straż - zastanie nas wszystkich siedzących spokojnie na swoich miejscach...

- Starosta ma rację - poparł go któryś. - Idziemy na miejsca!

Pod oknem powoli pustoszało. Atmosfera była jednak wciąż napięta, choć głosy w poszczególnych celach systematycznie zanikały.

Znane są w historii więziennictwa protesty i bunt więźniów, które zdarzały się w różnych częściach cywilizowanego świata. Spowodowane były najczęściej nieprzestrzeganiem przez władze więzienne obowiązujących przepisów oraz panującymi w więzieniu złymi warunkami socjalnymi, między innymi: zbyt małym metrażem pomieszczeń /u nas przypadająca na więźnia powierzchnia liczona była nie w metrach, lecz w decymetrach/; mało kalorycznymi i niezbyt smacznymi posiłkami /nasze posiłki były prawie zupełnie pozbawione kalorii, a co do smaku, trudno się wypowiadać, ponieważ nie miały żadnego/; zbyt twardymi materacami i niezbyt często zmienia-



ną pościelą /problem ten nie istniał, ponieważ nie mieliśmy ani materacy, ani pościeli/. Należałoby tu jeszcze wspomnieć o higienie, ale o tym już pisałem, i o braku jekiejkolwiek prasy - nie tylko do czytania, ale nawet na skрэty - oraz o wielu innych "burżuazyjnych zachciankach".

Po tym, co się wydarzyło, należało się spodziewać, że skompromitowana wobec wolnego społeczeństwa Brześcia władza zareaguje natychmiast następną porcją perswazji lub - po prostu - dostawą zaległych porcji chleba. Niestety, władza nie poczuła się ani skompromitowana, ani upokorzona, bowiem władza sowiecka, reprezentowana w tym przypadku przez NKWD, posiada *carte blanche* na ocenę sytuacji i stosowanie dowolnych środków, w szczególności wobec tak zwanych "wragów sowieckiej władzy". O tym, jak się zachowała - poniżej:

Można sobie wyobrazić jak szalała z powodu takiego dictum i jak intensywnie myślała nad sposobem ukarania "winnych". Nie było to łatwe; były ich tysiące. Lecz władza - godny spadkobierca CzeKi<sup>x/</sup> - znalazła natychmiast "stosowne" wyjście z sytuacji:

Trzask otwieranego zamka przerwał moje refleksje. W drzwiach ukazało się dwóch nafaszerowanych furją strażników.

- Kto tu wrzeszczał ?! - krzyknął stojący w drzwiach, wielki jak niedźwiedź strażnik.

Jego towarzysz stał za progiem z gotową do strzału pepeszą. Nie było odpowiedzi. Panowało głuche milczenie.

- Kto tu wrzeszczał ?! - pytam. - Krzyknął, tym razem jeszcze głośniejsze, cedząc pełnym wściekłości wzrokiem sprawców zakłócenia "błogiego" więziennego spokoju.

I tym razem cisza...

- Kto tu jest starostą ?! - zapytał, nie znajdując chętnych do rozmowy.

- Ja - powiedział starosta naszej celi.

- Może i ty krzyczałeś ?

- Niech będzie, że i ja - padła spokojna odpowiedź.

- Chodź tu ! - rozkazał strażnik.

Starosta wyszedł z grupy.

---

x/ CzeKa - Cieniezwyczajnaja Komissija po borbie s kontrrewolucijej i sabotazom / Nadzwyczajna Komisja do walki z kontrrewolucją i sabotazem/.

Jednym ciosem wielkiej jak bochen chleba łapy został zwalony z nóg.

- Za co?...Przestańcie - zawołał starosta, usiłując podnieść się z podłogi.

Dudniły ciosy zadawane butem, gdzie popadło: w brzuch, w plecy...

- Ty, co?... - jestem oficerem; walczyłem od samego początku... - Mam syna takiego, jak ty...

Znów cios.

- Jaki z ciebie oficer?! - swołocz, podlec!

I znów cios.

- Hospodi! - wykrztusił, i legł bez ruchu.

Chwycili za gimnastiorkę i wywlekli z celi.

- B r a t c y, r a t u j c i e - e - e ! - dochodziło głucho wołanie zza zamkniętych drzwi.

Nie widziałem nigdy dotąd tak okrutnie maltretowanego człowieka.

Staliśmy najbliżej. Wszystko działo się w drzwiach przy parasy w pobliżu naszego legowiska. Każde kopnięcie odczuwałem na własnym ciele.

- Ale mu dogodzili - przerwał milczenie Maciek. - Jak to dobrze - dodał - że żaden z nas nie jest starostą...

- To nie były żarty - powiedziałem. To było straszne. - Mam dla niego wiele uznania. Całą odpowiedzialność wziął na siebie...

- Gdy go zapytali, przyznał się, że krzyczał, choć krzyczeliśmy wszyscy - poparł mnie Zygmunt.

- I tak by go wzięli - zareplikował, nie dając za wygraną Maciek. Starosta jest odpowiedzialny za to, co się dzieje w celi.

- Czy już tak szybko zapomnieliście, jakie nam dawał "duże" pajki chleba i jak "gęstą" bałandę?! - Po chwili namysłu dodał: do kościoła na pewno nie chodzi, pacierza nie odmawia, ale, gdy mu trochę dołożyli, to "Hospodi" wołał?...

Towarzysze radzieccy - szczególnie jego najbliżsi koledzy -

przyjęli to bestialstwo z oburzeniem.

- O, jaki łotr ! - wrzasnął jeden z nich wygrażając kułakiem w kierunku zamkniętych drzwi. - Najgorsze to - powiedział z bezradną miną - że widzisz, jak biją naszego brata i nijak nie możesz mu pomóc.

Dla wszystkich było jasne, że posadzili go do karceru.

Hitlerowcy oprawcy z gestapo stosowali podobne metody traktowania swych ofiar. Maltretowali je jednak najczęściej w specjalnych do tego celu przygotowanych miejscach tortur; jak przystało na ludzi chrzczących się imieniem Kulturtraeger . Unikali - jeżeli to nie było "konieczne" - miejsc publicznych. Metodą naszych oprawców była bardziej wyrafinowana i "efektywna": Nie tylko ofiara, lecz wszyscy świadkowie okrucieństwa zostali - po wsze czasy - "wyleczeni" z demonstrowania niezadowolenia z losu, jaki zgotował im "najdoskonalszy w świecie ustrój sprawiedliwości społecznej" w myśl opiewanego przez poetów hasła: "Człowiek, to brzmi dumnie !"

Następnego dnia otrzymaliśmy na śniadanie wraz z wrzątkiem, jedynie dzienną porcję chleba. Nie wspomniano ani słowem o trzydniowej zaległości. Nikomu z nas nie przyszło mimo to do głowy wyrazić z tego powodu niezadowolenie.

Strażnik wyznaczył nowego starostę, który miał przyjąć po zdetronizowanym w dniu wczorajszym nieszczęśniku wszystkie obowiązki oraz zwyczajowo przysługujące na tym stanowisku przywileje zwiększające w znacznym stopniu jego szanse przeżycia, jakimi były podwójne porcje chleba i bałandy. Został nim najstarszy rangą wojskowy, major, Rosjanin. Był to człowiek nie cieszący się wśród nas sympatią. Skryty, nieżyczliwy i bardzo powściągliwy w wyrażaniu negatywnych poglądów o władzy radzieckiej. W ostatniej akcji pod hasłem "chleb" trzymał się z dala od okna i nie uczestniczył w manifestacji. Urzędowanie rozpoczął od porcjowania i rozdawania chleba.

Wydawało mi się, że czynności te nigdy się nie skończą. Miałem wrażenie, jak gdyby mój wyczerpany z głodu organizm pożerał własny żołądek. Gdy napięcie zbliżało się do kresu wytrzymałości,



padła wreszcie oczekiwana od kilku dni - znana nam wszystkim - komenda:

- Stańcie w szeregu !

Sledziłem zazdrosnym okiem tych, którzy stali się już właścicielami swych porcji, a gdy wreszcie otrzymałem moją, w oczach mej zachwianej głodem wyobraźni wydało mi się, że przypadła mi w udziale najmniejsza. Oglądałem ją ze wszystkich stron i porównywałem z innymi. Nie wytrzymałem jednak długo napięcia i zabrałem się do jedzenia. Odgryzłem pierwszy kęs. Ta glina z ostem wydała mi się najsmaczniejszym chlebem, jaki kiedykolwiek miałem w ustach.

Zołądek skurczył się bardzo w czasie trzydniowej głodówki. Całą 250 - gramową pajkę chciałoby się wepchnąć w usta i połknąć na raz. Przypomniałem sobie jednak w samą porę rozmowę z pewnym towarzyszem niedoli na temat obozowego odżywiania. Przestrzegał przed łapczywym jedzeniem, szczególnie w takiej jak obecnie, sytuacji. Radził, aby jeść wolno i dobrze przeżuwać. Pożytek z tego - jak twierdził - podwójny: uzyskiwało się wrażenie większej sytości oraz było to mniej uciążliwe dla nadmiernie wygłodzonego żołądka.

Z rady, która wydała mi się słuszna - choć z wielkim oporem - skorzystałem, a także podzieliłem się nią z moimi najbliższymi przyjaciółmi. Poczyniliśmy nawet pewien postęp: zjedliśmy jedynie pół porcji, pozostawiając resztę na kolację. Muszę przyznać, że mniejsze tortury przeżywałem wówczas, gdy głodowałem przez kilka dni, niż obecnie...

Na trzeci dzień po proteście, gdy rano dostarczono nam chleb i wrzątek, dwaj strażnicy wepchnęli do celi i położyli przy drzwiach na podłodze starostę. Uniósł głowę i rozejrzał się błędnym wzrokiem po celi. Znajdujący się w pobliżu drzwi towarzysze podnieśli go i ułożyli na pryczy.

Dzielenie chleba zostało przerwane.

Nie wypowiedział słowa. Leżał bez ruchu, a jego ciało podrzucały przerywane, powracające wciąż dreszcze.

- Wasia, ty co ?... - odezwał się jeden z jego przyjaciół -

- Pić - wykrztusił ledwie słyszalnym głosem.

Unieśli głowę i podali - na szczęście jeszcze dość ciepły - wrzątek. Pił łąpczywie. Podali jeszcze jedną bańkę. Pił dalej. Gdy skończył, westchnął głęboko, i :

Zimno - wybełkotał, szcękając zębami.

Podłożyli ~~wełn~~wełnijkę i nakryli szynelem.

Zimno - powtórzył.

Przykryli jeszcze jednym szynelem.

- Może on jest głodny - powiedział któryś i podsunął mu do ust kawałek chleba.

- Nie trzeba - powiedział, odwracając głowę.

Po zabiegu z wrzątkiem dreszcze powoli ustępowały, a jego ziemista cera zaczęła nabierać różowego koloru. Zaczął zrzucać z siebie okrycie. Rozpoczął się kolejny okres próby, jakiej poddany został jego zrujnowany pobytem w karcerze, zdany na własne siły organizm. Widać było, że trawi go teraz wysoka temperatura.

Noc przeżył. Opowiadał, że do karceru wtłoczyli tak wielu, że mogli tam przebywać w pozycji stojącej; tylko nieliczni w pozycji siedzącej. Było bardzo zimno. Ogrzewali się jedynie własnymi ciałami. W ciągu trwającego prawie dwie doby pobytu, otrzymywali po sto gramów chleba i jednej bańce wrzątku dziennie.

Po kilku dniach - pomimo braku jekiejkolwiek pomocy lekarskiej - ex-starosta zaczął powracać do zdrowia. Takiego cudu mógł dokonać jedynie jego syberyjski organizm.

Przebywaliśmy w więzieniu już prawie dwa miesiące i nic na to nie wskazywało, że w naszym życiu nastąpi jakakolwiek zmiana.

Z danego rodzicom słowa, że napiszę do Kalinina prośbę o ułaskawienie i do nich list nie mogłem się wywiązać z bardzo istotnych, trzech powodów /zupełnie, jak w przypadku Napoleona i - armat.../: po pierwsze, nie było papieru /!/...

Pamiętam, gdy w drugim dniu mojego pobytu w więzieniu zapytałem radzieckich towarzyszy o możliwość napisania wspomianej prośby, zauważyłem, że bardzo dziwnie mi się przyglądali...

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. W Dzień Wigilii podzieliliśmy się chlebem, który symbolizował opłatek, i złożyliśmy

sobie życzenia. Nie było w nich ani "szczęśliwych" ani "wesołych", lecz tylko zdrowych i - szybkiego powrotu do kraju. Wymieniliśmy również życzenia z jedynym poza nami w celi Polakiem i katolikiem, Żytko.

Była również "choinka" według "maćkowego" pomysłu: ustawioną na sztorc miotłę ubraliśmy kawałkami wyszarpanej z tiełogrejki waty, różnokolorowymi szmatkami oraz wybranymi ze śmieci łupinami cebuli i czosnku. Przed jej ubraniem - pomimo iż nie należało to dziś do naszego obowiązku - zamietliśmy bardzo starannie podłogę. Tym sposobem zapewniliśmy rekwizytowi, któremu nadaliśmy tak romantyczny i odświętny charakter - przynajmniej na okres dwóch dni Świąt - godne pełnienie zaszczytnej funkcji.

Nawet najbardziej obeznani w więziennych obyczajach towarzysze spoglądali na choinkę z podziwem, wyrażając uznanie dla naszej pomysłowości.

- Wot Polaki, młodcy ! - mówili, kiwając głowami.

Po raz pierwszy - od chwili aresztowania - usłyszałem wyrażoną o nas, Polakach pozytywną opinię.

W naszych domach obchodzone były pierwsze Święta Bożego Narodzenia w wyzwolonej z pięcioletniej niewoli ojczyźnie.

Wyjąłem gryps, który otrzymałem od mamy. - "... Życzę Ci , abyś odzyskał wolność w Dzień Narodzenia Chrystusa...".

Przypominałem sobie słowa modlitwy, której mnie nauczyła: "Aniele Boży, Stózu mój, ty zawsze przy mnie stój..." Przywoływałem ją często w mojej pamięci: w partyzantce, w ziemiance i właśnie teraz. Przynosiła mi spokój i ulgę...

Najprzyjemniejszą chwilą dla człowieka przebywającego w odosobnieniu są jego wspomnienia...

Moja ukochana Twierdza !... - "... bo gdybym się kiedyś urodzić miał znów, to nie we Lwowie, lecz tylko w Twierdzy !".

Wówczas, gdy większość warszawskich dzieci grała na podwórzu - studni w szmacianą piłkę, ja mogłem korzystać z pięknie utrzymanego przez wojsko boiska sportowego lub sali gimnastycznej, wyposażonej w nowoczesny sprzęt sportowy. Do Wisły i Wieprza kilkaset metrów. Obydwie rzeki były rajem dla wędkarzy i miały taką



wodę, w której można się było umyć, a nie ubrudzić. Kilka wodnych ośrodków sportowych wyposażonych w łodzie i kajaki. W zasięgu półgodzinnego pieszego marszu piękne lasy i łąki; raj dla zbieraczy leśnego runa. Zimą wspaniała tafla lodowa na fosie otaczającej wokół Twierdzę. Drugie lodowisko na stawie, na terenie Lotniska. Przygrywająca w niedzielę i święta przy lodowisku wojskowa orkiestra. Częste zawody sportowe i imprezy z okazji różnych świąt i uroczystości. Gdyby komuś było mało, mógł korzystać ze stadionu w parku obok Twierdzy lub oddalonego o piętnaście minut pieszej wędrówki stadionu sportowego Oficerskiej Szkoły Lotniczej "Orląt", a także z sali gimnastycznej, której wyposażenia mógłby pozazdrościć sławny przedwojenny warszawski CIWF<sup>x/</sup>.

Impreza goniła imprezę. Było komu organizować. Pięć jednostek wojskowych: 15 Pułk Piechoty "Wilków", Lotnicza Szkoła "Orląt", Artyleria Przeciwlotnicza w Stężycy, 28 Pułk Artylerii Lekkiej w Zajeździu i Główna Składnica Uzbrojenia w Stawach /wszystkie w odległości kilku kilometrów/ oraz kilka szkół powszechnych i gimnazjum.

Uprawialiśmy niemal wszystkie popularne na świecie sporty - również elitarne - takie jak : tenis, szermierka i żeglarstwo.

Było także kino ze sceną na występy dla artystów. Działał teatr amatorski, z dużymi ambicjami. Pamiętam graną, cieszącą się powszechnym powodzeniem sztukę "Chata za wsią" oraz operetkę pod tytułem: "Dziewczę z odległej krainy", do której skomponował muzykę kapral wojskowej orkiestry 15 PP, Robert Feigiel - Austriak z pochodzenia, którego ojciec - wraz z rodziną - wybrał, po pierwszej wojnie światowej, Polskę jako swoją ojczyznę. /W czasie niemieckiej okupacji pracowałem z Robertem w dęblińskiej parowozowni. Niemcy proponowali mu podpisanie Volkslisty. Nie podpisał /!/. Libretto do operetki napisał sierżant Tadeusz Załanowski.

A jaka wspaniała młodzież... Nie tylko chłopcy, ale dziewczyny pływające jak ryby i skaczące do wody z kilkumetrowej trampoliny. Nie zawodniczki, lecz takie zwyczajne... Kto i gdzie takie widział ?

- Czy człowiek może przeżyć w takich, jak my obecnie warun -  
x/ CIWF - do 1939 roku - Centralny Instytut Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego, inicjatora powstania uczelni. Obecna AWF - Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego. /Imię Józefa Piłsudskiego przywrócone zostało Akademii w czerwcu 1990 roku/.

kach dziesięć lat ? - pomyślałem. - W łagrze musi być lepiej. Tam przecież mamy pracować...

Kolejnym świętem, które przyszło nam spędzić w więzieniu, był Nowy Rok. Dla nas, Polaków, była to uroczystość po Bożym Narodzeniu drugorzędna; za to obywatele radzieccy obchodzili ten dzień bardzo uroczyście. Teraz wszyscy wszystkim życzyli zdrowia i wolności.

Po upływie dalszych kilku dni, gdy poprzedni starosta poczuł się już zupełnie nieźle, jego koledzy zgłosili propozycję przywrócenia mu roli starszego celi. Argumentacja, że to on właśnie przyjął na siebie całą odpowiedzialność i poniósł karę za nas wszystkich, była nie do obalenia. Wniosek został przyjęty jednogłośnie. Kilkundniowy starosta zachował się z godnością i, pomimo iż pozbawiony został przysługujących mu prerogatyw, również nie protestował.

14 stycznia 1945 roku powiadomiono nas, że nazajutrz opuszczamy więzienie i zostaniemy odesłani do obozu pracy. Wiadomość przyjęta została w sposób bardzo różny... U większości przeważała jednak wiara, że w łagrze powinno być lepiej; że będzie lepsze wyżywienie, a do tego świeże powietrze, którego nam tu tak bardzo brak.

W naturze pozbawionego wolności człowieka funkcjonuje przekonanie, że każda zmiana jego losu da mu szansę poprawy warunków. Wszyscy bardzo tego oczekiwaliśmy.

Nie było wielkich przygotowań. Cały majątek włożyliśmy na siebie. Koc pod pachę. W rękę jedynie kociołek na bełtugę.

15 stycznia przed południem wywleczono nas z celi i, poganiając szturchańcami, doprowadzono na dziedziniec.

- Bystro ! bystro ! *szewelities'* - pokrzykiwali strażnicy. Było tam już kilkaset osób.

Mróz tego dnia nie był wielki; zaledwie kilka stopni poniżej zera. Nam jednak - trzymanym przez z górą dwa miesiące w "cieplarnianych" warunkach - chłód ten wydawał się nie do zniesienia. Wszyscy dreptali przestępując z nogi na nogę i nerwowo poruszali ramionami. Chwyciły mnie dreszcze. Miałem wrażenie jakby w moje płuca

wlewano lodowatą wodę. Nie mogłem się doczekać chwili, gdy ruszy-  
my z miejsca.

- Cholera, jak wściekle zimno ! - wykrztusił przez zaciśnię-  
te zęby Zygmunt. - Co będzie, gdy zawiozą nas na Syberię, jeżeli  
my tu teraz marzniemy ?

- Na pewno dadzą nam kozuchy - wtrącił Maciek. Butów skórze-  
nych tam też nie noszą, tylko filcowe. - Po chwili dodał z poważ-  
ną miną: - Lepiej się zastanówmy, czy warto tam jechać ?

- Ty na pewno, gdy będą cię wkładali do trumny, strzelisz im  
jakiś dowcip - powiedziałem kwitując jego żart. - Ludzie  
tam mieszkają i żyją, to może i my wytrzymamy..

Doprowadzano wciąż następne grupy z innych cel. Gdy zebrało  
się około dwustu, ogłoszono znaną formułę: "Brigada wnimanije ...",  
otwarto wrota, i: - Szagom marsz ! - padła komenda.

Ludzie w mieście przyglądali się nam z zimną obojętnością.  
Można się było domyśleć, że takie widoki mieli tu na porządku  
dziennym. W Brześciu były dwa więzienia. W tym czasie pełniły  
przede wszystkim rolę więzień przesyłkowych. Władza zapewne bar-  
dzo się troszczyła, aby funkcjonowały na najwyższych obro-  
tach.



## W WAGONIE

Zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych. Do przewożenia więźniów używane były wagony osobowe i towarowe specjalnie do tego celu przystosowane. ~~wagon taki nosił nazwę "wagonzak".~~ <sup>(czyli wagon dla zakluczonych / więźniów)</sup> Nam przypadł w udziale "komfort" ostatniej klasy.

Włoczono nas pięćdziesięciu; trzydziestu z naszej celi i dwudziestu obcych. Ochra czyli straż więzienna i administracja podróżowały w wagonach sypialnych.

Pociąg składał się z około trzydziestu wagonów towarowych, w tym dwóch dla ciężko chorych tak zwanych dochodiąg i dwóch dla katorżników. Ci ostatni, jak mi było wiadomo z najsmutniejszego okresu naszej historii, byli to ludzie skazani za najcięższe przewinienia, w znacznej większości polityczne. Otrzymywali z reguły wyższe wyroki, wykonywali cięższe prace i podlegali surowszym więziennym rygorom.

Nikt nas nie poinformował dokąd nas zawiozą. Pytani o to konwojenci odpowiadali krótko:

- Nieznaju. Pribudiesz, uwidisz.

Po wejściu do wagonu zaczęła się przepychanka. Każdy chciał się urządzać w jakimś lepszym miejscu. My czekaliśmy cierpliwie aż się uspokoi. Zajęliśmy - podobnie jak w celi - jako ostatni, wzgardzone przez wszystkich miejsce przy paraszy. W pobliżu uło -

kował się nieodłączny wciąż Żytko. Petor nie robił już na nas większego wrażenia, tym bardziej że - jak się później okazało - miejsce to, szczególnie w czasie jazdy było skutecznie wentylowane, a rozbryzgane wokół paraszy fekalia natychmiast zamarzały. Jedynym przejawem "demokracji" było to, że wszyscy leżeliśmy na podłodze. Tak jak w więzieniu nie było tu materacy ani żadnej innej podściółki.

Gdy wszyscy weszli, w drzwiach stanął strażnik ochry i przypomniał nam, co nas czeka w przypadku usiłowania ucieczki. Formuła została wzbogacona stosownym do naszej sytuacji komentarzem, że zabrania się również: otwierania drzwi bez zezwolenia, wyrywania i wypiłowywania w wagonie desek i okiennych krat.

Byliśmy przemarznięci. Gdy się ulokowaliśmy, ci co bardziej przedsiębiorczy zabrali się do rozpalania ognia. Wagon, zamiast stosowanego już powszechnie w owym czasie na kolei centralnego ogrzewania, posiadał rekwizyt pamiętający okres carskiej Rosji - żeliwny piecyk. Zapalek oczywiście nie było. Czego jednak <sup>(potomek pierwotnego)</sup> potrafi dokonać (homo sapiens, gdy zmusi go potrzeba, przekonaliśmy się już w więzieniu przy okazji produkcji igły z kawałka drutu, drewnianego noża i wagi z patyka od miotły. Warunki, jakie stworzyła nam tu władza, zmusiły nas do powrotu do okresu w jakim żył homo jaskiniowy i wszystko okazało się proste: dwa kawałki krzemienia, strzęp waty i ogień gotowy. / Homo sovieticus wprowadził tu pewne usprawnienie: w miejsce mchu zastosował watę z tiełogrieki/.

Piecyk, pomimo iż pochodził z okresu o kilka tysiącleci późniejszego, nijak nie chciał dawać ognia. Produkował wyłącznie dym. Nie pomagało nawet dmuchanie. Ktoś, kto - jak twierdził - zna doskonale technologię jego użytkowania obiecał, że gdy tylko pociąg ruszy i będzie dobry ciąg, ogień na pewno rozpali. Jak się niestety okazało, piecyk - pomimo wielu usilnych prób - nie zafunkcjonował prawidłowo ani teraz, jak również do końca naszej ponad miesięcznej podróży. Jedynym ciepłem w wagonie było ciepło naszych wynędzniałych ciał, które chroniliśmy - z różnym skutkiem - nigdy nie zdejmowanym ubraniem.

Drugim rekwizytem, zamykającym listę wyposażenia wagonu

- funkcjonującym na szczęście bez większych awarii - była parasza. Znajdowała się pośrodku bocznej ściany przy na stałe zamkniętych drzwiach. W wycięty w podłodze otwór wpuszczony był blaszany element bez dna, przypominający domowe wiadro. Z uwagi na dużą liczbę lokatorów i coraz częściej występujące objawy krwawej biegunki, eksploatowana była w sposób nieomal ciągły. Oblepiona była wciąż kilkucentymetrowej grubości warstwą zamrożonego moczu i kału zmieszanego z krwią. Korzystanie z niej - szczególnie w czasie jazdy, gdy wagon był szarpany i kołysany - było bardzo utrudnione. Wokół paraszy było stale brudno. Zamrożone odchody były zrywane i wyrzucane dopiero wówczas, gdy uzyskały grubość kilku centymetrów.

Papier był na wagę złota. W naszych warunkach używany był wyłącznie jako bibułka do końszkowych skrętów. Gdy wyczerpały się resztki gazet i papieru pakowego, poszły w ruch dokumenty, tektura z daszków od czapek, a nawet fotografie. Gdy zabrakło i tego, zastąpiony został podszewką od marynarek. Można sobie wyobrazić, ile "przyjemności" dawała palaczowi i jego otoczeniu kompozycja końszkowego tabaku z podszewką...

Przed opuszczeniem więzienia otrzymaliśmy na śniadanie jedynie wrzątek. Powiedziano nam przy tym, że przysługujący w dniu dzisiejszym przydział chleba otrzymamy w wagonie. Tu dali na obiad jedynie bełtugę. Zapytani o chleb konwojenci oświadczyli, że dostarczenie nam zupy należy traktować jako wyraz ich dobrej woli, ponieważ na ich wyżywienie przechodzimy dopiero od dnia jutrzejszego. Zamiast narzekać, powinniśmy się cieszyć z tak humanitarnego potraktowania, jakie już w pierwszym dniu naszego pobytu w wagonie zgotowała nam nasza nowa władza.

Bełtuga przygotowywana była według tej samej receptury co w więzieniu: w pół litrze wody pływały dwa małe strzępy kapusty, pół kartofla i kilkadziesiąt ziarenek kaszy. Na kolację otrzymaliśmy jedynie kipiatak.

Zarówno bełtuga jak i kipiatak wlały jedynie nieco ciepła w nasze zziębnięte organizmy, natomiast żołądek został po raz kolejny bezlitośnie oszukany /!/.'



Na dworze było już zupełnie ciemno. Do wagonu przedzierały się promienie lamp oświetlających dworzec, dostarczając zaledwie tyle światła, że mogliśmy się z trudem po wagonie poruszać. Gdy po "kolacji" pociąg ruszył, zapanowała zupełna ciemność. Wdzierający się przez szczeliny w ścianach wiatr powodował systematyczne obniżanie temperatury.

Siedzieliśmy w kucki okryci kocami. Jedynym naszym marzeniem było: dojechać jak najszybciej do miejsca przeznaczenia.

Miarowy stukot kół, kołysanie wagonu i asolutna ciemność dokonały swego...

- Może się jakoś ułożymy ? - zaproponowałem. - Od dołu bardzo ciągnie chłodem; może wasze kocyki położymy na podłodze, a moim się przykryjemy; jest grubszy i większy.

- Maciek, dawaj koc; ścielimy - powiedział Zygmunt.

Do snu położyliśmy się - oczywiście - w "pełnym rynsztunku"; również w butach. Pod głowę podłożyliśmy kociołki, czapki i rękawiczki. Wszystko to przykryliśmy ręcznikami. Otrzymaliśmy je od naszych rodzin na krótko przed wyjazdem. Były przyjemne i miękkie, z materiału frotè. Przez długie miesiące odzwyczajone od swej funkcji jaką pełniły w normalnych warunkach, nie prane, swym wyglądem przypominały teraz ścierkę od podłogi.

Leżeliśmy wszyscy na tym samym boku, szczelnie do siebie przylegając; podobnie jak w więzieniu. Na luksus leżenia "jak kto chce" nie było absolutnie miejsca. Dodatkowym plusem takiej pozycji było utrzymanie ciepła. Leżałem pośrodku. Ustaliliśmy, że miejsce to będzie kolejno przywilejem każdego z nas.

- No, śpiochy wstawajcie - odezwał się pierwszy Zygmunt.

Rozejrzałem się po wagonie. Było już zupełnie widno. Tylko nieliczni przerwali sen. Jeden bojec wisiał nad paraszą. To kłębowisko ciał i szmat robiło wrażenie pola po ciężkiej bitwie.

- Kto pierwszy do łazienki ? - zapytał Maciek.

Nie czekając na odpowiedź kontynuował: cholera, gdzieś mi się zapodziała szczoteczka do zębów; który z was pożyczycy ? - Gdy tylko dojedziemy na miejsce kupię sobie nową.

Byłby tak ciągnął dalej gdyby nie przerwał mu Zygmunt:

- Ty, wiadomo, jak zawsze ...- powiedział. Ale - żarty żartami - nam rzeczywiście wypada się cieszyć, że przeżyliśmy tę noc...

- Tysiące Polaków wywiezionych za cara do Rosji powróciło po zakończeniu pierwszej wojny światowej do Polski; może i nam się uda... - powiedziałem. - Nie wolno nam się załamywać.

- Pamiętacie mojego dziadka Maciejewskiego ? - zapytałem, kontynuując temat.

- No pewnie ! - powiedział Maciek. Kto by go nie znał. - Ten niewysoki, przygarbiony, z laseczką, z czupryną jak Paderewski.

- No właśnie ten - potwierdziłem. - W Dęblinie nie było człowieka, który by dziadka nie znał.

- Pamiętam - włączył się znów Maciek - gdy przechodził obok gimnazjum, lub jakiejś innej szkoły, lubił sobie porozmawiać z młodzieżą.

- Tak - potwierdziłem. - Otaczali go wszyscy wokół, a on zadawał pytania. W większości dotyczyły historii. Był to jego "konik". Dla tych z powszechniaka były lżejsze, takie, jak: data bitwy pod Grunwaldem, zawarcia Unii Lubelskiej czy kolejnych rozbiorów Polski. Dla gimnazjalistów trudniejsze, jak : data bitwy pod Issos, pod Termopilami, czas wędrówki Mahometa z Mekki do Medyny lub data upadku Cesarstwa Rzymskiego. Na chłopców mówił: "scyzoryku" a na dziewczyny "sikorko". Wiele było przy tym zabawy i śmiechu.

- Nie o tym jednak chciałem powiedzieć. Dziadek był powstańcem w 1863 roku. Został ujęty przez carskich żołdaków i zesłany na Sybir. Opowiadał mi często o swym pobycie w Rosji. Nie przebywał tam w więzieniu, ani w żadnym obozie. Nie wolno mu było tylko opuszczać rejonu zsyłki. Opowiadał, że miejscowi ludzie byli bardzo dobrzy i życzliwi. W Harbinie, na Dalekim Wschodzie, ukończył Gimnazjum. Spotkał w tym mieście wielu Polaków. Był tam najpierw jakimś urzędnikiem, a później dosłużył się, na kolei, stopnia kontrolera ruchu na linii Moskwa - Władywostok. Ożenił się w Rosji z moją babcią, z domu Żochowską, której rodzice wraz z nią też zostali tam wywiezieni. Powrócili do Polski w dziewięć-

nastym roku - po rewolucji - i osiedli w Dęblinie, skąd pochodziła babcia. Dziadek zmarł w 1942 roku, mając 96 lat. Babcia o rok później, w wieku lat dziewięćdziesięciu.

- Czy ja wówczas przypuszczałem, gdy słuchałem dziadka opowiadań, że spotka mnie ten sam los?...

Chleba nie jedliśmy już dwie doby. Żołądek przywierał do krzyża. Według wczorajszej obietnicy, mieliśmy otrzymać dziś na śniadanie. Tym razem słowa dotrzymani.

Nasze porcje żuliśmy długo. Przydała się lekcja z więzienia... Porcja była niewielka: około 200 gramów, ale wygłodzonemu i zmniejszonemu do skrajnych granic żołądkowi dała chwilowe poczucie sytości.

Mróz był większy niż wczoraj, ale kipjatok dokonał swego...

Życie w wagonie ożyło. Jedni prowadzili rozmowy, inni naprawiali swoje łachmany.

Myśl o niesprawiedliwości, jaka nas spotkała, prześladowała mnie nieprzerwanie od momentu aresztowania. Uczucie to przybierało na sile w zależności od potencjału doznawanych przeżyć. Warunki w wagonie przywoływały refleksje... Dziś, przy kolejnej zmianie na gorsze, odżył w pamięci żal i rozczarowanie. - Męczyli nas i mordowali Niemcy - pomyślałem - lecz to byli nasi wrogowie. Ale ci, przyszli do nas jako wybawcy?!...

- Zjadłbym jeszcze kilka takich pajek, nawet bez popijania - powiedział, przerywając<sup>a</sup> moje rozważania Maciek. - Czego oni nas tak głodzą - zapytał jakby sam siebie - jeżeli chcą, abyśmy jeszcze gdziekolwiek pracowali? - Ich oddziały partyzanckie nieźle się czuły na naszym terenie - dodał podniesionym głosem. A kto je żywił?... Mieli nie tylko dobre żarcie, ale i czym popić... Za to nas karmią bełtugą. - Jeńców w Twierdzy też nasi dokarmiali, narażając życie; także tych, którzy z obozu uciekli; żywili ich i przechowywali. "Serafinowi" odprowadziliśmy Własowców na jego kwatery...

Niewielki procent Polaków czuł sentyment do komunistów, ale ratowanie zabiedzionego i zagłodzonego człowieka uważał każdy za swój obowiązek.



Repertuar dowodów pomocy, jaką okazywaliśmy naszym wschodnim "wyzwolicielom" w walce przeciw ich niedawnemu sprzymierzeńcowi, a naszemu okupantowi, oraz ilość doznaných krzywd nie był oczywiście pełny. Do tych słów goryczy dołącałem i ja swoją porcję:

- Do nas mówią: "Wy pany, Polaczki, my za was krow perjeliwajem, a wy faszysty!" - Kto związał się z faszystowskimi Niemcami w 1939 roku paktem przyjaźni - nasz Beck, czy ich Mołotow?! - Kto fetował w tymże roku - wspólnie z Niemcami - zwycięstwo nad Polską organizując bale i wojskowe parady?!... - To nie my zajęliśmy ich ziemie, lecz oni zagarnęli pół Polski. - Co im złego uczynili ludzie zza Buga, których setki tysięcy deportowali w głąb Rosji?! - A Katyń?!... Zwalają na Niemców. My wiemy, co Niemcy potrafią, ale oni też nie są lepsi... Doświadczamy to na własnej skórze. - Jest tylko jedno "ale": Niemcy rozprawiali się z nami jako nasi wrogowie, a towarzysze radzieccy robią to samo, albo jeszcze "lepiej" ze swoimi sprzymierzeńcami. - Co by było /pytanie to zadałem moim współtowarzyszom w ziemiance/ gdyby nasza partyzantka - w szczególności AK i BCh, organizacje ze sobą współpracujące, które zrzeszały w swoich szeregach więcej niż dziewięć - dziesiąt procent działającego w konspiracji społeczeństwa - przepuściła wszystkie niemieckie pociągi podążające tranzytem przez terytorium Polski na front wschodni? - Wiozły broń, amunicję i inne zaopatrzenie dla wojska. Jechały także pociągi z wojskiem. Setki zostały przez nas uszkodzone lub zupełnie zniszczone. - W jak wielkim stopniu zaważyło to na losach wojny, nie trzeba nikogo przekonywać.

- Mówią, że my to "pany" - włączył się Zygmunt. - Karabinów na sznurku i brezentowych butów u naszego wojska nie widziałem. Nocnych koszul używają nasze kobiety do spania. Ludzie opowiadali, że, gdy w 1939 roku zajęli nasze tereny za Bugiem, ich kobiety wykupiły w naszych sklepach wszystkie koszule z koronkami i defilowały w nich po ulicach. - Zegarków też myśmy im nie kradli. - W takim zrozumieniu, to my rzeczywiście "pany" - dokończył z ironicznym uśmiechem.

- Sporo żółci sobie upuściliśmy - powiedziałem - ale warto odpowiedzieć na jedno zasadnicze pytanie: Czy Związek Radziecki wyzwalałby teraz Polskę gdyby Niemcy go nie zaatakowały ???

Od chwili, gdy zostaliśmy załadowani do wagonu upłynęło z górą trzydzieści godzin. Gdy po południu wyjrzał ktoś przez okienko okazało się, że stoimy w miejscowości Bereza. Było to miasto należące przed 1939 rokiem do Polski. Przejechaliśmy zaledwie około stu kilometrów. Nie było wówczas jeszcze wiadomo, w jakim kierunku nas wiozą, lecz gdy po kilku dniach minęliśmy Mińsk, Orszę i dojechaliśmy do Smoleńska stało się jasne, że jedziemy na północny wschód w kierunku Moskwy. Do Smoleńska oddalonego od Brześcia o około siedmuset kilometrów dotarliśmy dopiero po pięciu dniach. Tempo, w jakim pociąg pokonał tę odległość było bardzo słabe.

Na postojach wyglądaliśmy przez okienka. Miejscowości na całej trasie były prawie doszczętnie zniszczone. Wiedziałem ze "szmatławca", który drukowany był w czasie niemieckiej okupacji w Generalnej Guberni czyli w okupowanej Polsce, że toczyły się na tych terenach długotrwałe i zacięte walki.

Zimno stawało się co raz bardziej dokuczliwe. Na spacerach po wagonie nie było miejsca. Wszyscy siedzieli lub leżali na swoich barłogach. W bezruchu najbardziej marzły nogi i ręce. Na ręce zakładaliśmy rękawice. Nogi rozgrzewaliśmy drepcąc po posłaniu. Pomimo zimna bardzo dokuczało pragnienie. Otrzymywaliśmy w ciągu doby zaledwie półtora litra płynu: rano i wieczorem po pół litra wrzątku i pół litra bałandy na obiad. Jedynym uzupełnieniem tego braku był niekiedy padający śnieg. Przedostawał się do wagonu przez okienka i nieszczelności w ścianach. Było go szczególnie dużo gdy podczas śnieżycy wiał wiatr. W nocy, gdy wszyscy leżeli nieruchomo, osiadał warstwą na podłodze, a także na kocach i ubraniach tych, którzy spali przy ścianach. Pierwszeństwo do jego zbierania mieli oczywiście ci, którzy tym dobrodziejstwem zostali bezpośrednio obdarowani przez przyrodę.

Co najmniej jeden raz w ciągu doby odbywało się ostukiwanie - z zewnątrz - drewnianymi młotami ścian i podłogi wagonu. W ten sposób sprawdzano, czy deski nie zostały przepiłowane w celu dokonania ucieczki. Strażnicy przeprowadzali tę czynność w czasie dłuższego postoju pociągu na stacji, najczęściej nocą. Ostukiwanie jednego wagonu trwało zazwyczaj kilka minut. Głowa pękała od huku. Nie było mowy o spaniu. Głosy ostukiwania sąsiednich wagonów były tak donośne, że tej nocy nie spaliśmy przez kilka godzin.

Po tym zabiegu urządzano niekiedy sprawdzanie obecności. W otwartych drzwiach wagonu stawało dwóch strażników z pepeszami; dwóch wchodziło do wewnątrz. Wnętrze wagonu było oświetlane silnym światłem latarek lub reflektorów. Podrywali wszystkich na nogi i ustawiali przy jednej ścianie, a następnie przepędzając na drugą stronę liczyli, bijąc młotkami po grzbiecie i głowie, kopiąc gdzie popadło. Biegaliśmy tak po naszych łachmanach deptając je i rujnując posłania. Gdy po takiej operacji wygasili światło i zatrzasnęli drzwi, zapanowała zupełna ciemność. Upłynęło wiele czasu zanim wszyscy odnaleźli swoje miejsca.

W wagonie zarządzał oraz podziału chleba i bałandy dalej dokonywał nasz starosta z więzienia. Tak jak w celi, również i tu uczciwością nie grzeszył. Swoich kumpli obdarowywał większymi porcjami, pozostałym dawał po staremu... Nam dostawały się porcje najmniejsze. Protestować nie przyszło nam do głowy. Zostali byśmy wyśmiani i nikt by się za nami nie upomniał. Jego czereda żywna przede wszystkim naszym kosztem, rozprawiłaby się z nami w sposób dla nas nie pożądany i wszystko pozostałoby po dawnemu.

W odizolowanej od normalnego świata społeczności, w warunkach nędzy i głodu, zdecydowane szanse na przetrwanie mają ludzie brutalni i bezkompromisowi.

Gdy 25 stycznia dojechaliśmy do Moskwy, zaprowadzono nas do łaźni. Miałem okazję po raz drugi od chwili aresztowania zdjąć z siebie całe ubranie. Przestraszyłem się swego wyglądu. Wszystkie kości wypychały się spod mojej skóry, jakby chciały się wydostać na zewnątrz. Mięśnie zniknęły zupełnie. Tak samo wyglądali



moi najbliżsi przyjaciele.

W łaźni było znów to samo: strzyżenie maszynką głowy i twarzy, golenie brzytwą pod pachami i niżej, łyżeczka szarego mydła, szaflik wody i biegiem do szatni. Była też żarłoka na wszy. Te, które zakopały się głęboko w szwach ubrania, przetrwały i doczekały się wkrótce liczego potomstwa. Teraz już nie rozgniataliśmy tych żarłocznych insektów pomiędzy paznokciami, lecz zgarnialiśmy je na podłogę i rozdeptywaliśmy butami. Mój granatowy szalik pokryty wszami i gnidami wyglądał jakgdyby posiwiął.

Pewnego dnia na obiad, oprócz bełtugi, otrzymaliśmy po kilka drobnych solonych rybek. Od wygłodzonego do ostatnich granic człowieka trudno oczekiwać rozsądku, gdy nadarzy mu się okazja zapelnienia czymkolwiek pustego żołądka. Rybki zostały połknięte w mig, łącznie z wszystkimi przynależnościami. Pragnienie, jakie trawiło nas do wieczornego kipiátku można by porównać z męczarnią, jaką przeżywa człowiek bez kropli wody na pustyni. Władza zdawała sobie sprawę z reakcji, jaka nastąpi u nas po takim "zabiegu". Była to jeszcze jedna - pozornie niewinna - forma perfidnych tortur /!/  
Towarzysze radzieccy - szczególnie byli armiejcy - natężali

wyprzedaj swęj będącej jeszcze nikiędy w niezłym stanie odzieży. Wyłączny monopol na dokonywanie zakupów mieli oczywiście konwojenci ochry. Szły na sprzedaż szynele, bluzy, spodnie i inne części umundurowania za pół - a co najwyżej cały bochenek chleba, stronicę gazety lub garstkę komieszków. Konwojenci byli zawsze gotowi do robienia interesów. Nie można im było zarzucić, aby więźniów okradali - tak, jak to miało miejsce z moim zegarkiem i innymi drobiazgami w KPZ<sup>2</sup>. Za wszystko "solidnie" płacili. Bywało niekiedy, że towar wzięli, a zapłaty od ręki nie dali. W każdym jednak przypadku, w późniejszym czasie dług oddali. W ten sposób zapewnili sobie zaufanie na następne, mające "obustronną korzyść" transakcje.

W ciągu trwającej z górą miesiąc podróży zdarzyło się kilka przypadków niedostarczenia nam chleba. Tłumaczyli wówczas - jak zwykle - wykrętnie: -Nie nasza wina; niedostarczyli. Gdy tylko otrzymamy, damy łącznie z zaległością. W tym jednak przypadku

słowa nigdy nie dotrzymani. Gdy udało się im coś od nas wyłudzić, chleb na zapłatę znalazł się natychmiast.

Tranzytowa norma - jak dowiedziałem się od radzieckich towarzyszy obeznanych z tym środowiskiem - wynosiła 550 gramów chleba dziennie. Przysługiwał również cukier /w jakiej ilości i na jaki okres nie pamiętam/. Chleba otrzymywaliśmy co najwyżej połowę; cukru nie dawali w ogóle.

Po "szkole" jaką otrzymał w więzieniu nasz starosta - której byliśmy świadkami - nikt nie zamierzał domagać się swoich praw.

Od tych samych weteranów tury w dowiedzieliśmy się, że w każdym wagonie znajduje się wtyczka NKWD. Ligawy wywoływany był co kilka dni na "spowiedź". Wzywany był pod pretekstem wyjaśnienia jakiejś formalności. Tam zdawał relację o panujących w wagonie nastrojach, tematyce prowadzonych rozmów, a także o tym, czy ktoś nie planuje ucieczki. Oddzielnym tematem były możliwości handlowe współtowarzyszy. W zamian za te "usługi" opłacany był na miejscu dodatkową porcją żarcia i zakurką. Ażeby nie został zdekonspirowany, strażnicy wywoływali - dla niepoznaki - również innych, Bogu ducha winnych ludzi, pod jakimś "wiarygodnym" pretekstem.

Po około dwóch tygodniach podróży dotarliśmy do Kazania. Staliśmy tu całą dobę. Budynek stacji i tablica z nazwą miasta były niewidoczne. Gdy po rozdaniu chleba i kąpiatku nie spodziewaliśmy się żadnej wizyty naszych opiekunów, jeden z towarzyszy wyjrzał przez okienko i zapytał o nazwę stacji przechodzącego w pobliżu kolejarza. Pytał prawie szeptem. Prowadzenie rozmów z obcymi ludźmi z zewnątrz groziło karczerem.

Zapamiętałem tę stację. Z naszego wagonu ubyło tu pierwszych dwóch chorych: jeden wojskowy, jeszcze bardzo młody, z krwawą biegunką i sołtys Ukrainiec - któremu w więzieniu ukradziono suchary - z objawami tyfusu. Obaj zostali przeniesieni do wagonu dla dochodzących. Kwalifikacja nastąpiła po zgłoszeniu choroby i "badaniu lekarskim", które prowadził lek-pom czyli pomoc lekarska /feliczer/. Tej bardzo ważnej czynności dokonywał na odległość. W pierwszym przypadku młody bojec zawisnął nad paraszą i pokazał zakrwawioną szmatę. W drugim wystarczyła, potwierdzona jedynie w sposób

organoleptyczny, wysypka na ciele i wysoka temperatura.

W wagonie zapanował popłoch. Krwawą biegunkę miało już kilku, ale przypadek tyfusu zdarzył się po raz pierwszy.

Nasze posłanie znajdujące się w pobliżu paraszy, przy której ruch był największy, było miejscem najbardziej niebezpiecznym.

W miarę jak jechaliśmy na wschód, mróz stawał się co raz bardziej dokuczliwy. Kolejne próby uruchomienia piecyka kończyły się niepowodzeniem.

10 lutego, po dwudziestu pięciu dniach podróży, dotarliśmy do Swierdłowska, miasta położonego w środkowej części Uralu. Tu zabrano z naszego wagonu dalszych trzech ciężko chorych, w tym jednego z objawami zapalenia płuc i dwóch z krwawą biegunką.

"Dzięki" cudzemu nieszczęściu, w wagonie robiło się co raz luźniej. Mogliśmy teraz przenieść swoje posłanie nieco dalej od paraszy.

Postój w Swierdłowsku trwał dwie doby. Drugiego dnia - na krótko przed rozdziałem bałandy - konwojenci otworzyli wagon. W drzwiach stanął wysoki, mocno zbudowany, nie wyglądający na zabiedzony armiejec. Gdy zatrzaśnięto drzwi, rozejrzał się po wagonie i rzekł głosem nie uznającym sprzeciwu:

- Samozwańców nam nie potrzeba, starostą będę ja !

Wypowiadając te słowa miał postawę wilka w stadzie owiec.

Nie znał tu nikogo i pomimo, iż mógł się spodziewać sprzeciwu z tak dokonanego "wyboru", zryzykował. Ufał zapewne swojej fizycznej sile /!/ wbrew staremu porzekadłu: "Nec Hercules contra plures".

Gdy tak stał wódzając wzrokiem po wszystkich, pierwszy odezwał się, najbardziej zainteresowany takim obrotem sprawy, starosta.

- Samozwańców nam rzeczywiście nie trzeba. Ja tu jestem starostą - powiedział pozornie spokojnym głosem.

-Podejdź bliżej - rzekł nowoprzybyły.

Zanosił się na walkę Dawida z Goliatem.

Jednym potężnym ciosem powalił starostę na podłogę. Gdy ten usiłował się podnieść, kułak przybyłego zawisnął nad jego głową.

- Won pod ścianę, psie ! - wrzasnął nowoprzybyły, pokazu-



wani przez współmałżonka - bardzo często fałszywie - jedynie w celu uzyskania rozwodu; za obrazę sowieckiej władzy, a w szczególności milicji i służby bezpieczeństwa.

Znany jest w ZSRR - i nie tylko - fakt, który miał miejsce na początku lat trzydziestych, gdy kilkunastoletni chłopiec, syn rolnika Pawlik Morozow zadenuncjował rodzonego ojca, że ten ukrył własne zboże, które władza poleciła rolnikom odstawić na kontyngent. Historia milczała o tym, co uczyniono z ojcem... , natomiast Pawlik czczony był przez pół wieku jako godny naśladowania - szczególnie przez młodzież - przykład posłuszeństwa komunistycznej władzy. Dopiero w latach "pieniestrojki i głasnosti" doczekał się sprawiedliwej oceny społeczeństwa, a w konsekwencji detronizacji i potępienia.

W więzieniach i łagrach zostało osadzonych 1.800.000 obywateli polskich, w tym również komunistów, którzy zbiegli do ZSRR przed Niemcami. W roku 1938 na rozkaz Stalina zamordowanych zostało wielu czołowych działaczy Komunistycznej Partii Polski.

Z relacji Pomy poznałem liczne szczegóły o metodach prowadzenia śledztwa:

Aresztowani - w początkowej fazie przesłuchania - byli traktowani niekiedy względnie łagodnie. Obiecywano im, że jeżeli dobrowolnie przyznają się do popełnionego czynu i szczerze wyznają całą prawdę, zostaną zwolnieni lub zostanie im zmniejszony czekający ich wyrok; będą lepiej traktowani, lepiej odżywiani lub, że zostaną przeniesieni do lepszych więziennych pomieszczeń.

Metoda w zasadzie prosta, stosowana powszechnie na świecie, lecz pod warunkiem, że chodzi o ewidentnego, a nie wyimaginowanego przestępcę. Ten bowiem nie ma do czego się przyznać... Gdy to nie pomagało, sięgano po bardziej brutalne środki jak: bicie, męczenie głodem, pragnieniem, bezsennością lub ostrym światłem, karcerem lub trzymaniem - tylko w bieliźnie - w zimnym pomieszczeniu, wyrywanie paznokci, przypalanie rozgrzanym żelazem oraz inne cielesne i psychiczne tortury, w tym także straszenie aresztowaniem najbliższych członków rodziny /żony, dzieci, matki, ojca/.

Pod presją stosowanych tortur, aresztowani "przyznawali się" często do niepopelnionych wykroczeń.

Władza fabrykowała także oskarżenia i zeznania, i - na podstawie fałszywych dokumentów - montowała wyroki.

Odbywali również karę przestępcy pospolici tak zwani bytowiki, za: kradzieże, rozboje, gwałty, bandytyzm i inne tego typu wykroczenia. Wyroki dla kryminalistów były - pomimo czynów o znacznej szkodliwości społecznej - o wiele niższe aniżeli dla politycznych i często skracane. Według opinii władz kryminaliści nie stanowią zagrożenia dla ustroju. Ludzi tych można reedukować i przywrócić społeczeństwu. Zarówno w śledztwie, w więzieniu i łagrze byli oni o wiele lepiej traktowani aniżeli polityczni. Stwarzano im lepsze warunki bytowania; przydzielano różne intratne zajęcia, które dawały im możliwość łatwiejszego przetrwania okresu odosobnienia. Z ich środowiska NKWD rekrutowało najczęściej swych konfidentów i donosicieli.

Polityczni traktowani byli jako najwięksi wrogowie komunizmu, co w tym systemie było najcięższym grzechem. Obchodzono się z nimi - zarówno w czasie śledztwa jak i w czasie odsiadki wyroku - z całą bezwzględnością.

Po tym wszystkim, co usłyszałem, pomyślałem, że niemieckie Gestapo mogłoby się nauczyć od swych niedawnych sojuszników wielu bardziej "skutecznych" metod prowadzenia śledztwa i unieszkodliwiania swych przeciwników.

Foma opowiadał mi również, jak na początku lat dwudziestych - kilka lat po rewolucji, po której sowiecka władza tak dużo dobrego społeczeństwu obiecywała - nie tylko klęska suszy ale głód, epidemia i organizacyjny bałagan pochłonęły na Ukrainie, najżyźniejszej części ZSRR, więcej niż 5 milionów ofiar.

Pomoc Fomy w wyżywieniu i praca w owoszczniku dokonały swego. Gdy w pierwszych dniach maja zjawił się w obozie tak zwany pokupatiel czyli kupiec rekrutujący odrestaurowanych do pracy w tajdze, poszedłem na pierwszy ogień. Lekpom zakwalifikował mnie do pierwszej kategorii zdrowia. Lada dzień miałem być odesłany na leso-

pował czyli wyrąb lasu.

Foma bardzo ubolewał, że mnie zabierają. Powiedział nawet, że gdybym wcześniej zawiadomił go o komisji, być może coś dałoby się w tej sprawie zrobić. Teraz jest już za późno.

Pożegnałem kilku sympatycznych kolegów z brygady, w tym Arana, Wacka Strusia oraz Fomę i Duchana.

Wraz z zakwalifikowanymi w liczbie około stu łagiernikami zostałem odtransportowany do obozu /nazwy nie zapamiętałem/ oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów od Ingasza. Wyglądem przypominał wtoroj.

Brygada, do której zostałem przydzielony, była w stanie rozpadu. Z pięćdziesięciu osób, jaką liczyła na początku, pozostała zaledwie jedna trzecia. Część została przeniesiona - na skutek obniżenia kategorii zdrowia - do łżejszych prac lub do podobnych, jak Ingasz obozów. Niektórzy wylądowali w szpitalu lub w baraku dla dochodiąg, a inni po prostu umarli.

Ulokowałem się na narach w sąsiedztwie jakiegoś Kazacha, który wytrwał tu już dwa miesiące. Od niego dowiedziałem się, że brigadirem jest niemiecki kolonista znaną Wołgi nazwiskiem Artur Schitzle oraz, że w brygadzie pracuje także inny jego rodak nazwiskiem Rudolf Janke. Bardzo chwalił Niemca; że jest wymagający, lecz uczciwy i - jak żaden brygadzysta - sam często bierze się do roboty i pomaga słabszym, gdy ci nie mogą wykonać normy.

Takiego zjawiska w ciągu całego mojego pobytu w łagrach nigdy nie spotkałem.

Brygadzisty nie było w chwili, kiedy nas tu wprowadzano. Gdy się zjawił, rozpoczął od zapoznawania nowoprzybyłych.

- Czy to prawda - zapytałem w jego ojczystym języku - że pan jest Niemcem ?

Zastanowił się przez chwilę i:

- Skąd o tym wiesz ? - zapytał - także po niemiecku.

- Pan wygląda na Niemca.

- Czy to rzeczywiście prawda ? - zapytał, uśmiechając się.

- To był tylko żart - powiedziałem również z uśmiechem.

- Czy ty także jesteś Niemcem ?



- Nie, jestem Polakiem.

- Mówisz jednak po niemiecku jak Niemiec i, my jeszcze porozmawiamy - zakończył tym razem po rosyjsku. - Muszę zapoznać pozostałych nowoprzybyłych.

Gdy poznał wszystkich, podszedł jeszcze raz do mnie i zaproponował, abym ulokował się na narach obok niego. Jankego, który to miejsce do tej pory zajmował, posłał na piętro.

Trudno się było nie zgodzić z tą propozycją...

W moim żarcie o jego niemieckim pochodzeniu było sporo prawdy: Był szczupły, średniego wzrostu, w wieku lat około dwudziestu pięciu. Włosy miał w odcieniu rudawego blondu, jasnoniebieskie oczy i jasną, jak dziewczyna cerę. Zarost miał bardzo słaby. Twarz, szyję, ręce i - jak się później okazało w bani - również całe ciało, pokrywały tysiące piegów. Aż trudno było uwierzyć, że człowiek o tak dziewczęcym wyglądzie może mieć - jako brygadzysta - posłuch u podkomendnych, szczególnie u obecnych tu również nierobów i obiboków; tym bardziej, że jest Niemcem?...

Drugi Niemiec reprezentował zupełnie odmienny typ mężczyzny: Był wysoki, mocno zbudowany i umięśniony, energiczny - można by rzec nawet nerwowy. Włosy miał ciemne, oczy piwne. Był w typie raczej słowiańskim.

Obaj mówili o wiele lepiej ode mnie po rosyjsku, lecz ja - nie chwalać się - od nich lepiej po niemiecku.

- Będziemy mogli - powiedział kiedyś Artur - nauczyć się od ciebie naszego ojczyzkiego języka.

- A ja od was rosyjskiego - powiedziałem rewanżując się również komplementem.

Następnego dnia miałem wyruszyć po raz pierwszy na lesopowal.

Wczesnym rankiem dniwalny zarządził podjęcie czyli pobudkę. Otrzymaliśmy po 500 gramów chleba i w kuchni po czerpaku bałandy. Po śniadaniu ustawili nas na rozwód czyli do odprawy. Przy przekraczaniu bramy zostaliśmy policzeni. Z magazynu znajdującego się na zewnątrz obozu, przy wartowni, pobraliśmy narzędzia pracy: piły, topory, łopaty, kliny i naftę.

Brigadir ustawił mnie w pierwszej trójce - razem z Janke.

W pracy miałem być jego naparnikiem czyli partnerem.

Był początek maja. Dzień był słoneczny, ale tu panowała wciąż zima. Mróz nie był wielki - około 10 stopni.

Nadzór nad nami sprawowało dwóch wrętowników uzbrojonych w pepesze. Każdemu z nich towarzyszył nieodłączny wilczur.

Przy akompaniamencie psiej szczekanki jeden z wartowników wygłosił sakramentalne ostrzeżenie, które zacytuję - tym razem - w oryginale i pełnym urzędowym brzmieniu:

- Brigada, wnimanije ! ~~periechodite~~ w rosporażenije konwoja. Za naruszenije zakonnych ~~trebowań~~ konwoja, konwoj primenijaet orużju bez ~~predupreżdenija~~ ! Poniatno ?! /Brygada, uwaga ! przechodzicie pod nadzór konwoju. Za naruszenie prawnych wymogów konwoju, konwoj użyje broni bez uprzedzenia ! Zrozumiano ?! /

Po wygłoszeniu formuły należało odpowiedzieć chórem: poniatno. Jeżeli odpowiedź była zbyt anemiczna, wartownik kazał ją powtórzyć, po czym dawał rozkaz: - Szagom marsz !

Kilkadziesiąt metrów za bramą podszedł do mnie Artur i za - pytał, czy znam parafrazę formuły wygłoszonej przez wartownika ? Powiedziałem, że nie znam.

Uśmiechnął się. Zauważyłem, że był w dobrym humorze. Nic dziwnego; jego zdziesiątkowana brygada została odbudowana i dziś wyruszała do pracy w pełnym składzie.

- Słuchaj - powiedział - jakiś bezimienny, z dużym poczuciem <sup>humoru</sup> łagiernik, wymyślił inną, dowcipną wersję formuły, która brzmi:

- Brigada, wnimanije ! ~~periechodite~~ w rosporażenije konwoja. Szag w lewo - agitacja. Szag w prawo - prowokacja. Poljot w ~~wierch~~ szcztaju pobiegom - Strielaju ! - Nie popadaju - puskaju sobaku. Sobaka ~~ne~~ doganijaet - sam biegu ! /Brygada, uwaga ! - przechodzicie pod nadzór konwoju. Krok w lewo - agitacja. Krok w prawo - prowokacja. Lot do góry potraktuję jako ucieczkę. Strzelam ! - Nie trafiam - puszczam psa. Pies nie dogania - biegnę sam !/.

Muszę przyznać, że ta formuła bardziej mi się spodobała aniżeli oryginał...

Słyszałem niezbyt wiele dowcipów od chwili naszego areszto-

R y s u n e k

Zima. Fragment płotu obozu. W oddali narożna wieżyca wartownika i stojący w niej wartownik w białym kożuchu i futrzanej czapce. W centralnym punkcie otwarta brama. Przy bramie - od strony zewnętrznej - wartownia. Przez bramę przeciągają łagier-  
~~ludzie w łachmanach: cywile i wojskowi~~  
nicy - trójkami - udający się do pracy. W bramie stoją dwaj wartownicy i liczą wychodzących. Część wychodzących pobiera w sąsiadującej z wartownią narzędziowni narzędzia pracy: piły, topory i łopaty. Na początku i na końcu brygady dwaj strażnicy z psami rwącymi się do ludzi.

Rozwod - wymarsz brygad do pracy w tajdze.



wania - za wyjątkiem dowcipów Maćka - tym bardziej na temat "tabu", jakim było naigrywanie się z sowieckiej władzy, a szczególnie - co najbardziej niebezpieczne - z jej organów bezpieczeństwa. Wiadome było bowiem powszechnie, że Biełomorkanał stroili anekdotcziki !...

Po godzinnym, bardzo męczącym marszu dotarliśmy na miejsce. Śnieg w tajdze sięgał do kolan. Z trudem mogliśmy się poruszać.

Konwojenci wyznaczyli przestrzeń placu powału, wyrąbując znaki na drzewach i przypomnieli, że wkroczenie na strefę zakazaną spowoduje użycie broni.

Przed przystąpieniem do pracy, brigadir zapoznał nowoprzybyłych z technologią ścinania drzew i wstępną ich obróbką:

-Znajdujący się wokół pnia śnieg należy - do samego gruntu - usunąć. Ma to na celu ułatwienie pracy jak również przestrzeganie przepisu, że drzewo ma być spiłowane na wysokości jednej trzeciej średnicy pnia. Drzewa cienkie na wysokości 10 centymetrów. Jeżeli ktoś spiłuje wyżej, będzie musiał - za karę - skracać pniak do właściwej wysokości, a praca nie zostanie mu zaliczona w poczet wykonanej normy. Należy określić precyzyjnie kierunek padania drzewa i wybierać możliwie bezpieczny, to jest taki, gdzie nie ma ludzi. /Było to zadanie bardzo trudne, bowiem konwojenci starali się maksymalnie ograniczyć roboczą przestrzeń dla ułatwienia sobie obserwacji/. Jeżeli w rejonie przypuszczalnego upadku drzewa będą znajdowali się ludzie, trzeba ich dostatecznie wcześniej przestrzec, aby zdążyli się oddalić. Słowa, jakich używa się do tego celu brzmią: boj sia!/uważaj!/ i bęregis'! /strzeż się!.

- Stronę pnia, w którą drzewo ma być powalone należy podpiłować i podrąbać, a następnie przystąpić do właściwego piłowania po przeciwnej stronie podrębu. Podpiłowanie ma na celu uniknięcie skoła czyli wzdłużnego rozłupania pnia i, tym samym, jego uszkodzenia.

-Z uwagi na to, że po dłuższym piłowaniu drzew iglastych, na powierzchni piły osadza się lepka żywica, co utrudnia jej przeciąganie, należy, od czasu do czasu piłę polewać naftą w celu jej

x/ Biełomorkanał - Kanał Białomorski łączy Morze Białe z Jeziorem Onega. Budowany był w latach 1932 - 1933 w przeważającej większości przez więźniów politycznych, przy zastosowaniu najprymitywniejszej techniki. Zmarło tam więcej niż 100 (z powodu ciężkiej pracy, głodu i wycieńczenia. (tysięcy więźniów)

oczyszczenia. Cały chłyst czyli dłużycę należy, na równi z powierzchni pnia, oczyścić z gałęzi i gałęzie spalić. Chłyst

następnie rozpiłować na odpowiednie odcinki tak zwane bałany i je rozdzielić.

Latem, w celu zapobieżenia ataku korników, wszystkie spiłowane drzewa podlegały oszkórowce czyli okorowaniu. Do tego celu służyło specjalne narzędzie: 20 - centymetrowy nóż osadzony poprzecznie na końcu metrowej długości trzonka.

Drzewo - w zależności od gatunku i jakości - uzyskiwało następujące podstawowe kwalifikacje: pałubnik /pokładowe/, awiacjonnik /lotnicze/, krępoż. /kopalniaki/, strojowej les /drewno budowlane/. Oceny przydatności, jakości, pomiaru średnicy i kubatury dokonywał markirowszczyk czyli stemplarz. Odbioru całości prac dęsiatnik czyli podmajstry.

Naparników do pracy dobierali sobie - w zasadzie - wszyscy według własnego uznania. Brygadzysta dokonywał podziału pracy, wyznaczając drzewa, które poszczególne pary mają spiłować, aby osiągnąć, lub przekroczyć, normę.

Bardziej doświadczeni w pracy na powale mogli - z dokładnością do 90 procent - określić kubaturę stojącego jeszcze na pniu drzewa.

Przydzielony naszej brygadzie przez dęsiatnika odcinek był łatwy do eksploatacji. Dorodne, smukłe jak maszty sosny stały w równej od siebie odległości. Nie miały bocznych gałęzi; jedynie makuszkę czyli wierzchołek jak palma, który po upadku drzewa sam odpadał. Praca przy odrąbywaniu gałęzi była prawie żadna. Las był jednolity; nie było innego gatunku drzew. Nie było także utrudniającego pracę kustarnika czyli krzewów, które trzeba by było wyciąć dla oczyszczenia miejsca pracy i dla izwozczyków czyli woźniców, którzy jako pierwsi po powalszczykach wkraczali na plac powału w celu wywieżenia drzewa.

Dęsiatnik, przydzielając brygadzie wyjątkowo łatwy odcinek lasu, miał zapewne na względzie fakt, że do pracy przystąpiło dziś wielu nowicjuszy.

Dla tego rodzaju sosen norma - na parę - wynosiła 10 kubo-

R y s u n e k

Zima. Na dalszym planie tajga. Ze śniegu wyrastające wysokie  
- jak maszty - sosny mające gałęzie tylko na czubku /jak palma/.

Kilka par zajętych przy powale. Poszczególne pary wykonują  
następujące prace:

- podrabują drzewo,
- podpiłowują drzewo,
- popychają żerdzią padające drzewo,
- obcinają gałęzie,
- rozpiłowują dłużyce na kawałki i je rozdzielają,
- spalają gałęzie /wysokie ognisko/,

Cały plac - na pierwszym planie zasłany pociętymi i bezładnie  
leżącymi bałanami.

Na dalszym planie, przed ścianą niespiłowanej jeszcze tajgi,  
wartownik z psem.

Na lesozagotowce.



metrów. Ci, którzy ją przekroczą, otrzymają - niezależnie od rannej 500 - gramowej porcji dodatkowo wieczorem od 150 do 350 gramów chleba oraz - w przypadku znacznego przekroczenia normy - primbljudę czyli dodatkowe danie w postaci dwóch czerpaczków kaszy.

Normy były wyśrubowane. Ustalane były w oparciu o pracę zdrowych, dobrze odżywionych, sprawnych oraz doskonale znających zawód ludzi. Systematyczne ich wykonywanie - a tym bardziej przekraczanie - nawet przez najlepiej dysponowanych i zdrowych, lecz słabo odżywianych i zabiedzonych łagierników nie było możliwe. Potrawy, które stanowiły jedyną zapłatę za niewolniczą pracę były bardzo mizerne: rzadka zupa, rozwodniona kasza i podłej jakości chleb. Nie było w nich - jak wszędzie do tej pory - kawałka mięsa ani odrobiny tłuszczu. Były czerze i mało kaloryczne. Więźniowie z odpowiednim stażem nie silili się nigdy na wykonanie, a tym bardziej przekroczenie, normy. Otrzymane za nadmierny wysiłek pożywienie nie rekompensowało organizmowi włożonego trudu. Skutek był odwrotny. Stachanowcy<sup>x/</sup> o wiele szybciej się wykończali.

Ażeby brygada mogła otrzymać możliwe porcje wyżywienia, brigadir musiał dbać o dobre układy z dięsiatnikiem; oczywiście na zasadzie "coś za coś:..." Dokonywali wspólnie oszustwa, wykazując w swedeniach czyli w raporcie fikcyjne prace jak: wyci-  
nianie krzewów, których nie było; piłowanie trudniejszego gatunku drzew, dla którego norma była niższa, oraz inne "drobne nieściskości".

Kursowało po obozie powiedzenie, że aby łagiernik mógł otrzymać w obozie kilogram pożywienia, Moskwa powinna przydzie - lać dwa, ponieważ połowa jest w drodze rozkradana. Kradną w transporcie do obozu. Naszym kosztem dokarmia się ochra. Kradną magazynierzy magazynów głównych i podręcznych oraz kucharze z całą światą kuchennych pracowników. Lepsze i dodatkowe porcje otrzymują uprzywilejowane w obozie lica czyli osobistości takie jak: lekpomy, pracownicy bolnicy, bani, żarilki, masłerskoj i wszyscy inni zatrudnieni po błatu... Mąkę kradnie piekarz, który brak suchej masy uzupełnia wodą, większą - od przewidzianej recepturą - ilości otrąb a także innego rodzaju "pożywnych ingrediencji". Chleb

x/ A. Stachanow - górnik, rekordzista z Donbasu. Zainicjował nowe formy współzawodnictwa pracy.

kradnie chlebopeczcik, który nie dowoża porcji i polewa je wodą, a na końcu <sup>g</sup>dniewalnyj, który w drodze z chleboróżki do baraku najada się do syta likwidując dobawki.

Oszustwo było na porządku dziennym: władza okradała lub poz-  
walała okradać łagiemnika, a brigi<sup>g</sup>dir - chcąc utrzymać brygadę  
w jakiej takiej kondycji - musiał oszukiwać władzę.

Raporty z wykonanej pracy pisane były na deskach. Papieru  
nie było także w URB'e i cała biurokracja prowadzona była tu rów-  
nież na deskach. Jako "gumka" do likwidowania omyłek lub w celu  
regenerowania urzędowych "blankietów" służył kawałek szkła.

Nie miałem pojęcia, jak należy trzymać topór i piłę. Janke  
miał ze mną sporo kłopotu. Trudniejsze prace musiał wykonywać sam.  
Piłowania nauczyłem się szybko; wymagało ono nie tyle wielkiej  
umiejętności, lecz siły i wstrzymałości. Podrębu i obcinania, na  
gładko zeszlętych sęków i gałęzi dokonywał Janke. Kanacki kołun  
czyli topór kanadyjski śmigał mu w rękę jak żonglerowi. Pokazał  
mi dość trudną sztuczkę, polegającą na kilkakrotnym trafianiu nim  
- z dokładnością do milimetra - w nacięte za pierwszym uderzeniem  
miejsce; przy czym topór trzymał tylko jedną ręką za koniec trzonka.

Przepiłowanie dłużycy na odcinki opanowałem bez większego  
trudu i w tej pracy byłem Jankemu skutecznie pomocny. Do mnie na-  
leżała również - stosunkowo łatwa - rozkriżowka czyli rozdziała-  
nie przepiłowanego chłysta dla ułatwienia wywózki.

Od czasu do czasu zjawiał się Artur i pomagał nam w pracy.  
Obaj byli doświadczonymi lesorubami.

Po wielu miesiącach bezruchu i głodu nie byłem w stanie wy-  
trzymać tempa, jakie narzucał Janke. Szybko się męczyłem. Musiałem  
robić często przerwy na odpoczynki. Aby się nie zaziębić podcho-  
dziłem do ogniska, rozpinalem kurtkę i marynarkę i  
suszyłem mokre od potu ciało i ubranie.

Janke, którego porcja wyżywienia zależała również od mojego  
wkładu pracy, wykazał wobec mnie wiele cierpliwości i wyrozumia-  
łości...

Gdyby nie pomoc Artura, zabrakłoby nam kilku kubików do wy-

konania 100 procent normy.

Dodatkowym utrudnieniem była osadzająca się na pile żywica. Piła kleiła się do drzewa. Praca wymagała wówczas większego wysiłku i szła o wiele wolniej. Nafta ratowała dość skutecznie sytuację, lecz jej przydział wystarczał zaledwie do południa. O dawkowaniu jej w sposób oszczędny nie było mowy; skutek był wówczas bardzo niewielki. Ratunek, znany leSORUBOM, stosowany od lat z powodzeniem - choć nieco mniejszym, niż w przypadku nafty - był tylko jeden: polewanie piły moczem.

Aż podziw bierze, że w kraju znajdującym się w ścisłej światowej czołówce w wydobywaniu ropy naftowej, naftę trzeba było zastępować tego rodzaju "substytutem" /?!/

Przy tej "technologii" należało pić dużo płynu; w naszym przypadku jeść dużo śniegu. Wiązało się to, niestety, z niebezpieczeństwem przeziębienia gardła. Nikt się jednak tym nie przejmował. W przypadku wysokiej temperatury nie wychodziło się do pracy. Byli nawet tacy, którzy gorączkę sami sobie na różne sposoby sztucznie wywoływali.

Około południa przywieziono beczkowozem bałandę. Była ledwie ciepła i - jak zwykle - wodnista.

- Naczynajętsia karmioszka zwienei - powiedział, uśmiechając się Janke. - Idziemy popić - dodał.

Po przerwie spiłowaliśmy i obrobiliśmy jeszcze kilka sosen i:

-Zakancziwaj !- krzyknął w pewnej chwili Artur i zbliżywszy się do nas dodał: Słońce smotrit na chleboręzku, co w obozowej gwarze oznaczało że zbliża się koniec pracy.

Objął wzrokiem nasz odcinek i rzekł - w języku niemieckim :

- Jestem z was zadowolony. Dobrze dziś popracowaliście.

Drzewo na opał do baraku przynosiliśmy z lasu. Każdy z nas nabijał na topór lub brał pod pachę klocek drewna i składał przy piecu. Dniewalnyj sprawdzał wykonanie tego obowiązku.

Spiłowaliśmy z Jankem - z wydatną pomocą Artura - około jedenastu kubików, co dało nam przekroczenie normy o jeden kubik. Był to rekord w brygadzie. Zaliczono nam dwanaście. Janke i ja



otrzymaliśmy za ten dzień danie z primbliudą i maksymalną dzienną 850 - gramową porcją chleba.

Wyniki pozostałych członków brygady - szczególnie nowicjuszcy- były o wiele słabsze, lecz Artur "podciągnął" wszystkie, co dało nawet najslabszym możliwość otrzymania średniej wielkości pajki. Ołówek wykazał większą sprawność od mięśni...

Gdy po kolacji usiedliśmy na narach, Artur zwierzył mi się, że obaj z Jankem zostali aresztowani i osadzeni w obozie w kilka tygodni po zaatakowaniu przez Niemcy w 1941 roku Związku Radzieckiego. Zastosowano wobec nich tak zwany areszt prewencyjny. I tak - bez ustalenia winy i rozprawy sądowej - "prewencja" trwa do dnia dzisiejszego.

- Gdy skończy się wojna, pójdziecie obaj do domu - pocieszam ich.

- I ty także - zrewanżował się Artur.

Opowiedziałem im moje losy z ostatnich kilku lat. O tym, że w czasie niemieckiej okupacji w Polsce pracowałem na Lotnisku, a następnie w dyspozytorni parowozowni w Dęblinie oraz, że w lutym 1944 roku wstąpiłem do partyzantki. Opowiedziałem wiele faktów bestialskiego taktowania Polaków przez okupanta, deportacji do przymusowej pracy w Rzeszy, znęcania się i mordowania w obozach oraz o tym, że Niemcy wymordowali w ciągu pięciu lat okupacji wiele milionów Polaków. W tej sytuacji cieszyli się w Polsce wszyscy ze zwycięstw armii radzieckiej na wschodzie i aliantów na zachodzie. Nie spodziewałem się, że sukces ten - w którym miałem również swój udział - skończy się dla mnie tak tragicznie.

Opowiedziałem - jako ciekawostkę - że, gdy pracowałem na Lotnisku w Dęblinie, widziałem na własne oczy sławnego niemieckiego pilota myśliwskiego nazwiskiem Moelders, witanego z wielkimi honorami przez niemieckie dowództwo, oraz jego samolot Messerschmitt - 110, na którego kadłubie wymalowanych było kilkanaście czerwonych gwiazdek, które miały oznaczać liczbę straconych przez niego radzieckich samolotów.

Uśmiechnęli się obaj, lecz nie skomentowali tego wydarzenia...

Wypowiedziałem również moją pozytywną o narodzie niemieckim

opinię: o jego pracowitości, dyscyplinie i dbałości o porządek.

Nie odczułem - zarówno wówczas, ani w przyszłości - aby po moich relacjach stosunek Artura i Rudolfa do mnie uległ jakiegokolwiek zmianie.

Pewnego późnego wieczora - a było to w połowie maja 1945 roku - wpadł do baraku jeden z członków naszej brygady, były armijec, i:

- Bratcy ! -krzyknął - wojna kończy się ! - Gitler kaput !

- Pobjeda za nami !!! Ostatnie słowa wypowiedział jakby to, co nam doniósł, stało się z jego wielkim udziałem...

Zamarliśmy w bezruchu...

Wokół informatora zebrała się niemal cała brygada. Podszedłem również. Zasypany był gradem pytań...

- To, co usłyszałem powtarzam. Nic więcej nie wiem. - Na pewno będą w obozie jakieś komunikaty ...

Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Zbierali się w grupki wokół swych nar. Temat był wciąż ten sam...

Wróciłem w okolice swego posłania. Artur i Rudolf stali uśmiechnięci.

- To dobrze, że już koniec - powiedział spokojnym głosem Artur.

- Może wreszcie wypuszczą nas do domu - włączył się Rudolf.  
- Tym bardziej tych - dodał - którzy za tę wojnę nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

Można oczekiwać - rzekł Artur - że po tak ważnym wydarzeniu władza ogłosi amnestię.

Wszystkie słowa wypowiedzieli po niemiecku.

- Gott gebe es ! - podsumowałem.

- Musimy wymienić adresy - zaproponowałem. Gdy znajdziemy się na wolności będziemy do siebie pisać listy.

- Objaźnelno ! - potwierdzili chórem - tym razem po rosyjsku.

Emocje były tak silne, że

nikt w brygadzie nie myślał o spaniu. Dopiero około północy co niektórzy zaczęli układać się do snu. Uczyniliśmy to samo.

Długo jeszcze nie mogłem zasnąć. Nadzieja na odzyskanie wolności była silniejsza niż sen.

Rano, gdy się obudziłem wydało mi się przez moment, że to, co wczoraj usłyszałem było tylko jakimś <sup>mirażem</sup>. Gdy przetrwałem jednak wszystko, czego byłem świadkiem, a co potwierdziły nie ustające wciąż na ten temat rozmowy, uwierzyłem... Był to najbardziej radosny ze wszystkich dni, jakie przeżyłem od chwili aresztowania. Uwierzyłem również w szansę na odzyskanie wolności /!/  
Gdy wychodziliśmy do pracy w obozowych głośnikach zabrzmiała wiadomość o zakończeniu wojny, podsumowana kilkakrotnymi okrzykami: u r r a !!! i melodią: "Szyroka strana moja rodnaja..."

Był to - niestety - jedynie koniec wojny na zachodzie .  
Wojna z Japonią trwała nadal.

Pewnego dnia powziąłem - graniczące prawie z utopią - postanowienie wysłania listu do moich rodziców. Mogłem sobie wyobrazić, co przeżywają, nie otrzymując ode mnie żadnej wiadomości. W więzieniu możliwości takich nie było. Tu - przy dobrych układach - pojawiły się pewne szanse...

Do pisania korespondencji używany był w łagrze papier gazetowy. Korespondencja spoza obozu miała, bardzo często, również podobną formę. Aby litery na zadrukowanym papierze mogły być odczytane, pisane były moczonym w wodzie ołówkiem chemicznym. Koperty nie były używane. List składany był w kształcie trójkąta. Taka forma dopuszczana była wyłącznie na użytek krajowy. Z braku papieru listowego, kopert i kart pocztowych w obozie, wysłanie listu za granicę było niemożliwe. Z pomocą niezawodnego i uczynnego Artura znalazło się wyjście z tej - jak by się wydawało - beznadziejnej sytuacji. Za cenę ostatniej przedstawiającej wartość handlową część mojej garderoby - będący jeszcze w niezłym stanie wełniany szalik - znajomy Artura wolnonajomnyj dęsiatnik załatwił co było konieczne: dostarczył spoza obozu kartę pocztową, podyktował - jak się okazało jedyną możliwą do strawienia przez cenzurę - treść listu i odprawił kartę z poczty poza obozem.

Nie opanowałem jeszcze w dostatecznym stopniu sztuki posługiwania się cyrylicą; w pisaniu listu zastąpił mnie Artur.



ПОЧТОВАЯ КАРТОЧКА  
 CARTE POSTALE

1263

Куда *Лельша*  
Наименование места, где находится почта, и области или края, для станций — наименования железной дороги.

*Демблин — Прена Люблинской Обл.*  
Район, село или деревня

*ул. Стенская №1*  
Улицы, № дома, квартиры

Кому *Моховскому Стефану Ветерановичу*  
Дробное наименование адресата

*Stefan Zachowalski ul. Stenka 1*

ПОЛЬЗУЙТЕСЬ АДРЕСНОЙ ПОЧТОВОЙ КАРТОЧКОЙ ПРИ НАВЕДЕНИИ АДРЕСНЫХ СПРАВОК

Адрес отправителя  
 Adresse de l'expéditeur

*Моховский Казимир Стефанович*  
*Красноярская обл. Дар. ст. Решетки*  
*ул. Шмидта 225/02*

Дня 2. VI. 1945г.

Здравствуйте Дорогие Родители!

Я жив и здоров того и Вам желаю  
 работного при сельском хозяйстве.

Прошу прислать мне по телеграфу  
 денег и папку (табак, бумага, карандаш  
 и куренда простоя, госток)

Поскольку не более 6-ти кар.  
 На этом кончатся — жду скорого  
 ответа с уверением на скорую  
 встречу — маюте Вас все и все  
 Ваш сын Казимир

Karta pocztowa z łagru do rodziców.

Oto treść karty w tłumaczeniu:

---

K A R T A      P O C Z T O W A

Adresat:

Polska  
Dęblin -Irena, Województwo Lubelskie  
ul. Śląska 1  
Żochowski Stefan syn Wacława

Nadawca:

Żochowski Kazimierz syn Stefana  
Z S R R  
Krasnojarska Kolej Żelazna st. Reszoty  
skr. poczt. 235/03

---

Dnia 2.VI.1945 r.

Dzień dobry Drodzy Rodzice !  
Jestem żywy i zdrowy tego i Wam życzę .  
Pracuję w gospodarce rolnej.  
Proszę przysłać mi telegraficznie pieniądze i paczkę /tytoń,  
papier papierosowy, tłuszcz i ołówek zwykły, czosnek/.  
Przesyłka nie większa niż 6 kilogramów.  
Na tym kończę - oczekuję szybkiej odpowiedzi w nadziei  
na niedługie spotkanie. Całuję Was Wszystkich i Wszystkich  
Krewnych.

Pozostaję. Wasz syn

Kazik

---



Rodzice - jak dowiedziałem się po powrocie do kraju - wysłali natychmiast list i paczkę z żywnością. Obydwu przesyłek nie otrzymałem. Ja wysłałem do nich jeszcze w późniejszym czasie dwie karty. Tych natępnych nie otrzymali.

Nie dawali w obozie żadnych surówek. Organizm pozbawiony był witamin. Panowała powszechnie cynga czyli szkorbót. Dziaśta osuwały się i ropiały. Zęby się chwiały. Powodowało to przykry ból, szczególnie przy jedzeniu chleba. Na odgryzionym kawałku pozostawały ślady krwi. Panowało przekonanie, że - z braku

lekarstw - jedynym skutecznym sposobem leczenia tej choroby w naszych warunkach jest spożywanie cebuli i czosnku. Nie wielkie ilości tych artykułów pojawiały się w obozie u tych, którzy otrzymywali paczki z żywnością. Miały one jednak bardzo wysoką cenę. Nie miałem nic na zbyciu; jedynym moim środkiem płatniczym był chleb. Takiego zakupu dokonywałem więc bardzo rzadko.

Po raz pierwszy przeprowadziłem kurację - bezpłatnie /!/ - gdy Janke otrzymał paczkę z żywnością. Sprezentował mi średniej wielkości cebulę i dwa ząbki czosnku. Nie zjadłem tego w całości, lecz - jak poradził mi Artur - żułem miąższ starając się jak najdłużej trzymać go w ustach. Nie zauważyłem zbyt wielkiej poprawy po tej kuracji. Ważna była jednak wiara w skuteczność tego leczenia...

Wychodnym dniem czyli dniem wolnym od pracy nie był, jak Pan Bóg ustanowił, siódmy dzień tygodnia. Sowiecka władza wprowadziła tu pewne "usprawnienie": obowiązywała tak zwana dęsiatidniawka. "Niedziela" wypadała wówczas co dziesięć dni. Z ekonomicznego punktu widzenia system ten dawał lepsze wyniki, a człowiek?... zachęcony hasłem: "Bolsze lesa stranie, bolsze kņepieža Kuzbasu!" - nie protestował...

Przeklinaliśmy ten dzień "odpoczynku" pełen udręki nie mniej dokuczliwy, niż praca w tajdze; szczególnie w czasie dużego mrozu. Na głównym trakcie obozu zbierano wszystkich na prowerku czyli do apelu. Spęd trwał kilkanaście minut. Ustawiano nas trójkami, a następnie przeganiając do przodu liczone. Nie znam przypadku,



aby rachunek za pierwszym razem się zgodził. Zawsze się ktoś gdzieś zapodział: usnął w baraku, poszedł w odwiedziny do chorego w bolnicy lub baraku dla dochodiag albo "przymarzył" do żerdzi w ubornej... Zdarzały się również - i to najczęściej - zwykłe omyłki w liczeniu. Zaczynało się wówczas wszystko od początku. Staliśmy tak niekiedy godzinę lub dwie na mrozie w bezruchu. Na wyjście z kolumny nie zezwalano nawet tym którzy zasłabli.'

Po kilku tygodniach Janke i Artur uczynili ze mnie prawdziwego lesoruba. Mogłem już teraz wykonywać samodzielnie wszystkie prace. Nauczyłem się nawet dość trudnej sztuki oceny - w kubikach - stojącego na pniu drzewa, a także ekonomicznego grupowego walenia drzew. Metoda polegała na tym, że pozostawiało się na pniu kilka, jedynie w około siedemdziesięciu procentach podpiłowanych drzew, a następnie waliło na nie jedno większe. Padały wówczas wszystkie jak domek z kart. Sposób ten dawał spore oszczędności w piłowaniu, a tym samym zwiększał możliwość wykonania normy.'

Praca z Jankem szła mi dość sprawnie, tym bardziej, że Artur przydzielał nam łatwiejsze do wyrębu odcinki tajgi.'

Dni upływały, a w przyrodzie zaczęło się dziać coś nowego. Przy końcu maja mrozy ustały. Temperatura w dzień była wyższa od zera i rosła z każdym dniem. Noce były krótsze. Ostre promienie słońca topiły, jak w tyglu, nagromadzoną w ciągu dziewięćmiesięcznej zimy grubą powłokę śniegu. Liczne strumienie, spływające wąskim nurtem, unosiły gdzieś olbrzymie ilości wody nasycając życiodajną wilgocią żyzną i czarną jak sadza tunguską glebę. Rośliny nie miały czasu - jak w naszym klimacie - na powolną wegetację. Eksplodowały błyskawicznym życiem. Obnażona ze śniegu i ogrzana ostrymi promieniami słońca ziemia pokryła się bujną soczystą zielenią i różnobarwnym kwieciem. W ciągu ~~po bardzo krótko trwającej tu wiosnie,~~ kilkunastu dni sroga zima ustąpiła i zapanowało syberyjskie lato.

Jedynym nieprzyjemnym zjawiskiem, jakie wywołała wiosna, była rozmokła gleba. Nogi grzęzły po kostki w mazi topniejącego

śniegu i wodzie. Skarpety, dolne części spodni i buty nasiąkały jak gąbka. Przed przystąpieniem do pracy trzeba było wszystko zdejmować i suszyć przy ognisku.

Ubranie z domu, które było przeze mnie niemiłosiernie eksploatowane, również jako materac, uległo kompletnemu zniszczeniu. Łatałem rozdarte i przetarte miejsca, lecz włókna były tak słabe, że reperacja niewiele pomagała. Kamasze z futrówką filcową, które mi rodzice przynieśli przed opuszczeniem KPŻ, zupełnie się rozpadły.

Na wniosek Artura otrzymałem pewnego dnia kazonną odzież: watowaną bluzę, spodnie i kurtkę. Ubranie było typowo zimowe, ale nie mając letniego używałem tełognięjkę przez całe lato.

Otrzymywaliśmy ubrania mocno podniszczone. Była to najczęściej odzież wybrakowana w wojsku. Otrzymałem również kamasze na gumowej podeszwie. Były nowe, ale jakość ich była bardzo zła; były twarde i kaleczyły nogi. Stanowiły jednak przynętę dla miejscowych złodziejasków. Artur poradził mi, abym na noc owinął je ciuchami i położył pod głowę. Gdy następnego dnia poszedłem w nich do pracy, przeciął - ku mojemu zdziwieniu - cholewkę w jednym bucie i zapewnił, że teraz mogę być już o nie zupełnie spokojny. Ich wartość użytkowa - po zaszyciu przecięcia - nie pogorszy się, a handlowa będzie prawie żadna.

Artur i Rudolf otrzymywali raz na kwartał po dwie przesyłki z żywnością. Nie musieli więc ciągle głodować. Były w nich najczęściej: słonina, suchary, kasza, cebula i czosnek. Zawartością dzielili się jak bracia. Mnie przypadła wówczas - jak zwykle - cebula i dwa ząbki czosnku oraz dodatkowa porcja zupy Artura, którą otrzymywał on jako brygadzysta.

Dwie porcje zupy poprawiały nieco moje samopoczucie, lecz spore tempo pracy jakie narzucał Janke wyczerpywały moje siły i traciłem systematycznie na wadze.

Normę wykonywaliśmy w granicach 100 procent; z częstym udziałem Artura. Niezależnie od tego dopisywał on nam - jak zwykle - po błatu od jednego do dwóch kubików.

Temperatura powietrza dość szybko rosła. Zniknęły nawet reszt-

ki zakonspirowanego w leśnej gęstwinie śniegu. Do pracy chodziliśmy jedynie w tęgognejkach.

Żadna z pór roku nie dawała - niestety - łagiernikowi pełni szczęścia. Zimą dokuczał mróz, sięgający niekiedy do minus 50°C, wiosną roztopy. Lato miało też swoje kaprysy...

Gdy znacznie się ociepliło i temperatura dochodziła niekiedy do plus 20°C, tajgę opanowała mészka i komary. Te natrętne owady atakowały z furją każdą odkrytą część ciała. Setki ukłuc doprowadzały ludzi do szaleństwa. Nie było mowy o pracy. Pomimo, że było już dość ciepło nie zdejmowaliśmy ubrań. Pot zalewał ciało. Ręce chroniliśmy zakładając rękawice, które łączyliśmy szczelnie z mankietem tęgognejki. Na najbardziej narażone na ataki części ciała: głowę i szyję, władza wymyśliła płócienny kap - tur zwany nakomarnikiem. Dla umożliwienia widoczności, w płótno wstawiony był kawałek gazy. Tego rodzaju rekwizyt nie nadawał się absolutnie dla ludzi wykonujących ciężką pracę. Organizm potrzebował znacznego dotlenienia, w czym nakomarnik stanowił skuteczną przeszkodę.

Pilnujący nas strażnicy mieli nakomarniki o wiele lepszej konstrukcji /jeżeli dobrze pamiętam, wstawka wykonana była z włosa i przepuszczała więcej powietrza/ i do tego nie pracowali.

Zaradny - jak zwykle - łagiernik opatentował i na tę okoliczność bardzo prosty wynalazek: spleciony z trawy wianek z opuszczonymi w dół długimi pędami, osłaniał - jak damska woalka - twarz i szyję umożliwiając normalne oddychanie. Przez taką osłonę przedostawały się tylko nieliczne owady.

Pomimo - jak by się wydawało - szczelnego zabezpieczenia mészka i komary znajdowały miejsca, do których mogły się dostać. Atakowały przez cienką warstwę koszuli, przez każdą najmniejszą nieszczelność w odzieży, nawet przez dziurki w butach, przez które przewleczone były sznurowadła. Upodobały sobie szczególnie ludzi o jasnych i delikatnych cerach. Powstająca od licznych ukąszeń opuchlizna na ich twarzach dochodziła do takich rozmiarów, że zasłaniała oczy. Ludzi w takim stanie prowadziliśmy do łagru pod rękę, jak niewidomych. Dotkliwym ukłuciom ulegał zwykle Artur.



R y s u n e k

Tajga latem. Drzewa: sosny, modrzewie, świerki, brzozy oraz poszycie /krzewy/. Dość wysoka trawa.

Na placu pracujący lesoruby. /Uwaga ! obrazek podobny jak na stronie 119 " Na lesozagotowce/.

Na pierwszym planie dwóch lesorubów : jeden w nakomarniku z materiału, drugi z trawy. Latające wokół pracujących ludzi, wartowników i psa, tysiące muszek i komarów.

Lesopowal latem. Lesoruby w nakomarnikach.



Autor w nakomarniku z materiału /obecnie/, jedynym rekwizycie przywiezionym z Syberii.

Do następnego dnia opuchlizna prawie zupełnie samoczynnie znikala. Najskuteczniejszą jednak metodą odstraszania mszki i komarów było smarowanie najbardziej odsłoniętych części ciała czyli rąk, szyi i twarzy dziegciem. Najgorszym zabiegiem było jednak jego usuwanie. Trzymał się skóry jak dobrego gatunku farba. Można go było zmyć całkowicie jedynie łącznie z naskórkiem.

Dziegieć wytwarzany był przez brygady pracujące w tajdze z kory brzozej, przy zastosowaniu najprymitywniejszej ze znanych na świecie metody: około półtorametrowej długości blaszaną rurę o średnicy 20 centymetrów faszerowało się korą brzożową. Układało się ją na ognisku w pozycji lekko pochylonej. Górna jej część była szczelnie korkowana, natomiast dolna - dla spływu dziegciu - otwarta. W podgrzanej korze następował powolny proces wysuszenia, a następnie zwęglania kory, w wyniku którego wydzie - lały się części płynne pod postacią dziegciu. Produkt ten spływał - a raczej skraplał się - do podstawionego naczynia. Produkcja zaliczana była brygadzie w poczet wykonanej normy.

Stosowany przez nas, jako panaceum przeciw komarom i muszkom, służył również do pastowania butów. Żadnych innych środków do konserwacji obuwia w obozie nie stosowano. Z uwagi na to, że dziegieć był artykułem deficytowym, na luksus pastowania nim butów mogliśmy sobie pozwolić jedynie przy okazji wielkiego święta.

Wypiłowane w tajdze olbrzymie przestrzenie lasu wykorzystywane były jako pola uprawne lub pozostawiane po prostu odłogiem. Po zakończeniu powału pniaki nie były usuwane. Tkwiły w ziemi tak długo, aż zniszczyła je erozja. Jarzyny i warzywa sadzone były pomiędzy pniami. Rezultaty urodzaju na tej wspaniałej glebie były oszałamiające. Wszystko wyrastało do prawie dwukrotnie większych rozmiarów niż w naszym klimacie.

Jedynym stosowanym nawozem były odchody z obozowych latryn, których wywozem na pola zajmowała się specjalna grupa zwana - w języku Artura, zgodnie z jej specjalizacją - Scheisbrigade.

Jeżeli przestrzeń po spiłowanym lesie miała być przeznaczona do dalszego zalesiania, pozostawiało się na niej co kilka-



set metrów kępę drzew zwaną siemianną płaszczadką czyli plac rozsiewu dla samoistnego odradzania się lasu. Proces ten był jednak długotrwały i dawał gorsze wyniki, niż stosowane na świecie rozsadzanie młodych sadzonek. Wyjątkowa obfitość drewna jaką dostarczała tajga, mogąca zaspokoić w pełni potrzeby kraju, a także na eksport, nie wyzwalała u władzy troski o skrócenie okresu jej odradzania.

Z lekcji geografii na temat Syberii wiedziałem, że lasy tajgi zapełnione są bogatą różnego gatunku fauną; że spotyka się tu: łosie, niedźwiedzie, wilki, wiewiórki, sobole, drobne gryzonie oraz różnego rodzaju leśne ptactwo. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, przez cały czas mego pobytu w tajdze, żadnego z tych zwierząt nie widziałem. Eksploatacja lasu prowadzona była z takim rozmachem i hałasem, że zwierzęta opuszczały w popłochu swe gniazda i legowiska, zanim mogliśmy je zobaczyć.

W trzeciej połowie sierpnia zaczęło się robić chłodniej. Zapanowała krótka syberyjska jesień.

Od zakończenia wojny na zachodzie upłynęły już cztery miesiące i nic nie wskazywało na to, że władza zamierza uszczęśliwić choćby jakąś część - spośród więźniów politycznych - aktem amnestii. Wiadomość o kapitulacji Japonii i podpisaniu przez nią w dniu 2 września 1945 roku Aktu o bezwarunkowej kapitulacji wyzwoliła u nas ponownie nadzieje na odzyskanie wolności... Jak się jednak w przyszłości okazało, nadzieje te nigdy nie potwierdziły się rzeczywistością.

W ciągu kilkumiesięcznej wyczerpującej pracy większość ludzi w brygadzie osłabła do tego stopnia, że nie była w stanie wykonać nawet połowy normy. Artur robił co się da, aby "podciągnąć" wykonanie planu, ale zbyt rażące nieprawidłowości mogłyby go narazić na represje. Gdy we wrześniu zapanowała już na dobre zima, a sytuacja z wykonaniem planu jeszcze się pogorszyła, stało się jasne, że brygada jest na wykończeniu. Zarządzono medycyński osmotr, w wyniku którego kilku zostało skierowanych do baraku dla dochodzących, a około dwudziestu - w tym również ja - do nieco lżejszej pracy przy budowie leżniowej drogi czyli toru do prze-

wożenia balonów na sztable czyli sągi.

Brygada miała siedzibę w tym samym baraku, po drugiej stronie korytarza.

Pożegnałem Artura i Rudolfa. Podziękowałem im za przyjazną atmosferę, jaką mi stworzyli. Pozwoliła mi przetrwać trudne warunki w moim pierwszym kontakcie z tajgą.

- Kto wie - pomyślałem - jak wytrzymałbym tę próbę, gdyby nie współpraca z Rudolfem - doświadczonym lesorubem - i okazała mi życzliwość Artura ?...

- Szkoda - powiedział Artur - że od nas odchodzisz, ale - dzięki Bogu - niedaleko i będziemy się mogli często spotykać.

Słowa te wypowiedział po niemiecku, więc ja odpowiedziałem mu również w jego języku:

- Cieszę się również z tego, że będziemy się mogli widywać.

Brygada Artura już na drugi dzień została uzupełniona do pełnego stanu nowym narybkiem po "regeneracji" i nowicjuszami.

W mojej nowej brygadzie zająłem miejsce na narach wspólnie z pochodzącym z Leningradu Rosjaninem nazwiskiem Wasilij Grigorjew. Miał lat około czterdziestu. Przed aresztowaniem, które nastąpiło w połowie 1944 roku pracował jako urzędnik w leningradzkim porcie. Był więźniem politycznym. Otrzymał 10 - letni wyrok. Staż aresztancki mieliśmy identyczny.

Opowiadał o tragedii jaką przeżyli mieszkańcy Leningradu w czasie 2,5 - letniego oblężenia przez wojska niemieckie i o setkach tysięcy ludzi, którzy umarli z głodu, chorób i wycieńczenia. W domu pozostała żona z dwudziestoletnią córką. Druga córka, o rok młodsza, w czasie blokady miasta ciężko zachorowała i zmarła w 1943 roku z braku lekarstw i skutecznej lekarskiej pomocy.

W brygadzie pracuje już od kilku miesięcy.

Powiedział mi, że brigadirem jest starszy już wiekiem Sasza zwany tu powszechnie diadia. Na wolności trudnił się - czego on sam nie ukrywa - złodziejstwem, za co właśnie otrzymał wyrok.

Wasilij chwalił Saszę za dobre układy z ośiatnikiem oraz w URB'ie, co w żywieniu brygady miało duże znaczenie. Chwalił go

jednak najbardziej za dyscyplinę i porządek panujący w baraku. Można tu było - jak nigdzie dotąd - pozostawić bez opieki osobiste przedmioty, a także chleb nazywany tu krownaja pajka czyli chleb krwawo zapracowany w tajdze i nikt nie śmiał go ruszyć. Ochronie podlegała również odzież, lecz tylko kazonna.

O wprowadzonym i z całą surowością egzekwowanym poszanowaniu cudzej własności - w brygadzie dowodzonej przez złodzieja profesjonalistę - nigdy nie słyszałem.

Wasilij wyjaśnił mi również - co przyprawiło mnie o jeszcze większe zdziwienie - że złodzieje przestrzegający swych "praw" otoczeni są tu przez środowisko pospolitych przestępców powszechnym szacunkiem. Słowo "wor" czyli złodziej nie przynosi ujmy, lecz uznanie i respekt.

Przez władze traktowani są z dużą pobłażliwością. Zatrudniani są do lżejszych prac: w kuchni, bani lub żarłke, masteńskiej, bolnicy, w magazynach oraz przy innych temu podobnych zajęciach.

Ochronie objętej "prawami worów" przed kradzieżą podlega - na takiej samej zasadzie jak krownaja pajka - żywność otrzymana w paczce spoza obozu pod warunkiem, że jej odbiorca odda dobrowolnie połowę jej zawartości worom. Pozostała część uzyskiwała wówczas "pieczęć" absolutnej nietykalności. Należy dodać, że wory - przy pomocy swego dobrze zorganizowanego wywiadu - wiedzieli o każdej przesyłce jaka trafiała do obozu i znali nazwisko jej odbiorcy. Jakakolwiek próba ukrycia paczki kończyła się utratą całej jej zawartości.

Przedostatnim na wpół "legalnym" współudziałowcem paczki były władze obozowej ochry. Jeżeli przesyłce udało się przedrzeć w jakiej takiej kondycji przez liczne <sup>było</sup> bardzo uczulone na wszystko, co kierowane do obozów i więzień, punkty kontrolne one to właśnie dokonywały ostatecznej rewizji przed przekazaniem jej adresatowi. Pozostawiały przy tym sobie, "za fatygę", część jej zawartości, przy czym wielkość i rodzaj "rekwirowanych" dóbr uzależniona była od ich atrakcyjności. Należy dodać, że "gusta" władzy kształtowały się w tym względzie na poziomie o wiele niższym, niż przeciętny... Nie znam, mimo to przypadku, aby odbior-



ca przesyłki - stwierdziwszy w niej nawet dość spory "ubytek" - zaprotestował.

Następną ze znanych zasad przestrzeganych przez worów było wspólne i sprawiedliwe dzielenie się pochodzącym z kradzieży łupem.

Jeżeli wor złamał jakąkolwiek z obowiązujących w tym środowisku zasad, podlegał karze usunięcia go ze złodziejskiej organizacji, karze grzywny, a także często karze cielesnej, w zależności od stopnia "wykroczenia".

Jeżeli kradzieży krownej pajki dopuścił się nie wor, podlegał również karze.

Dla wszystkich tych, którzy nie otrzymywali przesyłek żywnościowych spoza obozu - w tym dla wszystkich Polaków - towa - rzystwo worów było najlepszym gwarantem zabezpieczenia żywotnych interesów.

Usunięci ze swej "organizacji" złodzieje zrzeszali się w środowisku tak zwanych "zsuczonych worów" nazywanych pospolicie "sukami". Zasady, jakie obowiązywały tych ostatnich, oparte na obniżonym "morale", były pod każdym względem bardziej "liberalne"; dopuszczały kradzieże najpodlejszego autoramentu.

Jakkolwiek "działalność" obydwu "organizacji" miała ten sam cel, różnica w zasadach postępowania wykluczała koegzystencję obydwu na tym samym terenie. Dochodziło między nimi często do krwawych walk - typu porachunków mafijnych - kończących się obrażeniami ciała, a nawet śmiercią.

Władza traktowała i jednych i drugich według tych samych kryteriów; unikała jednak - przed czym bronili się również oni sami -

umieszczania ich w tym samym obozie.

Opinię, jaką mieli złodzieje o swym przestępczym procederze, wyraża następujące powiedzenie: "Ty sidisz nie za to, czto ty ukrał, no za to, czto ty popał".

Dowiedziałem się od pewnego Rosjanina, że pilnujący nas strażnicy ochry to ludzie, którzy nie znaleźli się tu zupełnie przypadkowo dla odbycia służby. Oni również coś przeszkrobali ...

W normalnym wojsku, wolnym od tak olbrzymiego, jak w sowiec-

kim, oddziaływania ideologią, za drobne wykroczenia żołnierz stawał do raportu i otrzymywał upomnienie lub kilka dni aresztu. Celem komunistycznego kierownictwa, które przejawiało w wojsku szczególną aktywność, było - jak twierdził mój rozmówca - wychowanie żołnierza pozbawionego inicjatywy, bezwolnie podporządkowanego komunistycznym dogmatom. W szeregu przypadkach stwierdzenia niekiedy zupełnie drobnych wykroczeń, władza rozprawiała się w ten oto "łagodny" sposób:

Następnego dnia po przeniesieniu wyruszyliśmy w tajgę na budowę leźniowki. Po krótkiej lekcji brigadira i obejrzeniu gotowego odcinka drogi okazało się, że praca nie wymaga większych umiejętności. Zostaliśmy podzieleni na zwęna czyli grupy, z których każde otrzymało określone zadanie. Dwie pary - w tym również i ja - wyznaczone zostały do wycinania drzewa. Pozostałe wykonywały następujące prace: cięły dłużyce na podkłady, wyrównywały teren, układały podkłady i wykonywały wręby dla ułożenia żerdzi, układały żerdzie i zamocowywały je do podkładów.

Do budowy leźniowki należało wycinać cienkie i możliwie najdłuższe sosny lub świerki o średnicy około 20 centymetrów. Do tego celu używaliśmy pił podobnych kształtem do dzieciennego łuku, nazywanych łuczok, lub zrąbaliśmy je toporami. Pocięte na półtorametrowe odcinki i ułożone na ziemi w około dwumetrowych odstępach stanowiły podkład pod tor. W nacięte na podkładach wgłębienia układało się żerdzie - które spełniały tu rolę szyn - i przybijało je do podkładów gwoździami.

Po tak przygotowanym torze kursowały dwuosiove wagoniki na metalowych kołach mających wklęsły bieżnik, podobny do samochodowej felgi, co pozwalało na dość stabilne utrzymywanie się ich na torze, nawet w przypadku niewielkich terenowych nierówności. Siłę pociągową stanowiły konie i nierzadko również ludzie.

Wagoniki służyły do przewozu bałanów wywleczonych na jednoosioowych wózkach konnych z placu powału i dostarczenie ich na sztable przy torze kolejowym.

Praca, którą wykonywałem należała do najcięższych w brygadzie. Wyszukiwanie i wycinanie odpowiedniego materiału wymagało





R y s u n e k

Tajga w zimie. Las mieszany: sosny, świerki, modrzewie, brzozy /różnej grubości/.

Poszczególne zwena - według opisu na stronicy 139 - budują leżniówkę.

Po torze koń ciągnie dwa wózki podstawione na początku i końcu bałanów. Woźnica pogania konia batem. Koń pochylony do przodu ma mocno napięte mięśnie. Kilku więźniów popycha ładunek.

W oddali wartownik z psem.

Budowa leżniowej drogi.

koronnym świadkiem tragedii, jaka rozegrała się krótko przed północą:

Wołodia Wołodnicki położył na półce, na wysokości jego łóżka na piętrze, 350 - gramową pajkę chleba, którą otrzymał wieczorem na kolację.

Przypadek taki należał do rzadkości. Wygłodzony wciąż łagier-  
nik rozprawiał się z chlebem natychmiast po jego otrzymaniu.

Wołodia, pracując od kilkunastu dni w kuchni, czuł się widocznie tego wieczora na tyle najedzony, że postanowił pozostawić ją na dzień następny.

Magnes leżącej prowokująco pajki przyciągał wzrok wygłodzonego jak wilki narodu, wywołując jałową, a zarazem męczącą reakcję organów trawienia. Obowiązująca tu jednak zasada: "K rownaja pajka - nie tron'!" odbierała chęć nawet tym, którzy w zaspokajaniu własnych potrzeb cudzym kosztem nie mieli żadnych skupułów.

Znalazł się jednak śmiałek, który - wierząc zapewne w możliwość dokonania przestępstwa doskonałego - zaryzykował. Zajmujący miejsce na parterze moich nar ex-starszyna, drobny wychudzony człowieczek, którego natura nie obdarzyła ani siłą ani dobrym zdrowiem, miał bardzo słabe wyniki w pracy i pomimo wielkoduszności Saszy, dzielił los najsłabiej w brygadzie wynagradzanych. Gdy wszyscy na dobre usnęli, wspiał się cichcem na nary Wołodi i zdiął z półki leżącą tam pajkę chleba.

Miał pecha. W chwili gdy schodził pośpiesznie ze zdobyczą, osunął się i upadł na podłogę, czyniąc wiele hałasu. Obudził śpiących w pobliżu towarzyszy, a wśród nich również właściciela pajki.

-Dniewalnyj, zapal lampę ! - krzyknął Wołodia, gdy dostrzegł brak chleba na półce.

Wszyscy zostali wyrwani ze snu, jak podczas jakiegoś alarmu. Ex-starszyna nie próbował uciekać ani się tłumaczyć; stał bezradny z chlebem w ręku jakby w oczekiwaniu na wyrok. Wyglądało na to, że złodziejstwo nie było mocną stroną jego charakteru.

- Kładź się na podłogę - na plecy ! - zawyrokował diadia Sasza, gdy wyrwany jak inni ze snu dostrzegł sprawcę z dowodem przestępstwa w ręku.

Wybrał czterech spośród najbliższych stojących towarzyszy; polecił aby chwycili go za ręce i nogi, unieśli do góry i rzucili nim o podłogę.

Jęknął głucho, a krew popłynęła mu nosem i ustami .

- Niech zdycha łotr ! krzyknął Sasza, a wy idźcie na miejsca dodał - i oddalił się w kierunku swego pośłania.

Byłem świadkiem tej tragedii od samego początku i muszę przyznać, że żał mi było tego nieszczęśnika. Nie był to z natury zły człowiek. Nie udzielał się towarzysko i z nikim się bliżej nie przyjaźnił. Chodził wciąż zamyślony, jakby obojętny na to co się wokół niego dzieje. Nie popadł - jak do tej pory - z nikim nawet w najmniejszy konflikt.

Po kilku minutach zwał się z podłogi i bez słowa legł na swym pośłaniu.

Dniwalnyj przykręcił knot. Zapanaowała cisza, jak gdyby się nic szczególnego nie wydarzyło.

Ex-starszyna do pracy nie poszedł. Został zabrany do bolnicy. Po kilku dniach z powodu silnych potłuczeń, wstrząsu wewnętrznych organów i krwawienia zmarł, nie ujawniając nikomu z obcych tajemnicy popełnionego przestępstwa i kary, jaka go za nie spotkała.

Władze nie wykazały najmniejszego zainteresowania przyczyną tak mocnego urazu - powstałego nie w pracy, lecz w baraku - i śmierci człowieka, jak nie interesowały się śmiercią wielu dziesiątków ludzi umierających codziennie z niedożywienia, chorób i wycieńczenia.

Od chwili mego aresztowania byłem świadkiem wielu tragedii i zgonów współtowarzyszy, lecz ta ostatnia wydała mi się najbardziej wstrząsająca.

Za pracę w kuchni otrzymywało się kociołek zupy i taką samą porcję szołuchy czyli obierek kartofli, zwanej tu, jakby z arabska, czachambil . Dodatkowe szczęście miał ten kto - niezauważony przez nabliudatielja - najadł się surowizny. Przyłapany na takim "procederze" otrzymywał naganę z ostrzeżeniem, a "recydywista"



usuwany był z kuchni bez jakiegokolwiek zapłaty i możliwości ponownego zatrudnienia. Pomimo to wszyscy ryzykowali...

Staraliśmy się obierać kartofle - z wiadomych względów - dość grubo pozostawiając na obierce jak najwięcej miąższu.

Wyprodukowaną przez nas szołuchą kuchnia płaciła także innym robotnikom, wykonującym doraźnie różne prace takie jak: rąbanie drzewa na opał, wynoszenie popiołu, mycie kotłów i przynoszenie wody.

Otrzymaną jako zapłatę porcję zupy zjadałem, natomiast z szołuchy - po posiekaniu jej i dodaniu niewielkiej ilości wody - robiłem lepioszki czyli placki i piekłem je w baraku na piecu. Miały duże powodzenie, szczególnie u Chińczyków. Otrzymywało się za nie - bez targu - 350 - gramową porcję chleba.

Trudno było zrozumieć nabywców lepioszek?... Wrażenie robiła zapewne ich duża ilość w porównaniu z bardzo skromnie wyglądającą porcją chleba.

Po ciężkiej pracy w tajdze, codzienna praca w kuchni pozbawiała mnie wielu godzin snu, nie rekompensowała włożonego wysiłku. W tajdze chodziłem senny, a w kuchni też - mimo woli - przysypiałem.

Była połowa listopada. Mróz przekraczał często temperaturę 30°C. Szczególnie dotkliwie marzły mi nogi. Kamasze, które otrzymałem w brygadzie Artura zupełnie się rozpadły. Przed wyjściem do pracy owijałem je szmatami i okręcałem sznurkiem.

Nie było w tym czasie szans na otrzymanie zimowego obuwia. Okazja nadarzyła się dopiero pod koniec roku. Diadi Saszy udało się uzyskać przydział kilku par walonek, z których jedna przypadła mi w udziale. Były mocno zniszczone; zelówkę miały z opony samochodowej. Gdy nogi okręciłem szmatą, było mi w nich jednak o wiele cieplej. Gorzej było z chodzeniem. Czułem się w nich jak w drewniakach.

Święta Bożego Narodzenia spędziłem w pracy. Samotność odczułem szczególnie dotkliwie w dzień Wigilii. Gdy wieczorem usiadłem na pryczy i oczyma wyobraźni przeniosłem się do mego ukochanego Dęblina, poczułem jakieś dziwne odrętwienie; jak gdyby przestało

mi bić serce...Przez mgłę widziałem siedzących przy wigilijnym stole rodziców i pusty talerzyk na miejscu, przy którym zwykle siadywałem. Teraz, gdy zostałem tu zupełnie sam, odczułem z jeszcze większą siłą całą beznadziejność mojej sytuacji...

- Jaki sens ma moje dalsze życie ? - pomyślałem. - Jeżeli uda mi się w tych warunkach przetrwać do końca wyroku - co z każdym dniem zaczęło mi się wydawać coraz mniej prawdopodobne - czeka mnie spędzenie reszty życia na Syberii. Taka bowiem zasada stosowana była - po odbyciu kary - wobec "terrorystów i zdrajców ojczyzny" /!//

- Aniele Boży Stózu mój... - powtórzyłem kilkakrotnie. Na duszy zrobiło mi się jakoś lżej... Modlitwa mojej ukochanej matki - jak zawsze - dodała mi sił.

Nowy 1946 rok rozpoczęliśmy dniem wolnym od pracy. Dodatkowym akcentem tego radośnie obchodzonego na całym świecie święta była nieco gęściejsza zupa i kasza, którą zafundowało nam naczalstwo od wyżywienia.

Artura i Rudolfa odwiedzałem w ich brygadzie; oni przychodzili do mnie również na pogaduszki. Pewnego wieczora wpadli uradowani. Janke zostaje zatrudniony w charakterze kucharza. Dowiedziałem się przy tej okazji, że na wolności był kucharzem w stółwce.

Awans Rudolfa okazał się również dla mnie bardzo korzystny. Gdy dyżur wydawania potraw przypadł na niego - oprócz uśmiechu, jakim mnie zwykle witał w okienku - serwował mi gęstą zupę ze spođu i czerpak kaszy z górką.

W połowie lutego w wychodniej dzień byłem świadkiem niecodziennego - nawet jak na obozowe stosunki - wydarzenia:

Późnym popołudniem wbiegł do naszego baraku mocno poödenerwowany człowiek i przekazał diadi Saszy jakąś wiadomość. Z jego zachowania widać było, że stało się coś niezwykłego. Nie słychać było o czym rozmawiali, lecz nie trudno się było domyśleć, że informacja wywołała u diadi Saszy duże podniecenie. Po krótkiej wymianie zdań informator wybiegł z baraku, a po kilku minutach pojawiło się wraz z nim kilkunastu ludzi pochodzących spoza naszej

brygady.

Mój sąsiad z nar Wołodia, znający doskonale panujące tu układy, powiedział, że w zdenerwowanie wprowadzony został "świat worów" naszego obozu, którego "kólem" - jak się ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem - był nasz diadia Sasza.

Dalsze wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Idealnym punktem obserwacji tego, co się rozegrało na dziedzińcu przed naszym barakiem, było okno w pobliżu moich nar, z którego zarejestrowałem dokładnie przebieg całego wydarzenia.

Gdy pod nadzorem strażników ochry wprowadzonych zostało do obozu kilku nowo przybyłych, grupa naszych worów wybiegła im naprzeciw i zażądała natychmiastowego usunięcia ich z obozu.

Jak się okazało, intruzami były przysłane do naszego obozu suki. Nie pomagały perswazje i groźby ochry; stanowisko worów było nieprzejezdne. Uzbrojeni we wszystkie możliwe do zdobycia w obozie "narzędzia" jak: kamienie, cegły, kawałki drewna i kije, zagrodzili drogę sukcesom.

Po raz pierwszy byłem świadkiem wydarzenia, w którym wszechwładna NKWD znalazła się - wobec nieprzejezdnej postawy więźniów - w defensywie.

Aby nie dopuścić do otwartej walki, wezwany komendant ochry obiecał, że suki zostaną odtransportowane do innego obozu, lecz w związku z późną porą i zapadającymi ciemnościami, może co najwyżej na dwa dni, muszą być na noc, być ułokowane w naszym obozie. Miejscem czasowego przetrzymania ich miało być pomieszczenie w URB'ie. Tam też suki zostały ułokowane.

Gdy tylko strażnicy wyszli za bramę, na okno pomieszczenia suk runął grad kamieni i cegieł. Posypały się szyby. Naporu nie wytrzymały kraty okienne; zaczęły się chwiać i wyginać.

Wobec znacznej liczebnej przewagi worów, suki nie miały żadnych szans.

Postawa ochry została złamana, a suki wyprowadzone na wartownię.

Muszę przyznać, że całą sympatią byłem po stronie worów i - gdy batalia zakończyła się dla nich zwycięsko - odetchnąłem z



ulgą.

Minęło dziesięć miesięcy rozłąki z Maćkiem i Zygmuntem. W ciągu tego czasu miałem w użyciu wyłącznie język rosyjski, z wyjątkiem nielicznych przypadków, gdy rozmawiałem z Arturem i Rudolfem w języku niemieckim. Znajomość rosyjskiego poprawiłem do tego stopnia, że mogłem się nim posługiwać w codziennej tematyce dość swobodnie.

Moim najczęstszym rozmówcą był Wodzinicki odsiadujący wyrok za jakieś przestępstwo pospolite. Nie służył w wojsku i nigdy nie był za granicą, jak to przydarzyło się setkom tysięcy sowieckich żołnierzy biorących udział w ostatniej wojnie. Słuchał więc z dużym zainteresowaniem moich opowiadań o stosunkach panujących w przedwojennej Polsce, a także w czasie niemieckiej okupacji.

Jego wiadomości o naszym kraju, pochodzące ze źródeł antypolskiej propagandy, jaką karmione było sowieckie społeczeństwo przez resort oświaty i środki masowego przekazu, były tendencyjne i wypaczane. Społeczeństwo polskie kojarzył sobie ze "światem burżujów i panów". Nie wierzył, że w Polsce przedwrześniowej ludzie nie umierali z głodu; że bezrobotni otrzymywali zasiłki i byli przez organizacje charytatywne bezpłatnie dożywiani, a także, że dzieci robotników i chłopów miały dostęp nie tylko do szkół powszechnych, lecz również do gimnazjów i na wyższe uczelnie, a podstawowym kryterium były zdolności, a nie społeczne pochodzenie.

Uwierzył dopiero wówczas, gdy mu powiedziałem, że pochodzę z rodziny żyjącej w Polsce na średnim poziomie, że jestem synem zawodowego wojskowego w stopniu zaledwie sierżanta, i nie mam potrzeby gloryfikować ustroju, który - być może daleki od doskonałości - dawał jednak, w świetle obowiązującego prawa i konstytucji, Polakom i mniejszościom narodowym jednakowe możliwości egzystencji.

Wyjaśniłem mu również, że osiągnięcia międzywojennej Polski można zawdzięczać sprawnemu kierownictwu państwa i pracowitości narodu, który kraj wyeksploatowany przez zaborców w czasie 123-letniej niewoli potrafił w ciągu jedynych 18 lat podnieść z ruiny

i odbudować gospodarke.

Tak się zagalopowałem z wychwalaniem tego, co polskie, że gdy się zastanowiłem, co mogłoby mnie spotkać, gdyby Wodzinicki "przekablował" swoim władzom to co ode mnie usłyszał, mógłbym być spokojny o jeszcze jeden taki wyrok, jaki już otrzymałem. Tym razem miałem jednak szczęście...

Gdy tematy społeczno - polityczne i relacje o moich partyzanczkich przygodach się wyczerpały, opowiadałem mu przedwojenne filmy. Największe wrażenie zrobił "King - Kong". Oglądałem go po raz pierwszy, gdy miałem 14 lat. Był jedynym, który obejrzałem trzykrotnie, zawsze z jednakowym zainteresowaniem. Treść utrwaliłem sobie tak dokładnie, że pamiętam ją do dziś w najdrobniejszych szczegółach.

Gdy pewnego już późnego wieczora, opowiedziawszy do połowy, chciałem pozostawić resztę na dzień następny, słowu "umolaju" /błagam/, bym kontynuował dalej, nie mogłem się oprzeć...

Film zrobił furorę w całej brygadzie. Grono słuchaczy urosło do kilkunastu.

Było w nim o tym, jak ogromna małpa, która żyła na jednej z podzwrotnikowych wysp, rozdrażniona przez tubylców wtargnęła do wioski i deptała ludzi, aż krew z nich tryskała; o białej kobiecie, którą porwała i tak ją sobie upodobała, że nosiła ją w kosmatej dłoni i nie czyniła jej krzywdy. Było również o tragicznym końcu "King - Konga", który upolowany i obezwładniony przez białych ludzi, ulokowany został w jednym z nowojorskich cyrków, z którego - po zerwaniu żelaznych kajdan - wyszedł na ulicę i, wzniecając popłoch w całym mieście, wspinał się na jeden z najwyższych drapaczy chmur i dopiero przy użyciu wojskowego lotnictwa, które w tej akcji straciło stracony przez małpę samolot, udało się ją uśmiercić.

- Szkoda, że tak ucierpiała - odezwały się głosy, gdy skończyłem opowiadanie.

Kolejną tematyką były kryminały; na pierwszym planie oczywiście Sherlock Holmes i przygody Arsena Lupina.

Gdy zdarzyło się, że pewne fragmenty treści wywietrzały mi

z głowy, robiłem "wstawki" według własnej fantazji, ubarwiając je bardziej, aniżeli sam autor.

Sława moich opowiadań urosła do tego stopnia, że zainteresował się nimi - zwykle bardzo powściągliwy i nie wdający się w poufałości z plebsem - sam diadzia Sasza. Musiałem wówczas opowiadać wszystko od początku i tu właśnie nastąpiła "wsypa": Treść nie zawsze była ta sama. Różnice polegały na "wstawkach", które - mimo woli - pomijałem lub przeinaczałem. Uważne i nadzwyczaj wymagające audytorium wychwytywało bezbłędnie te "nieściskości". Zdarzały się wówczas protesty, że skracam lub przeinaczam opowiadanie i pomijam w nim "bardzo istotne" szczegóły...

Jak to często w życiu bywa, o powodzeniu i karierze człowieka decydują nie kwalifikacje, lecz szczęście, a nie rzadko układy. Tak stało się właśnie w moim przypadku: zostałem markirowszczykiem.

Popularność, jaką dały mi opowiadania i życzliwe oko diadi Saszy oraz jego znajomości w URB'e sprawiły, że otrzymałem ten awans.

Pewnego marcowego dnia spakowałem manatki, podziękowałem diadi Saszy i przeniosłem się do brygady lesopowalszczyków.

Brigadirem był człowiek, którego nazwiska nie zapamiętałem. Pamiętam natomiast, że żyło mi się pod jego kierownictwem o wiele gorzej. Pajki były tu, w przeważającej liczbie, niżejśrednich, a praca o wiele cięższa. Moja była sosunkowo lekka; polegała na dokonywaniu pomiarów spiłowanego drzewa oraz jego klasyfikacji. W wolnych chwilach pomagałem w produkcji dziegciu. Oceniany byłem według średniej normy, wypracowanej przez brygadę, która - niestety - była niska, a brigadir bez "polotu" nie potrafił jej stosowanymi powszechnie metodami "dopracować"...

Panujące stosunki były tu również pod każdym względem gorsze. Zdarzały się często kradzieże. Na sali panował bród i nieporządek. Wśród członków załogi brak było jedności i porozumienia, szczególnie potrzebnego w pracy.

Pluskwy, nie niepokojone dezynsekcją zapewne od wielu miesiący były bardziej agresywne. Było ich tu o wiele więcej i kon-



kurencja w zdobywaniu pożywienia zmuszała je do większej aktywności.

Z nadejściem lata pojawiła się w tajdze ponownie plaga krwio-pijczej mészki i komarów. Zdarzały się również przypadki zachorowań na kurzą ślepotę.

Pomimo, iż ciężko nie pracowałem osłabłem i schudłem, i na kolejnym medycznym osmotrze skierowany zostałem ponownie do Ingasza.

Ucieszyła mnie ta decyzja. Spotkanie z Fomą i praca w obozie lub w gospodarstwie rolnym stwarzała lepsze warunki przetrwania.

W Ingaszu spotkałem kilku Polaków. Nie było wśród nich - niestety - Maćka i Zygmunta. Zaprzyjaźniłem się z dwoma z mojej brygady: Ryszardem Dolewskim z Marek koło Warszawy i Józefem Kuźmą z Warszawy.

Ryszard - mój rówieśnik - wysoki, brunet, oczy miał piwne. Był typem Włocha. Życzliwy, koleżeński. Józek, starszy od nas o 20 lat, średniego wzrostu, szatyn oczy miał szare, wyblakłe. Spokojny zrównoważony. Nazwaliśmy go "tata".

Na czwartego na nary dołączył do nas Marian z Sochaczewa. Jego nazwiska - niestety - a także bliższych o nim szczegółów nie zapamiętałem. Nie przyjaźnił się z nami; miał kolegów, z którymi przybył do Ingasza.

Wszyscy trzech Akowcy, skazani z paragrafu 58/8 na dziesięć lat łagru.

O Marianie pozostał mi w pamięci jeden szczegół, o którym - przy jakiejś okazji - sam mi opowiedział. Gdy w więzieniu w Brześciu pytano o dane personalne, podał - spodziewając się zapewne lepszego traktowania - że jest Białorusinem. /Miał na wschodzie Polski jakąś bliższą rodzinę/. Ta nieprzemyślana postawa - jak się w przyszłości okazało - stała się w jego życiu wielką tragedią...

Towarzystwo nowych kolegów Polaków - po rozłące z Maćkiem i Zygmuntem - bardzo poprawiło moje samopoczucie.

Jeszcze tego samego dnia po obiedzie odwiedziłem Fomę. Przywitał mnie jak rodzzonego brata.

Wyglądał o wiele gorzej niż przed rokiem. Był blady. Schudł. Narzekał, że źle się czuje i że ma wciąż stan podgorączkowy. Lekarz orzekł, że ma chore płuca. Jedynym lekarstwem, jakie stosował, były zioła, które dostarczali mu znajomi wolnonajomni spoza obozu.

Zaproponowałem, że będę mu - jak dawniej - pomagał w pracy w mieszkaniu.

Po niedługim czasie powrócił z pracy Duchan. Przywitał mnie również serdecznie.

Zauważyli, że od mojego ostatniego pobytu w Ingaszu bardzo zmizerniałem. Ciekawi byli, jak zniósłem okres przystosowania się do warunków ciężkiej pracy w tajdze i gdzie pracowałem po opuszczeniu Ingasza ?

Opowiedziałem wszystko z najdrobniejszymi szczegółami: o Arturze i Rudolfie, o diadi Saszy, a także o kradzieży krownej pajki i o incydencie worów z sukami.

Stwierdzili, że poczyniłem znaczne postępy w języku rosyjskim. Nie umiałem, niestety, pisać; znałem jedynie niektóre litery. Duchan zaproponował, że napisze rosyjski alfabet i może udzielać mi lekcji. Foma potrafił czytać, ale w pisaniu był bardzo słaby.

Od Duchana otrzymałem niezbędne rekwizyty, to jest deskę i ołówek, a od Fomy "gumkę" w postaci kawałka szkła.

<sup>Początkowo</sup> zatrudniano nas w owoszczniku przy przebieraniu warzyw i jarzyn. W pierwszych dniach sierpnia rozpoczęliśmy pracę poza obozem przy kopaniu kartofli. Podzielono nas na zwena trójkami i ustawiono w szeregu. Należało przekopać około stumetrowej długości dwa rzędy kartofli, a tam przedyszka czyli odpoczynek, a dla bogatych ~~penekur~~ czyli papieros.

Zabraliśmy się zwawo do pracy. Józek podkopywał krzaki łopata, a ja z Ryszardem zbieraliśmy kartofle do drewnianych wiader i odnosiliśmy je na stos, skąd ładowane były na przyczepę i odwożone ciągnikiem do łagru.

Gdy znaleźliśmy się w połowie drogi zauważyliśmy, że większość ~~zwien~~ znacznie nas wyprzedziła, a niektórzy zbliżali się nawet do miejsca ~~penedyszki~~.

- Wy, pany ruszajcie się zwawiej!- ponaglał nas strzełok, oraz tych nielicznych, którzy znaleźli się na końcu .

Gdy obrobiliśmy swój odcinek, czas przedyskusji minął. Rozpoczęliśmy z marszu następny.

- Musimy podpatrzeć jak oni to robią ? - powiedział Józek. Przecież, żeby zbierać kartofle, nie trzeba być agronomem?...

Zbierali tylko te, które leżały na wierzchu; resztę pozostawiali w ziemi.

- Mołodcy Polaki - pochwalił nas strzełok, gdy dostrzegł, że trzymamy się na równi z "przodującymi"...

Przy stosowaniu tej "technologii", więcej niż trzydzieści procent kartofli nie zostało zebranych. Zakładając, że w owoszczniku gniło około 25 procent, więcej niż połowa była marnowana.

Był to jeden z typowych przykładów sowieckiej kolektywnej gospodarki.

Do Ingasza przywieziono, tym razem, wielu słabych i chorych. Połowa nowo przybyłych nie była zdolna do natychmiastowej, nawet najłżejszej, pracy i egzystowała na łagiernym pajku, to jest 500 gramach chleba i bałandzie.

Po obozie wałęsało się wielu w poszukiwaniu czegokolwiek, co można by włożyć do kociołka. Jedni zebrali o resztki z kuchni oferując pracę, drudzy penetrowali śmietniki, inni szukali pokarmu wśród trawy i zielska. Najpopularniejszą była lebioda, która po kilku dniach od przyjazdu naszego transportu wycięta została do ostatniego listka.

Najczęściej spotykanymi tego typu zbieraczami byli Chińczycy. Nieustannie krążyli po śmietniskach i placach, na których rosło trochę badyła lub trawy, a później całymi godzinami trwali przy kipiących na piecu kociołkach. My, pomimo iż cierpieliśmy głód tak jak wszyscy, poprzestawaliśmy na tym co otrzymywaliśmy z chlebożeczki i kuchni.

Wojna dawno się już skończyła, a mimo to ludzie na wolności cierpieli biedę. Czym więc mogła karmić sowiecka władza swoich wrogów ?...

Kursowała po obozie anegdota: Ty czto kuszał na obied ? Od-



powieź brzmiąła : Daj kusoł chleba - skažu...

Od najmłodszych lat mojego życia towarzyszyła mi piosenka. W szkole powszechnej i w gimnazjum moim partnerem, z którym najczęściej śpiewałem był szkolny kolega, syn chorążego z 15 PP w dęblińskiej Twierdzy, Józek Zastawniak. W czasie niemieckiej okupacji, również syn chorążego, mój serdeczny kolega, Jurek Ślusarz. Obaj bardzo muzykalni o przyjemnych głosach.

Zabrzmiąła i tu na oddalonej o wiele tysięcy kilometrów od kraju polska piosenka, a towarzyszył mi tym razem również bardzo muzykalny Rysio Dolewski. "Jak szybko mija życie", "Czerwony pas", "Góralu, czy ci nie żal" i inne zawojowały tutejsze międzynarodowe audytorium, a nas przeniosły choć na chwilę w rodzinne strony...

Był w naszej brygadzie Polak, prawnuk sybiraka zesłanego tu w czasie rozbiorów Polski. Występował w miejscowej kultbrigadzie na scenie obozowego teatrzyku. Śpiewał i grał na gitarze. Pochodził z miasta Harbin na Dalekim Wschodzie. Mieszkało tam wielu Polaków wywiezionych w głąb Rosji jeszcze w dziewiętnastym wieku.

- Wy ładnie śpiewacie - powiedział któregoś dnia, gdy śpiewaliśmy - tym razem - hiszpańską piosenkę "La Paloma". - Może chcielibyście występować w naszym teatrze ?

Zaskoczenie było kompletne..., ale:

- Możemy spróbować - odpowiedziałem śmiało.

- Co ty, Kazik-zaprotestował Ryszard- czy damy radę ?. Przecież nie mamy nut, a ja nigdy nie śpiewałem na scenie ...

- Nie martw się, ja mam nieco scenicznego obycia; a jeżeli nam nie wyjdzie, nie mamy nic do stracenia.

Następnego dnia wezwano nas do KWCz'e/Kulturno - Wospitatel-naja Czast' / czyli do Oddziału Kulturalno - Wychowawczego na przesłuchanie. Przy fortepianie zasiadł mężczyzna w średnim wieku czyniący sympatyczne wrażenie - również więzień - i zapytał, co możemy zaśpiewać ? Nie znał żadnej ze śpiewanych przez nas polskich piosenek. Nie mieliśmy wielkiego wyboru; zaproponowałem, że zaśpiewamy w duecie "La Palomę".

- No dobrze, może być, ale trzeba jeszcze popracować - podsumował, gdy skończyliśmy. - A kto z was śpiewa solo? - zapytał. Wymieniliśmy pomiędzy sobą pytające spojrzenia?...

- Ja nie dam rady - powiedział spoglądając na mnie onieśmielonym wzrokiem Ryszard. Nigdy solo nie śpiewałem. Umieć grać trochę na fortepianie, więc mógłbym akompaniować.

- Ja zaśpiewam solo - odpowiedziałem z pewnością siebie.

- Proszę tylko coś ze znanych melodii - podkreślił egzaminator.

Pomyślałem przez chwilę, i:

- "Toskę" - zaproponowałem. Arię Cavaradossi'ego z trzeciego aktu.

Dostrzegłem w jego oczach cień niedowierzania...

Zachwycała mnie <sup>(zawsze)</sup> aria. Zwróciłem na nią po raz pierwszy uwagę, gdy rodzice kupili płytę z melodiami w wykonaniu Jana Kiepury. Miałem wtedy czternaście lat. Przy nadarzającej się okazji kupiłem nuty w księgarni muzycznej w Warszawie. Płytę przegrywałem często. Melodię poznałem bardzo szybko. Poprawnej wymowy nauczył mnie Robert Feigiel, o którym już wspominałem. Przetłumaczył mi również treść arii.

Egzaminator usiadł ponownie przy fortepianie. Ustaliliśmy tonację. Popłynęły pierwsze takty wstępu. Grał subtelnie, miękko, i :

- E lucevan le stelle... - rozpocząłem piano i równie miękko, a potem nieco silniej: Oh ! dolci baci o languide carezze...

Głos miałem jeszcze wówczas nie wyszkolony, ale natura okazała się dla mnie w tym względzie dość hojna...

Sala teatru była pusta; była bardzo akustyczna. Głos brzmiał donośnie i czysto.

- No nieźle - pochwalił mnie. - Popracujemy z wami. - Powiadomię waszego przyjaciela, kiedy przeprowadzimy próbę.

Prawdziwą radość okazaliśmy dopiero za drzwiami...

Było dla nas jasne, że otrzymamy lepszą odzież, lepszy pajok, a także lżejszą pracę, i tylko na terenie obozu.

dybyśmy gdzieś zdobyli tekst "La Palomy" z Rysiek. Kłopoty nie istniała... Nikt spośród znanych, nie znali tekstu tej piosenki. W pewnym dniu zatrudnionego w masterskiej człowiek, z długą siwą brodą. Ochrzciliśmy go. Powiedzieliśmy mu, że jesteście Polakami. Jego twarz emanowała dobrocią. Był Litwinem. Mówił wspaniałą polszczyznę. Jego język rosyjski. Z tego, co o nim opowiadał, był ministrem finansów Litwy, lub tego ministrem. /Jego nazwiska - niestety - nie

powiedzieliśmy mu o naszym sukcesie w KWCz'e. Przetłumaczył polski tekst "La Palomy" na litewski tak szybko, że nie nadążaliśmy pisać. Oto jego dzieło; jedyny w świecie tekst napisany w takich warunkach:

korabiel rozrzezywaja wał,  
z morze i gołubaja dal,  
wiat i tak pieczalno stoniet.  
Mas etot wicher daleko ugonit ?  
Drugom nas wiet' bełyj swiet,  
t nas uze stolko let.  
Nadziusia nazad ne zelajet.  
Wiat' dalsze prodołzajet...

Tłumaczenie tekstu:

Ku wolności płynie okręt tnąc bałwany.  
Wokół widoczne tylko morze i błękitna dal,  
A wiatr tak szumi i tak smutno jęczy.  
Kto wie, jak nas ten wicher daleko zapędzi ?  
Nam wszystko jedno, wokół nas przecież biały świat  
Wicher morzem goni nas już tyle lat.  
Nikt z nas nie pragnie wracać.  
Niechaj wiatr dalej buszuje...

Wyciągnął tekst całej piosenki, lecz tylko tyle udało mi się zapisać.

W końcu opanowaliśmy w ciągu kilku dni i, gdy zos-  
taliśmy na próbie, "La Paloma" zabrzmiała już  
i my mieliśmy śpiewać w duecie jeszcze jedną  
piosenkę "Góralu, czy ci nie żal". Do nauki otrzy-  
maliśmy od Michała Glinki "Nie iskuszaj mienia  
nie na tenor i baryton."  
W tym czasie mieliśmy okazję poznać całą obsadę teatralnej trupy.



- Dobrze byłoby, gdybyśmy gdzieś zdobyli tekst "La Palomy" po rosyjsku - powiedział Rysiek.

Taka możliwość praktycznie nie istniała... Nikt spośród znajomych, a także Foma i Duchan, nie znali tekstu tej piosenki.

Poznaliśmy któregoś dnia zatrudnionego w masterskiej człowieka, już dobrze po pięćdziesiątce, z długą siwą brodą. Ochrzciliśmy go "Święty Mikołaj". Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy Polakami. Okazał nam wyjątkową życzliwość. Z jego twarzy emanowała dobroć i nieprzeciętna kultura. Był Litwinem. Mówił wspaniałą polszczyzną; znał równie doskonale język rosyjski. Z tego, co o nim opowiadano, był na wolności ministrem finansów Litwy, lub tego ministerstwa wysokim urzędnikiem. /Jego nazwiska - niestety - nie zapamiętałem/.

Następnego dnia opowiedzieliśmy mu o naszym sukcesie w KWCz'e i poprosiliśmy go, aby przetłumaczył polski tekst "La Palomy" na język rosyjski. Tłumaczył tak szybko, że nie nadążaliśmy pisać. Jak gdyby improwizował. Oto jego dzieło; jedyny w świecie tekst "La Palomy" powstały w tak niecodziennych warunkach:

W prostor pływot korabel rozrezy  
Krugom widny lisz morie i gołuba;  
A wietier tak szumit i tak pieczali  
Kto znajet, kak nas etot wichr da:

Nam wsio rawno, krugom nas wiet' b  
Wichr moriem gonit nas uže stolk  
Nikto iz nas wernut'sia nazad ne  
Pust' wietier buszewat' dalsze prodołżajet.

Przetłumaczony został tekst całej piosenki, lecz tylko tyle z jego treści zapamiętałem.

Nową wersję tekstu opanowaliśmy w ciągu kilku dni i, gdy zostaliśmy wezwani na pierwszą próbę, "La Paloma" zabrzmiała już po rosyjsku. Oprócz niej mieliśmy śpiewać w duecie jeszcze jedną piosenkę. Wybraliśmy "Góralu, czy ci nie żal". Do nauki otrzymaliśmy nuty i tekst pieśni Michaiła Glinki "Ne iskuszaj mienia bez nuždy". Piękny duet na tenor i baryton.

Na próbie mieliśmy okazję poznać całą obsadę teatralnej trupy.

Najważniejszą osobą - można by rzec duszą teatru - okazał się nasz egzaminator. Miał lat około czterdziestu. Był średniego wzrostu, szczupły, o śniadej cerze, brunet. Nazwiska nie zapamiętałem. Był administracyjnym kierownikiem grupy, reżyserem, wykonawcą poezji i piosenek oraz licznych monologów. Był profesjonalistą; byłym aktorem jednego z moskiewskich teatrów. Głos miał przeciętny, ale braki nadrabiał dobrym aktorstwem. Pamiętam w jego wykonaniu piękną liryczną piosenkę, skomponowaną w czasie wojny, opiewającą trud i poniewierkę frontowego żołnierza: "... Sołowi, sołowi nie tręwożte sołdat, pust' sołdaty nemnogo pospiat..." /Słowiki, słowiki nie niepokojcie żołnierzy, niechaj żołnierze trochę sobie pośpią/. /Zacytowałem tu jeden z piękniejszych fragmentów tekstu piosenki/. Był z pochodzenia Żydem. Posadzili go z paragrafu KRA za to, że w czasie jakiegoś spektaklu powiedział coś niestosownego o sowieckiej władzy. Prezentowane obecnie przez niego dowcipy i humorystyczne monologi ośmieszały - na wszelki wypadek - wyłącznie Niemców i wrogów komunistycznego systemu.

Nauczył mnie rosyjskiego tekstu do amerykańskiej bardzo modnej również w Polsce w latach trzydziestych melodii "Mała miss", która, w jego wersji, nosiła tytuł: "Baron von der Pszik". Oto fragmenty jej treści, które zapamiętałem:

Baron von der Pszik pokuszał' ruszkij szpik  
dawno użę sobirałsia i męczył.

Baron von der Pszik..... przywyk,  
zaranie o podwignach kriczał.

Orał po radio, czto w Stalingradie on,  
kak na paradie on i jest' on szpik.  
Czto jest' on i piot, czto szpik podajot  
- pod kliukwoj rozwesistoj?! - muzyk .

Oto tłumaczenie tekstu:

Baron von der Pszik pojeść /sobie/ rosyjskiego boczku  
zbierał się już dawno i/o tym/marzył.

Baron von der Pszik..... przywykł,  
Przedwcześnie krzyczał o sukcesach.

Wrzeszczał w radiu, że/jest/on w Stalingradzie,  
jak na paradzie on i je on boczek.

Że je on i pije, że chłop podaje boczek

- co za niestworzona bzdura ?!

Piosenkę tę miałem zaśpiewać solo.<sup>3</sup>

Występował także kłown - profesjonalista z moskiewskiego lub leningradzkiego cyrku. Popisywał się cyrkowymi sztuczkami, dowcipami i żonglerką. Był sympatyczny i wesoły, również poza sceną. Następnym był - także w jakimś sensie zawodowiec - śpiewak cerkiewny. Okaz rzadki w tym kraju, w którym religia była niemilosiernie zwalczana. Wspaniały głos, typowy basso profundo. W repertuarze miał wyłącznie rosyjskie i ukraińskie melodie ludowe. Na scenie stał bez ruchu, jak pomnik; patrzył na wprost. Żył na szyi napinały mu się jak struny. Gdy go słuchałem skóra mi cierpła, a włosy jeżyły się jak naelektryzowane. Głos miał tak potężny, że słychać go było poza ścianami teatru. Nie zapomnę jego wykonania melodii "Ej uchniem !" Prawdziwa uczta... Brawa otrzymywał nie tylko z widowni, ale od nas wszystkich za kulisami. Był przy tym skromnym i dobrym człowiekiem. Nasz znajomy z brygady piosenkarz i gitarzysta wykonywał prawie wyłącznie romanse starorosyjskie - najczęściej Aleksandra Wertyńskiego - a także grał solo na gitarze. Śpiewał z dużym wdziękiem. Grę miał opanowaną w sposób mistrzowski. Listę zamykał kilkunastoosobowy chór. Śpiewał piosenki ludowe i wojskowe. Podobały mi się w jego wykonaniu szczególnie trzy bardzo przyjemne piosenki: "Kalinka", "W pole bierozienka stojąca" i "Kołakolczik".

Próby odbywaliśmy jeden raz w tygodniu. Repertuar, po kilku próbach, opanowaliśmy na tyle, że w każdej chwili mogliśmy zaprezentować go na przedstawieniu.

Pierwszy występ, z udziałem publiczności - w większości dla ludzi spoza obozu - miał się odbyć w dniu 7 listopada w 29 rocznicę Rewolucji Październikowej. Na tę okazję reżyser przygotował również sztukę pod tytułem : "Sumażędszyj aerodrom" czyli "Zwariowane lotnisko", w której zaproponowano mi jedną z podrzędnych ról. W czasie trzyaktowego spektaklu wychodziłem dwa razy na scenę i mówiłem kilka krótkich zdań. Miałem początkowo



trochę tremy. Ta forma scenicznego występu była dla mnie czymś nowym.

Po kilku dniach wezwano nas wszystkich "artystów" do magazynu z odzieżą i wymieniono nam ubrania na "nowe". Były mocno używane i połatanne, ale łąaty były dobrane w kolorze i przyszyte starannie. Wszystkie części garderoby - pod względem fasonu i koloru - stanowiły jednolitą całość. Otrzymaliśmy również bieliznę/!/& po raz pierwszy od dnia aresztowania, a także w zupełnie niezłym stanie czapki uszatki, i również używane lecz niewiele zniszczone kamasje.

Przykro nam było i jakoś nieswojo wobec Józka. Pozostał - niestety - przy swoich starych i mocno zniszczonych łachmanach.

- Co wy się o mnie martwicie - powiedział, gdy waraziliśmy z tego powodu ubolewanie. Dobrze, że chociaż wy poprawicie nieco swój byt; jesteście jeszcze młodzi...

- Postawa twoja jest godna pochwały - powiedziałem - i tym baráziej jest nam przykro, że nie możemy ci pomóc.

Pracę z Ryszardem mieliśmy lżejszą i nie normowaną. Zatrudniano nas w masteńskoj, na kuchni i przy porządkowaniu obozu. Otrzymywaliśmy pajok, jak za średnio wykonaną normę, po 650 gramów chleba dziennie, na obiad zupę i jeden czerpaczek kaszy.

Fomę i Duchana odwiedzałem jeden raz w tygodniu aby posprzątać mieszkanie i odbyć lekcję pisania. Gdy poznałem wszystkie litery, Duchan urządzał mi dyktanda i poprawiał błędy.

Z moim pisaniem było już na tyle dobrze, że odważyłem się napisać kartę do rodziców. Tym razem - za sprawą Fomy i Duchana - wszystko odbyło się bezpłatnie. Niestety, tej karty rodzice nie otrzymali.

W pierwszych dniach listopada odbyły się generalne próby obydwu spektakli, a 7 listopada grane były kolejno dwa przedstawienia. Przebywałem trzy godziny za kulisami, w tym jedynie kilkanaście minut na scenie.

Przedstawienia grane były następnie przez kilka kolejnych dni. W pierwszym dniu wyłącznie dla ochryi jej rodzin, ludzi wol-

nych spoza obozu i obozowej administracji, a w dniach następnym dla obozowego plebsu.

"Zwariowane lotnisko" - choć tu cieszyło się dużym powodzeniem było spektaklem słabym, ale występy estradowe znalazłyby niewątpliwie uznanie nawet w naszych miastach wojewódzkich.

Józek obejrzał - po błatu - obydwie przedstawienia kilkakrotnie i wyraził o naszym w nich udziale - jak twierdził, nie tylko przez kurtuazję - bardzo pozytywną opinię. Również Fomie i Duchanowi, nasze występy bardzo się podobały.

Gdy któregoś dnia wybraliśmy się wszyscy na spacer po obozie, podszedł do nas w pewnej chwili młody człowiek i mocno łamanym językiem rosyjskim zapytał, czy jesteśmy Rosjanami ?

- Nie - odpowiedziałem - Polakami.

Nie bardzo zrozumiał - jak zauważyłem po jego minie - ale sam się przedstawił i powiedział:

- Ja Amerykaniec.

- J am Polish - przedstawiłem się również.

Uśmiechnął się.

Z języka angielskiego znałem zaledwie kilkadziesiąt słówek i tyleż zwrotów typu: J go home, lecz niektóre słowa rozumiałem przez podobieństwo do niemieckiego i łaciny. Z zastosowaniem trójjęzycznego "esperanto" /język niemiecki znał on bardzo słabo/ udało mi się przeprowadzić rozmowę, z której dowiedzieliśmy się, że mamy do czynienia z agentem amerykańskiej służby wywiadowczej.

Po zajęciu Wiednia w kwietniu 1945 roku przez armię radziecką został on - jak twierdził - przez radziecki wywiad aresztowany i wywieziony na Syberię. Na nic się zdały jego żądania skontaktowania go z Ambasadą USA we Wiedniu, protesty i prośby, a także powoływanie na łączącą jeszcze wówczas narody Ameryki i Związku Radzieckiego przyjaźń w walce przeciw wspólnemu wrogowi. Jego ponowne usiłowania - gdy znalazł się już na terytorium ZSRR - skontaktowania go ambasadą USA w Moskwie również nie dały rezultatu. NKWD zabiegało bardzo skutecznie o jego absolutną izolację.

Nazwisko jego: Jim Fabian.

Rysów jego twarzy dokładnie nie pamiętam. Był dość wysoki i, wydaje mi się, że był blondynem o niebieskich oczach.

Nie miał już wówczas na sobie śladu własnego ubrania. Odziany był w waciaki.

Spotkaliśmy go jeszcze któregoś dnia i zamieniliśmy z nim kilka słów, ale wypadki tak się potoczyły, że było to wówczas nasze spotkanie ostatnie.

Był koniec listopada. Minęło cztery miesiące naszego pobytu w Ingaszu. W obozie zjawiał się pokupatlel; prowadził nabór "odrestaurowanych" do pracy w tajdze. Duchanowi udało się jeszcze w URB'e odłożyć mój udział w medycznym osmotrze, pomimo iż go w ogóle o to nie prosiłem. Ryszard i Józek zostali wezwani na badania. Wyniki miały być ogłoszone w ciągu dwóch dni. Józek nie okazał się dla nich atrakcyjny, natomiast Ryszard został zakwalifikowany na wyjazd. Spakował manatki i poszedł do klubu.

Pobiegłem do Fomy, a z nim do Duchana.

- Proszę pomóżcie; ratujcie go!...

Robił słabe nadzieje. Byłoby łatwiej przed badaniem lekarskim, albo natychmiast po jego zakończeniu. Obiecał jednak, że uczyni co się da. Czekaliśmy w napięciu stojąc przed barakiem URB'e. Wreszcie pojawił się uśmiechnięty w drzwiach biura i, wraz z jakimś czynownikiem, udał się w kierunku klubu. Podążaliśmy za nimi krok w krok.

- Dalewskij zdes' ? - zawołał donośnym i urzędowym głosem czynownik.

Poszeptał coś na ucho wartownikowi i...

Radości nie było końca, gdy Ryszard opuszczał klub. Padliśmy sobie w objęcia, jak byśmy nie widzieli się kilka lat.

Aniele Boży, Strózu mój...- i znów mi dopomogłeś!/!

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Był opłatek z kawałka ususzonego chleba, mała choineczka ubrana wata, szmatkami, szyszkami i drewnianymi figurkami. Były także kolendy wykonywane, tym razem, z udziałem "profesjonalistów".

Przypomnieliśmy sobie, jak to bywało na wolności w gronie naszych najbliższych...Pomimo iż trwała okupacja, święta obchodziliśmy tak uroczyście jak przed wojną.

Ty wiesz - powiedział w pewnej chwili zwracając się do



Ryszarda Józek - mam w kraju 17 - letnią córkę, na imię ma Teresa. Nie wypada ojcu chwalić własnego dziecka, ale to dobra i ładna dziewczyna...

- A ja piszę się na pierwszego družbę - dodałem, podsumowując temat.

- Akceptujemy ! - krzyknęli obaj.

Na weselu byłem i wino piłem...

Nasz pobyt w Ingaszu nie trwał długo. Nie pomogły, już tym razem, znajomości. Dwa dni przed końcem roku zostaliśmy odesłani w tajgę; co gorsze, każdy z nas do innego obozu.

Zostałem przydzielony do pogruzoicznej brigady. Brigadirem był dwudziestokilkuletni Rosjanin nazwiskiem Masłow. Odsiadywał wyrok za przestępstwo kryminalne. W łagrach przebywał już kilka lat, lecz nie widać tego było po nim zupełnie. Wysoki mocno zbudowany, dość tęgi, puciołowaty na twarzy, nos miał krótki czerwony, jak u nałogowego alkoholika. W kontakcie z podkomendnymi "prawdziwy komandir".

- Jesteś Polakiem ? No dobrze, popracujemy z tobą - powiedział uśmiechając się ironicznie.

31 grudnia nie wyszedłem do pracy, załatwiałem formalności w URB'e. Dzień Nowego 1947 Roku był wolny. Na obiad była nieco lepsza bełtuga i dodatkowy czerpaczek kaszy.

Obóz był dla mnie nowy /nazwy nie zapamiętałem/; znalazłem się w nim po raz pierwszy. Nie różnił się jednak w niczym szczególnym od pozostałych.

Moim naparnikiem na narach został Wasia Szatilow, Rosjanin, leningradzki taksówkarz. Miał lat około czterdziestu. Wysoki, krępej budowy. Na całym ciele miał liczne - dość artystycznie wykonane - tatuaże. Odsiadywał 15 - letni wyrok za jakieś przestępstwo pospolite. W sposobie bycia: "warszawski cwaniak z Powiśla". Inteligentny i dowcipny. Okazał się dobrym i sympatycznym czło-wiekiem.

Brygada nie pracowała tak jak wszystkie pozostałe od rana do wieczora lecz wówczas, gdy podstawiono wagony; również w nocy,

dni wolne od pracy i niezależnie od temperatury. /Pozostałe brygady nie wychodziły do pracy, gdy temperatura spadała powyżej minus 40<sup>o</sup> C/. Gdy zjawił się dęsiatnik i słowami: brigada na robotu ! poderwał wszystkich na nogi, w ciągu pięciu minut musieliśmy być gotowi do wyjścia.

Po raz pierwszy wezwana została do załadunku wagonów 2 stycznia po południu. Mróz tego dnia był silny - 40<sup>o</sup> C poniżej zera.

Za bramą pobraliśmy narzędzia, w tym - podstawowy rekwizyt gruzczika - wirowki czyli liny oraz drut i - po sakramentalnym: Brigada, wnimanije!.... - w ruszyliśmy w drogę. Po godzinnym marszu dotarliśmy na miejsce.

Wzdłuż toru kolejowego ustawionych było kilkanaście sztabli z bałanów ułożonych na przekładkach wieloma warstwami. Sztable sięgały niekiedy do wysokości dwóch metrów. Usytuowane były równoległe do toru.

Drewno ładowane było na wagony - platformy. Sposób załadunku był następujący: pod pierwszą warstwę bałanów na sztablu i nad warstwą na wagonie układało się dwa pokaty - żerdzie, po których bałany wtaczane były na wagon. Każda warstwa oddzielona była poprzecznie podłożonymi przekładkami. Ładowanie odbywało się przy pomocy lin, które ciągnęli wirowszcziki czyli linowi stojący po przeciwnej, od sztabla, stronie wagonu. Zakładaniem pętli na bałany i ich podtaczaniem na sztablu zajmowali się podkaczkiki. Najbardziej odpowiedzialną, męczącą i niebezpieczną była praca dwóch wagonszczików czyli wagonowych operujących na platformie wagonu, od których zależał szybki, prawidłowy i bezpieczny załadunek. /Zdarzały się przypadki rozsypywania się nieprawidłowo ułożonego drewna, co stanowiło największe niebezpieczeństwo dla ludzi, którzy przebywali w zasięgu powstałej awarii/. Trzeba było być dobrym fachowcem i mieć niezłe oko, by ułożyć równo - przy niejednakowej średnicy- kilka lub kilkanaście warstw bałanów, aby nie rozsypały się w forsownym, dla tego rodzaju ładunku, transporcie kolejowym.

-Oba! - raz, oba ! - raz <sup>✓</sup>padła komenda, a w przypadku, gdy

bałan wtaczał się nierównomiernie: tiani nasza !, puskał wasza!  
lub: juzi nasza! lub wasza !, którą pracujący na wagonie wagon-  
szcziki regulowali operację załadunku. Narzucane przez  
nich tempo było tak szybkie, że pomimo wielkiego mrozu,

pracowaliśmy bez buszłatów jedynie w telnogrejkach, najczęściej  
rozpiętych do ostatniego guzika. Wygonszcziki pracowali niekiedy  
w majce czyli podkoszulku. Nad ich grzbietami unosiły się kłęby  
pary.

W celu zapewnienia ładunkowi odpowiedniej sztywności doko-  
nywało się tak zwanej obsziwki. Po obu stronach wagonu zatykane  
były pionowo dwie lub trzy żerdzie, które związywało się u góry  
i mocno ściągało kilkumilimetrowej średnicy drutem.

Zbędna tu była - mobilizująca we wszystkich innych przypad-  
kach - jakakolwiek zachęta do szybkiej pracy. Jedynym i najsku-  
teczniej oddziaływującym stymulatorem były znane i wciąż powta-  
rzane przed przystąpieniem do załadunku słowa: - Załadujemy wagony -  
pójdziemy do domu!

W przypadku, gdy wagonów było dużo, pracowaliśmy niekiedy po  
kilkanaście godzin na zmianę w celu - jak nam tłumaczono - unik-  
nięcia karnej opłaty za przetrzymywanie pociągu tak zwanego osio-  
wego.

W tego dnia /  
Gdy skończyliśmy załadunek zaczął zapadać zmrok. Zapalono  
reflektory rozmieszczone tu dość gęsto na słupach przy torze.  
Dawały tyle światła, że widno było jak w dzień.

Po załadowaniu wagonu odpoczywaliśmy zazwyczaj 15 minut przy  
ognisku. Suszyliśmy przy nim nasiąknięte potem ubrania.

Zbliżała się północ, gdy dotarliśmy do łagru. Byłem bardzo  
zmęczony. Zdjąłem buszłat, czapkę i ległem na narach,  
aby choć trochę odpocząć. Usnąłem szybko i spałem tak twardo, że  
obudził mnie dopiero nad ranem Wasia, gdy dniewalnyj rozdawał chleb.

Gdy nasza brygada wychodziła do kuchni po bałandę, ostatnie  
brygady udające się w tajgę na dzienną zmianę opuszczały łagier.

Wypiłem zupę, zjadłem całą pajkę chleba i ległem ponownie  
na narach. Obudziłem się dopiero na obiad.

-Chory jesteś, czy co ?... - zapytał mnie zdziwiony moim za-



chowaniem Wasia.

- Nie, tylko bardzo jestem zmęczony.

Wasia opowiedział mi, jak wplątał się w złodziejską aferę w porcie. Zaproponowali mu przewiezienie jakiegoś "towaru" - tylko jeden raz - za dobrą zapłatą. Sprawa była prosta a zarobek niezły. Człowiek jak człowiek, zawsze mu mało... Umówił się na następny raz. Po kilku kolejnych sprawa się wydała. W 1940 roku członków gangu aresztowali, i jego również, choć on sam niczego nie ukraść /?/ Przysądzili 15 lat. Ma żonę i syna w moim wieku. Żona przez pierwsze dwa lata listy pisała i paczki przysyłała, ale od pięciu lat milczy...

Na pewno znalazła sobie jakiegoś gacha. O to nie ma do niej żalu, bo on i tak nie dożyje do końca wyroku i do domu nie wróci, ale paczki mogłaby przysyłać. Miała z nim całkiem niezłe...

Opowiedziałem mu również o sobie: o tym jak żyłem przed wojną, o niemieckiej okupacji w Polsce, o partyzantce, jeńcach radeckich i o aresztowaniu.

- Posidysz, uznajesz jak swobodu liubit' - podsumował moje opowiadanie Wasia. - A jeśli już mówić o siedzeniu - dodał, uśmiechając się - to nasze społeczeństwo dzieli się na <sup>trzy grupy: tych</sup> /którzy się - dzieli, siedzą i będą siedzieli.

Zjedliśmy obiad. Minęło już czternaście godzin od powrotu z pogruzki i nikt nas nie niepokoił. Zjedliśmy kolację i w dalszym ciągu cisza. Po północy, gdy usnęliśmy już na dobre, słowami: - Podjom ! Подымайтес' на работу! - wyrwani zostaliśmy ze swych barłogów.

Ładowaliśmy w tym samym miejscu, co ostatnio, lecz tym razem na każde zweno przypało po trzy wagony.

- "Na dwóch norma, odna platforma" - zacytował popularną pogaworkę Wasia, kwitując przekazaną nam niezbyt dobrą wiadomość.

W brygadzie byłem nowicjuszem; pracowałem więc wyłącznie na wirowce. Sasza pracował również na sztablu. Praca na wirowce była monotonna i bardzo wyczerpująca.

Na lesopowale pracowało się parami. Gdy ktoś był bardzo zmęczony mógł sobie przez chwilę odpocząć. Tu praca była kolektywna. Przerwę zarządzano najczęściej dopiero po załadowaniu wagonu.

Czułem niekiedy tak wielkie osłabienie, że nie byłem w stanie uczciwie ciągnąć liny. Markowałem wówczas przechwytyjąc ją jedynie jałowym ruchem. Rzadkie były przypadki czynienia sobie wzajemnie przez współtowarzyszy z tego powodu uwag. Taki kryzys zdarzał się każdemu. Gorzej było, gdy dostrzegł to Masłow. Nie przebierał w środkach; uciekał się nawet do bicia. Postępowaniem nie różnił się w niczym od okupacyjnego obozowego kapo.

Wyżywienie w brygadzie było słabe. Masłow zbyt nie o nie nie troszczył. Troszczył się bardziej aby ze swych podopiecznych wycisnąć maksimum wysiłku. Wyróżniani byli jedynie wagonszcziki. Wykonywali rzeczywiście najcięższą pracę. Niewielka liczba otrzymywała wyżywienie na średnim poziomie. Więcej, niż połowa - niestety - musiała zadowolić się porcją najniższą. Nie wróżyło to brygadzie dłuższej egzystencji.

Po raz kolejny przeżywałem systematyczny - lecz tym razem znacznie szybszy, niż kiedykolwiek - proces osłabiania mego organizmu i spadku ciała na wadze.

Pewnego dnia nadarzyła się - spadająca jak z nieba - okazja urzędzenia sobie "uczty obżarstwa". Gdy przy końcu stycznia któregoś późnego wieczora zostaliśmy wezwani na pogruzkę i, maszerując wzdłuż toru kolejowego, zbliżaliśmy się do miejsca pracy, na przodzie brygady zawrzało. Podeszedłem bliżej. W świetle reflektorów, których promienie sięgały dość daleko poza sztable, dostrzegłem leżącego przy torze martwego konia. Był to mały syberyjski konik jakiego używali izwozczyki do wywlekania bałanów z miejsca powału i dowożenia ich do leźniowki, a także do transportu wózków po leźniowce na sztable. Wyglądało na to, że został najechany przez pociąg.

Zaświstały topory. Zamarznięte na kość ciało konika rozpadało się na kawałki. Ci, którzy już się zaopatrzyli przekazywali topory następnym. W ciągu kilkunastu minut na miejscu końskiej tragedii pozostał tylko łeb, części nóg poniżej kolan i ogon.

Mnie przypadł w udziale kawał boku z żebrami i spora część wątroby. Nie miałem gdzie tego włożyć. Bok chwyciłem pod pachę, wątrobę wtłoczyłem do rękawic.

Masłow zachował tu wyjątkową wyrozumiałość tym bardziej, że jeden z członków brygady odrąbał i wręczył mu kawał końskiego udźca. Konwojenci ochry również nie przeszkadzali.

Każde zwieno otrzymało do załadowania po dwa wagony. Praca postępowała wyjątkowo szybko i sprawnie. Można się było spodziewać, że jeżeli nie pojawią się nieprzewidziane trudności, załadunek zakończymy w ciągu sześciu godzin.

Oczyma wyobraźni widziałem już stojący na rozżarzonej płycie pieca kociołek z parującymi apetycznie przysmakami.

Z pocięciem wątroby nie miałem większego kłopotu; gorzej było z żeberkami. /Posiadanie noża było w obozie surowo zakazane/. Przy użyciu kawałka szkła udało się - choć z wielkim wysiłkiem - i tę trudność pokonać.

Choć do łagru powróciliśmy około piątej nad ranem, po całej nieprzespanej nocy i wyjątkowo forsownym wysiłku, nikt nie myślał o spaniu. Wszystkie kociołki jakie były w brygadzie, pokryły szczelnie płytę pieca. Wydobywające się z nich kłęby pary nasycały powietrze drażniącym nozdrza niecodziennym zapachem.

Stałem przy piecu i nie spuszczałem oka z kociołka. Po kilkunastu minutach, gdy mięso się już nieco pogotowało, wyciągnąłem kawałek wątroby. Kruszyła się w ustach; wydała mi się najsmaczniejszym mięsem ze wszystkich jakiegokolwiek jadłem. Spróbowałem kawałek boku. Był twardy, ale kęs dobrze przeżułem i połknąłem z równym apetytem. Potem były następne i następne...

- Zjem tylko trochę - obiecywałem sobie - a potem, niech się gotuje nawet kilka godzin.

To "trochę" skończyło się, gdy z półtoralitrowego kociołka zniknęła połowa jego zawartości. Brzuch zaczął mi raptownie pęcznieć jakby ktoś pompował we mnie powietrze. Zacząłem odczuwać mdłości. Oddech miałem krótki. Brakło tchu. Położyłem się na narach i nie wiedziałem co począć ?...

Zauważył to Wasia. Domyślił się...



- Idziemy na dwór - powiedział - i, chwyciwszy mnie za rękę pomógł wstać z nar. - Palce w usta ! - rozkazał, gdy znaleźliśmy się za barakiem.

Kto wie, jak skończyłaby się dla mnie ta "uczta", gdyby nie interwencja Wasi?...

Oslabienie zaczęło powoli ustępować; powracał normalny oddech.

Do mięsa, które się w końcu - już pod nadzorem Wasi - ugotowało, poczułem taki wstręt, że . . . przehandlowałem je na dwie 500 - gramowe pajki chleba.

Wasia nie odczuł większych zaburzeń. Do jedzenia zabrał się dopiero wówczas, gdy mięso było zupełnie miękkie. Podzielił je na kilka porcji i wzbogacał nim sobie kolejne posiłki.

Przez kilkanaście marcowych dni zatrudniano nas - doraźnie - w lesopilnym zawodzie czyli tartaku do układania w sztable i załadunku na wagony podkładów kolejowych i desek.

Po raz pierwszy spotkałem się tu z widokiem pracujących w łagrze kobiet. Wykonywały wszystkie najcięższe prace na równi z mężczyznami.

Pamiętam w kraju - nawet w rolnictwie, gdzie podział na pracę ciężką i lekką był niekiedy trudny - przypadek konnej orki i ręcznej młocki wykonywanej przez kobietę należał do rzadkości.

W kraju "społecznej sprawiedliwości" podział taki byłby przejawem dyskryminacji płci, która - bądź co bądź - w przytłaczającej większości wywalczyła panujący obecnie system i teraz jak najbardziej "słusznie" zbierała jego funkcjonowania owoce.

Żał mi było tych biedaczek harujących jak woły, których kobiecość i wdzięk, ceniona i eksponowana na całym świecie, zakonspirowana tu została nadzwyczaj skutecznie w waciatych łachmanach i walonkach podszytych gumową podszewką z samochodowej opony /!/  
Chodziły słuchy, że co ładniejsze i młodsze zmuszane były przez znaczące w obozie "lica" do nierządu; inne natomiast same zabiegały o potomstwo, aby w czasie ciąży wykonywać lżejszą pracę. Urodzone dzieci były matkom odbierane i lokowane w specjalnych obozach. Matki - gdy wychodziły na wolność - nie zawsze je odnajdywały.\*

Kilkanaście dni pracy w tartaku odczułem mocno w krzyżach i kończynach. W większości przypadków polegała ona na ręcznym dźwiganiu ciężarów.

Któregoś dnia Masłow wyznaczył Wasię i mnie do układania podkładów kolejowych na sztabel. Przy podnoszeniu kolejnego podkładu na dużą wysokość poczułem nagle silny ból w kregosłupie. Upuściłem podkład zanim trafił na swoje miejsce. Cudem uniknęliśmy obaj dodatkowego nieszczęścia połamania nóg. Ból nie ustępował i był tak silny, że nie byłem w stanie ~~wykonywać dotychczasowej pracy.~~ Na zgodę Masłowa przeniesienia mnie do innej nie mogłem liczyć. Tylko dzięki wstawiennictwu Wasi zamieniłem się z kolegą, który odbierał deski z tartacznej maszyny. Na tym stanowisku dotrwałem, z trudem, do końca zmiany.

Ból odczuwałem jeszcze przez wiele dni, lecz gdy nazajutrz po doznanym urazie, brygada powróciła do swego podstawowego zajęcia, którym był załadunek wagonów ze sztabli, praca przy wirowce pozwoliła mi na podleczenie kontuzji.

Pamiętam, gdy pewnego dnia po załadowaniu ostatniego wagonu zbieraliśmy się do wymarszu do łagru, Wasia wytaszczył z dogasającego ogniska osmolony kawał drewna i wypisał nim na bocznej ścianie wagonu "własną interpretację" nazwy radzieckiego państwa: **/Sojuz Sowietkich Socialistycznych R<sup>ep</sup>ublik/** czyli **SSSR**, która brzmiała: **S m i e r t ' S t a l i n a S p a s i o t R o - s s i j u ! /Śmierć Stalina Uratuje Rosję!**

Wasia znany był w obozie ze swych niezależnych poglądów i podobnych wypowiedzi. Gdy go straszono zwiększeniem kary, miał zwyczaj mawiać: - Niechaj zwiększają; ja i tego co dali nie przeżyję.

Ile trzeba było mieć desperackiej odwagi, aby w czasie gdy żył i rządził niepodzielnie generalissimus, okazać mu publicznie swoją nienawiść /!/ Dziś zdajemy sobie z tego sprawę jak pro-rocze były słowa Wasi i w jak najprawdziwszy sposób wyrażały pragnienie wielu milionów uciemięzonego sowieckiego, i niesowieckiego społeczeństwa.

Na początku drugiej połowy marca, to jest po tygodniu od za-

kończenia pracy w tartaku, Masłow przeniósł mnie na sztabel. Praca ta wymagała wyjątkowo dobrej kondycji. Trzeba się było nabiegać z wirowką, popychać wciągane na wagon niekiedy z dużą szybkością bałany, a także przestawiać pokaty. Kosztem wielkiego wysiłku - przy trwającym wciąż jeszcze, choć już znacznie mniejszym, bólu kręgosłupa - starałem się dotrzymać kroku mojemu naparnikowi pracującemu po drugiej stronie sztabla.

Pewnego dnia, przy końcu ładowania ostatniego wagonu tak osłabłem, że nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Oparłem się o sztabel. Ładowanie zostało przerwane. Dostrzegł to Masłow. Podbiegł do mnie zdenerwowany; coś wykrzykiwał?... Nie widząc z mojej strony reakcji, chwycił kawał leżącego w pobliżu drewna i zadał mi silny cios w głowę. Osunąłem się na ziemię; połową ciała upadłem na szynę toru kolejowego. Straciłem przytomność. Dalszy bieg wydarzeń poznałem z relacji Wasi, dopiero w obozie.

Masłow pozostawił mnie leżącego, a na moje miejsce wyznaczył zastępcę.

Leżałem bez ruchu. Nikt nie przejawiał moim stanem najmniejszego zainteresowania; jak sądzę również dlatego, aby nie narażać się Masłowowi. /Wasia pracował wówczas przy innym wagonie/.

Gdy załadunek został zakończony, wszyscy poszli do ogniska. /Panował tu zwyczaj, że brygady mogły wyruszyć do obozu, gdy - po skończonej pracy - wagony zostały wyekspediowane, a nasza obecność sprawdzona/.

Gdy leżałem na szynie usłyszałem nagle odgłos kół, który z każdą chwilą przybierał na sile. Nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca. Nadjeżdżał parowóz; pchał wagony przed sobą. Na stopniach pierwszego stał kolejarz kierujący ruchem pociągu. Zauważył mnie. Zeskoczył ze stopnia i silnym szarpnięciem zerwał mnie z szyny. /Na sygnał dla maszynisty, aby pociąg zatrzymał, było już za późno/ Wezwał kolegów z brygady. Zaczęli mną potrząsać i nacierać twarz śniegiem. Odzyskałem nieco świadomości, lecz nie byłem w stanie podnieść się o własnych siłach. Do obozu dobrnąłem z pomocą Wasi i innych kolegów.

Położyli mnie na narach. Wasia odebrał z kuchni moją zupę



i chleb od dmewalnego.

- Idziemy do szpitala - zdecydował, gdy zauważył, że stan mój się nie poprawia.

Naczelnym lekarzem - jedynym z wyższym medycznym wykształceniem - była kobieta, z pochodzenia Finka. Człowiek i lekarz o wysokim morale. Ze względu na wyjątkową etykę, jaką przejawiała w trosce o zdrowie chorych, ochrzczono ją tu imieniem czczonego w Związku Radzieckim humanisty i pedagoga "Makarenka". Dostała się w ręce czerwonooarmejców w czasie wojny sowiecko - fińskiej w 1940 roku.

Widząc, w jakim jestem stanie, jak również po tym co opowiedział jej Wasia, postanowiła zatrzymać mnie w szpitalu.

Wasia przyniósł z baraku moje łachmany, a także pajkę chleba i kociołek z zimną już zupą. Nie miałem ochoty na jedzenie.

Po pewnym czasie powróciła Makarenka. Obejrzała jeszcze raz moją głowę i orzekła, że nic mi nie grozi i że od znacznie gorszego w skutkach urazu uratowała mnie zimowa czapka. Oświadczyła również, że mój stan nie wymaga specjalnego leczenia. Istnieje jednak potrzeba kilkudniowego wypoczynku.

Czekał mnie więc za kilka dni powrót do brygady/!/...

- Szkoda, Aniele Boży, Strózu mój, że mnie uratowałeś /!/...

Z kolacji zrezygnowałem. Świadomość tego, co mnie spotkało, odbierała mi chęć do życia.

Noc miałem niespokojną; często się budziłem...

Rano Makarenka podeszła do mnie i z wyrazem najwyższej troskliwości, jaką mogą okazać choremu jedynie jego najbliżsi, zapytała, jak się czuję ?

Wiedziała, że jestem Polakiem. Powiedział jej o tym Wasia. Wiedziała również - jako lekarz - że doznałem silnego urazu i przeżyłem szok. Prowadząc rozmowę usiłowała poprawić mój stan psychiczny, który - w mojej sytuacji - był dla mnie większą chorobą, aniżeli skutek ciosu Masłowa. Poświęciła mi więcej czasu, aniżeli pozostałym chorym. Wypytywała o szczegóły z mojego życia na wolności, o rodziców, o szkołę; jedynie o to, co wydarzyło się w moim życiu przed aresztowaniem. Była wspaniałym psychologiem.

Wiedziała, że tylko wspomnienia z tamtego okresu mogą mi wrócić równowagę.

Z zachowania jej emanował spokój i anielska dobroć. Wszyscy chorzy po prostu ją uwielbiali. W szpitalu była obecna w dzień i w nocy. Trudno się było domyśleć, kiedy odpoczywała ?

Mogę teraz po tylu latach stwierdzić, że /nie obraźcie się czytający te słowa Lekarze/ nie spotkałem innego, równie troskliwego i o tak anielskiej dobroci lekarza.

Z wielką pasją i poświęceniem leczyła - w trudnych obozowych warunkach - tych, dla których istniała szansa przywrócenia im zdrowia oraz łagodziła - trzymając za rękę i gładząc wynędzniałą i szorstką twarz - cierpienia tych, dla których szansy takiej nie było. Słowa Hipokratesa - do potęgi - w jej wyjątkowo trudnej misji, gdy sama podlegała łagiernym rygorom, były jej na - czelnym w życiu drogowskazem.

Miała lat trzydzieści kilka. Była niewysoka, szczupła, drobnej kości, lecz zbudowana proporcjonalnie. Była bardzo zgrabna. Włosy miała blond, oczy w najpiękniejszym dla mnie kolorze lekko rozwodnionego błękitu. Była wciąż uśmiechnięta, zarówno wtedy, gdy coś mówiła, jak i wówczas, gdy tylko patrzyła. Na chorych wpływała kojąco samą swą obecnością na sali. Nosiała normalne europejskie stroje: sukienki lub spódnice i bluzki. W szpitalu, oczywiście, biały mocno podniszczony, ale wciąż świeżej czystości lekarski fartuch. W pomieszczeniach szpitalnych - jak na obozowe możliwości - utrzymywała wzorową czystość. U personelu - pomimo jej łagodnego usposobienia - cieszyła się niewymuszonym autorytetem. Takim również autorytetem obdarzali ją wszyscy wolni, w tym także naczelstwo łagru i służba ochry. Choć mieli własnego lekarza, garnęli się do niej na wizyty ceniąc jej wysoką lekarską wiedzę i troskę o zdrowie każdego, bez wyjątku, pacjenta.

Pomimo, iż stan mojego zdrowia po kilku dniach - jak to sam odczuwałem - uległ znacznej poprawie i mogłem powrócić do pracy, Makarenka trzymała mnie nadal w szpitalu. Przychodziła codziennie i - poza normalnym obchodem - prowadziła ze mną dłuższe rozmowy. Opowiedziałem jej niemal cały życiorys. Pewnego razu, gdy opowia-

dałem o partyzantce powiedziałem jej - jako ciekawostkę - że w oddziale miałem pistolet maszynowy fińskiej produkcji. Podkreśliłem - nie tylko dla kurtuazji - bardzo dobrą konstrukcją i jakością tej broni. Na lufie miał wytłoczony napis: "Suomi Tikkakoski". Zauważyłem, że moje słowa zrobiły na niej przyjemne wrażenie.

Makarenka posługiwała się swobodnie - w mowie i piśmie - językiem rosyjskim. Przebywała już siódmy rok w łagrach. Pochwaliła mnie, że ja również w tak krótkim czasie nieźle opanowałem ten język i zapytała, czy znam cyrylicę? Opowiedziałem jej o lekcjach Duchana w Ingaszu...

Dwukrotnie odwiedził mnie Wasia. Okazał się prawdziwym przyjacielem; również w nieszczęściu/!/ Życzył szybkiego powrotu do zdrowia. Powiedział, że zachowanie Masłowa spotkało się w brygadzie z ogólnym potępieniem.

Makarenka po kilku dniach oznajmiła, że zamierza mnie wypisać ze szpitala. Wiadomość ta - choć przeze mnie oczekiwana - wprawiła mnie w stan odrętwienia. Czekał mnie powrót do brygady mego kata - Masłowa /!/... Zauważyła to i szybko wyjaśniła, że nie muszę do niego wracać, ponieważ ma dla mnie inną propozycję...

- Dzięki Bogu - pomyślałem. Poczuję ulgę.

- Mogę ci załatwić pracę w charakterze brygadzisty - powiedziała uśmiechając się.

Zaskoczenie było kompletne?... Pomyślałem przez chwilę i:

- Może przejdę tylko do innej brygady?... - Nie wiem czy podołam? a poza tym jestem Polakiem i nie mam pewności czy w tym środowisku zdobędę sobie - szczególnie wśród Rosjan - autorytet, który na tym stanowisku jest bezwzględnie konieczny?

Wspomniałem również, że brigadir musi mieć "chody", aby mógł zapewnić brygadzie stosowny pająk także wówczas, gdy ona nie wykona normy.

Jesteś inteligentny - powiedziała obdarzając mnie komplem - i jestem pewna, że sobie poradzisz. Wszystkie pozostałe sprawy są do załatwienia. Potrzebna jest jedynie twoja zgoda.



- Ja też jestem tu obca - dodała - i zdobyłam sobie wśród tych ludzi autorytet...

- Mogę zaryzykować...

-Jutro wszystko załatwimy do końca - powiedziała - żegnając mnie uśmiechem.

Gdy nazajutrz opuszczałem szpital serdecznie podziękowałem jej za opiekę i wyjątkową życzliwość jaką mi okazała. Ucałowałem jej rękę, naszym polskim zwyczajem. Zauważyłem, że było to dla niej przyjemnym zaskoczeniem.

- Nie choruj więcej, ale odwiedzaj mnie, gdy tylko będziesz miał trochę czasu - powiedziała na pożegnanie.

- Będę to czynił z największą przyjemnością i nigdy nie zapomnę pani tego, co dla mnie uczyniła.

Podczas mego pobytu w szpitalu wielu zmarło. Z widokiem nieboszczyka jakoś się oswoiłem, ale samo umieranie człowieka było dla mnie wciąż bardzo denerwującym przeżyciem.

W URB'ie zaproponowano mi objęcie brygady izwozczyków. Brygada istniała i pracowała, ale jej obecny brigadir uległ jakiejś poważniejszej kontuzji i został skierowany na dłuższy czas do szpi-<sup>tała.</sup>

Gdy do nowej <sup>pracy</sup> wprowadzał mnie urzędnik z URB'ie - do tego, co powiedział na temat mego doświadczenia zdobytego na różnych odcinkach pracy w tajdze - dodałem, że jestem Polakiem. Odniosłem wrażenie, że zostałem zaakceptowany.

Był koniec marca. Otrzymałem więc od Makarenki - jak gdyby - prezent na urodziny.

Więszą część w brygadzie stanowili ludzie z południa Związku Radzieckiego. Było również kilku Chińczyków. W kierowaniu tą społecznością moje szanse były znacznie większe.

Barak brygady znajdował się w pobliżu bramy głównej, na - przeciw URB'ie.

Na śniadanie otrzymałem - jak przysługiwało brygadziście - podwójną porcję nieco gęściejszej bałandy. Tego samego dnia wyruszyłem z brygadą do pracy. Liczyła 50 osób.

Otrzymaliśmy w stajni konie z teleżkami czyli jednoosiowymi wózkami, owies i drewniane wiadra do pojenia koni, a także, nieod-

łączny rekwizyt, potrzebny w tajdze nie tylko leSORubom, kilka pił i toporów. Moimi "narzędziami pracy" były - tym razem - ołówek, deska i kawałek szkła.

Brygada przystąpiła do wywożenia spiłowanego w ciągu poprzednich dni drzewa w okolicy leżniowej drogi.

Technika wywózki była najmniej skomplikowaną operacją ze wszystkich prac w tajdze. Na końcowej cieńszej części bałana, która miała się wlec po ziemi, należało zrobić toporem tak zwaną załyskę czyli zastrugać jego koniec, a następnie grubszą część - podkładając koło teleżki pod bałan - zarzucić drenkiem czyli drążkiem na oś wózka i przytroczyć do niej łańcuchem. Tak zamocowany bałan wędrował wołokom czyli ślizgiem na oznaczone miejsce.

Koniki, wielkości kucyków były niesamowicie sprawne. Po rozrzuconych bezładnie bałanach stąpały jak koty. Aż podziw brał, że nie łamały sobie nóg. Były to bardzo sympatyczne i łagodne zwierzęta. Bite wciąż w niemikosierny sposób znosiły zadawane im razy jakby z pokorą. Gdy napinały mięśnie i prężyły ciało wydawało się jak gdyby bałan wrywały z ziemi. Sierść miały puszystą, o wiele dłuższą niż nasze konie. (i zupełnie matową) Porcji owsa, które izwozczyki dla nich pobierali, nigdy nie oglądały. Zjadali je woznice, produkując płatki owsiane. Na kawałku blachy podgrzewali owies nad ogniskiem lub w baraku na płycie pieca do jego znacznego podsuszenia, a następnie dREWMIANYM wałkiem rozgniatali tak długo, aż łupina oddzieliła się od ziarna. Po przedmuchaaniu płatki były gotowe. Kociołek takiego pożywienia był niezłym uzupełnieniem - można by rzec nawet podstawą - dziennego posiłku.

Żał mi było koników, które za swą ciężką harówkę otrzymywały jedynie mało kaloryczne siano i - głodne jak wilki - skubały napotkane po drodze krzewy i drobne patyki.

Po jakimś czasie usiłowałem zmienić ten stan na korzyść koników proponując, aby otrzymywały chociaż połowę przysługującego im furazu. Niestety, w myśl starej rzymskiej zasady: Nec Hercules contra /wygłodzony/ plures; w walce tej musiałem się uznać za pokonanego. Jedyną pociechą było to, że koniki otrzymywały trochę owsa w stajni.

R y s u n e k

Zima. Tajga na dalszym planie. W głębi stojący z psem wartownik. Na pierwszym i środkowym planie porozrzucane bezładnie bałany. Na jedną teleżkę ładowany jest bałan /jedno koło podstawione pod grubszą część bałana ; oś teleżki stoi pionowo. Koło u góry podtrzymuje izwozcik. Z drugiej strony jeden człowiek, podbiwszy żerdź pod bałan, wpycha go na oś teleżki/

Inna teleżka wywozi załadowany bałan /wołokom/ z placu powału. Koń z pochylonym do ziemi łbem silnie naprężony.

Nad zadem konia uniesiony przez izwozcika bat.

Wywózka bałanów z placu powału:



Z napisaniem raportu z pracy - dzięki lekcjom Duchana - poradziłem sobie bez większych trudności. Aby nie rujnować istniejącego porządku, zasięgnąłem dyskretnie opinii mojego sąsiada z nar Wołodi na temat pracy i wysokości pajka przyznawanego w poprzednim okresie poszczególnym pracownikom. Jego informacje i moje obserwacje pozwoliły mi na dokonanie selekcji. Około trzydziestu procent ludzi otrzymało wyżywienie z primbliudą, pozostali średnie i niskie. W grupie ocenionych najniżej znalazło się kilku nierobów i pięciu - skądinąd bardzo sympatycznych - Chińczyków, którzy nie wykazywali żadnego zainteresowania wypracowaniem większych porcji wyżywienia i zadawali się porcją najniższą. W ich polityce było niewątpliwie wiele rozsądku. Największy bowiem pajok nie rekompensował włożonego trudu w jego wypracowanie.

Z dęsiatnikiem, gdy chciałem dokonać w raporcie na korzyść brygady jakiejś machlojki, nie miałem trudności. Wiedział, że jestem protegowanym Makarenki.

Pamiętam do dziś nazwiska wszystkich pięciu Chińczyków, których - zapewne z uwagi na ich orientalne brzmienie, pomimo kilku dziesiątków lat - nie zapomniałem. Oto one: Lu Fa-jeng, Phang Pen-chao, Phang Shei-si, Khin Song-ju i Li Den-caj. Miałem w brygadzie także dwóch Japończyków : Doba i Takakashi.

Wszystkich skośnookich Rosjanie nazywali "Wania". Nie znam przyczyny, dla której trafili do obozu Japończycy. Chińczycy - jak sami twierdzili, a czego teraz bardzo żalowali - za przekroczenie sowiecko - chińskiej granicy. Urzeczeni hasłami komunizmu, w nadziei, że spotka ich tu dobrobyt i społeczna sprawiedliwość, zdecydowali się na ten krok, a sowiecka władza, nie wdając się w "szczegóły", zafundowała każdemu z nich po dysze do odsiadki.

Miejscowi pokpiwali sobie niekiedy z ich naiwności:

- Wania, kungczaandzui hao ? /Wania, komunizm dobrze ?/ - pytali.

- Pu hao !, pu hao ! /Nie dobrze ! nie dobrze !/ - odpowiadali nerwowo.

Gdy jedli bałandę:

- Czyfan hao ? /Czy dobrze pojadłeś ?/ - odpowiedź była ta sama.

Poznałem kilka słówek, które pamiętam również do dziś: phan-joo /przyjaciel/, tonđzy /towarzysz/, hunde /czerwony/, siesie /dziękuję/, mjenbao /chleb/, jü /ryba/, joo /jest/, mei joo /nie ma/. Nauczyli mnie także liczyć do pięciu: igo, liango, sengo, sygo, ugo.

Upłynął miesiąc i z liczby pięćdziesięciu pracowników ubyło pięciu niezdolnych do dalszej pracy.

Nie odwiedzałem Wasi w jego brygadzie. Zdawał sobie sprawę z tego, że wolałem unikać kontaktu z Masłowem. On odwiedził mnie w ciągu miesiąca kilkakrotnie. Któregoś wieczora wpadł do mnie uradowany.

- Kazimir ! - wykrzyknął, zanim zdążył się ze mną przywitać.  
- Masłowa wsadzili do karceru!/!

Jak do tego doszło, opowiedział z detalami: Masłow nie wyprowadził na rozwód i pozostawił nielegalnie w baraku człowieka, któremu polecił, aby mu połatał ubranie./Człowiek był na wolności krawcem/ Przy liczeniu w bramie próbował zgłosić o jednego więcej, lecz policzyli dokładnie i "sztuka" się nie udała. Sprawdzili w baraku. Zapytany, nie mając wytłumaczenia i, licząc na układy Masłowa, którymi zwykł się chwalić powiedział, że pozostał na polecenie brigadira. Powędrował natychmiast na 24 godziny do karceru. Masłow, gdy powrócił z pracy, na trzy doby. Była połowa kwietnia, ale mróz był taki jak w zimie. Karcer był nie opalany, a jego czasowi lokatorzy przebywali tu jedynie w tęgognejkach, bez czapek i rękawiczek. Miejsca do spania na leżąco dla wszystkich nie starczało. Większość musiała spać w pozycji siedzącej. Otrzymywali dziennie po pół litra kipiátku i 300 gramów chleba.

Dalszy bieg sprawy poznałem za kilka dni.

Masłow powrócił do baraku ledwie żywy, z wysoką temperaturą. Jego kumple zaprowadzili go do szpitala.

- Ja tego sukinsyna komandira zabiję ! - powiedział, gdy po tygodniu zjawił się ponownie w baraku.

Nikt nie potraktował tych słów poważnie, ale - jak się okazało - słowa dotrzymał.

Byłem naocznym świadkiem dramatu, który się wydarzył. Była

połowa czerwca. Pogoda była słoneczna. Gdy późnym popołudniem siedziałem przy oknie, dostrzegłem komandira, który wyszedł z wartowni i podążał w kierunku URB'e. Naprzeciw niego pojawił się niespodziewanie Masłow. Szedł spokojnie, bez oznak najmniejszego podniecenia. Gdy zbliżył się do komandira, wyciągnął nagle nóż i ugodził go w pierś. Ofiara usiłowała zasłonić się rękami, ale cios dotarł celu. Ranny komandir - wzywając pomocy - rzucił się do ucieczki. Był dość tęgi i mało sprawny. Masłow dopadł go i zadał kilka ciosów w plecy. Komandir osunął się na ziemię. Z licznych ran popłynęła obficie krew. Ciało chwyciły konwulsje.

Gdy stojący w bramie wartownik usłyszał krzyk i dostrzegł co się dzieje, wszczął alarm. Po kilkunastu sekundach z wartowni wybiegła grupa strażników. Czterech chwyciło komandira i zaniósło na wartownię; pozostali okrążyli Masłowa. Nie uciekał. Nie miał szans.

- Co ty zrobiłeś, zabiłeś komendanta!- wrzasnął któryś.

- Nie podchodźcie psy ! - będę rznął ! - krzyknął Masłow.

Nóż trzymał w pogotowiu.

Przekonywali, by się poddał; że opór jest bezcelowy; że oni są uzbrojeni... Pierścien wokół niego zaciskał się. Machał z furją nożem na oślep, a w pewnej chwili zatopił go we własnym brzuchu. Rozejrzał się dookoła błędnym wzrokiem i osunął na ziemię. Chwycili i zanieśli go również na wartownię. Dla obu nie było ratunku. Obydwie kanalie - tą drugą, być może jeszcze gorszą - dotknęła ręka sprawiedliwości.

Na miejsce Masłowa wyznaczono nowego brigadira. Wszyscy w brygadzie odetchnęli z ulgą.

Któregoś wieczora na początku lipca odwiedził mnie znów Wasia i opowiedział kolejne niecodzienne wydarzenie, które miało miejsce właśnie tego dnia. Gdy wszystkie brygady zakończyły ładowanie wagonów, zarządzono zbiórkę i rozpoczęto sprawdzanie obecności. Rachunek się nie zgodził. Liczenie powtórzono. Brakowało dwóch ludzi. Wśród konwojentów ochry zapanowała panika. Polecili wszystkim pozostać na miejscu i rozpoczęli dokładne przeszukiwanie terenu. Goniłi po placu z psami, penetrowali sztable i najbliższą okolicę



tajgi; zaglądali w każde najmniejsze zagłębienie terenu. Bez rezultatu. W obawie, że brygady nie zdołają dotrzeć do obozu przed nastaniem zmroku, zarządzono wymarsz. Według tego, co Wasia dowiedział się po drodze, dwaj zbiedzy zabarykadowali się sami lub z pomocą kolegów w krytym wagonie załadowanym kopalnianymi stemplami. Drzwi wagonu zostały zaryglowane. Pociąg ruszył w świat. Ochra nie wzięła pod uwagę takiej możliwości. Całą noc przeszukiwano okoliczną tajgę, również z pomocą posiłków spoza obozu.

Przy oddawaniu pobranych narzędzi okazało się, że zabrakło jednej siekiery. Nie zwrócono na to większej uwagi. Zdarzały się przypadki pozostawiania narzędzi na placu przez zwykłe zapomnienie i nikt nie czynił z tego problemu. Następnego dnia się odnalazły. Tym razem siekiera zniknęła bezpowrotnie. Potrzebna była zamkniętym uciekinierom do wydostania się z wagonu.

Poruszenie było ogromne. Wśród nas radość; w szeregach ochry zdenerwowanie.

W większości przypadków ucieczki kończyły się niepowodzeniem. Zimą były praktycznie wykluczone.

Ludzie opowiadali, że zdarzył się taki przypadek, że dwóch zaryzykowało ucieczkę zimą. Po kilku dniach tułaczki, głodni, z licznymi odmrożeniami - w bardzo złej kondycji - oddali się dobrowolnie w ręce władzy.

Latem ucieczki zdarzały się - choć bardzo rzadko - a decydowali się na nie najczęściej ludzie z wysokimi wyrokami i wyłącznie obywatele Związku Radzieckiego. Wymagały starannego przygotowania i zrobienia przynajmniej kilkudniowego zapasu żywności. Mógł to być prowiant otrzymywany w obozie, zaoszczędzony z własnych porcji lub zakupiony, a także z przesyłek.

Na pomoc napotykaną po drodze ludności nie można było liczyć; trzeba się było jej raczej wystrzegać. Jedni w obawie przed represjami, inni za fałszywych trzydzieści srebrników, tu pod postacią - jak twierdzili wtajemniczeni - nędznego kilograma cukru, denuncjowali uciekinierów władzom.

Niezależnie od tego w jakim rejonie kraju <sup>zbiedzy</sup> zostali schwytani,

deportowani byli do tego samego obozu z którego uciekli. Władza miała tu na celu wygranie dwóch atutów: zademonstrowanie sprawności organów ścigania i zastosowanie efektu przewencji wobec potencjalnych amatorów nielegalnego odzyskania wolności.

Naszym uciekinierom życzyliśmy dużo szczęścia w ich śmiałym przedsięwzięciu, a władzy jak największego pecha.

Gdy po upływie kilku tygodni panowała w dalszym ciągu cisza, było jasne, że ucieczka się powiodła.

Informacje o tym, co się dzieje na świecie mieliśmy bardzo skromne. Szczelna otoczka cenzury przepuszczała, w obie strony, jedynie wiadomości o sukcesach sowieckiego systemu - często wymaginowanych - zaprawionych niewiarygodną dozą propagandy. Na tę formę działalności pieniędzy nigdy nie brakowało; gorzej było z funduszem na wyżywienie za katorżniczą harowę. Łagier nasycony był sporą ilością propagandowych haseł i portretów dwóch naczynych wodzów rewolucji Lenina i Stalina, a także Stalina jako "najdoskonalszego wodza" i pogromcy hitleryzmu.

O tym, co działo się w Polsce po wojnie; o panującym ustroju, stosunkach społecznych, a nawet jak zostały ustalone jej powojenne granice wiedzieliśmy również bardzo niewiele. Przez cały czas pobytu w łagrach docierały do nas jedynie słabe, ustnie przekazywane, in-

formacje. Któregoś kolejnego dnia odwiedził mnie Wasia. Był w dobrym humorze. Gdy go zapytałem, co słyhać w świecie nowego, powiedział, że właśnie powrócił niedawno z miasta, gdzie kupił dwie najpoważniejsze gazety: "Prawdę" i "Izwestia". Przeczytał je i stwierdził, że w "Prawdzie" nie ma izwesti a w "Izwestiach" nie ma prawdy. Minę miał przy tym bardzo poważną. Swym sposobem bycia przypominał mi często Maćka.

Od dnia, gdy opuściłem szpital, Makarenkę odwiedziłem kilkakrotnie. Witaa mnie zawsze uśmiechem, jak kogoś bliskiego. Wypytywała, jak się czuję i jak sobie radzę w roli brygadzysty? Rozmowy były krótkie; była, jak zwykle, zapracowana. Ludzie opowiadali, że otrzymywała z Finlandii - zupełnie prywatnie - lekarstwa, którymi leczyła chorych. Gdyby nie jej wyjątkowa troska, śmiertelność w szpitalu byłaby o wiele większa.

Po zakończeniu wojny , do łagrów trafiło wielu wojskowych. Byli nie tylko tacy, którzy dokonali jakiegoś przestępstwa, lecz także jeńcy uwolnieni z niemieckich obozów. Jedynym ich "przewinieniem" był fakt, że znaleźli się w niewoli. Władza traktowała go jako czyn wielce niegodny sowieckiego żołnierza, często na równi ze zdradą ojczyzny. Najgorszą opinię mieli jeńcy, którzy oswobodzeni przez aliantów pozostali przez jakiś czas na Zachodzie.

Sowiecka propaganda - jak sami opowiadali - agitowała ich bardzo usilnie do powrotu do kraju. "Ojczyzna wybacza ! Matka oczekuje!" głośiły napisy na plakatach z widokiem bardzo zasmuconej kobiety z wyciągniętymi ramionami.\* Uwierzyli. Powrócili - wprost do łagru. W ten oto sposób bohaterowie Ojczyźnianej Wojny ukarani zostali podwójnie: przez niemieckich faszystów i rodzimych komunistów/!/.!

Przypomniała mi się opowiedziana przez Wasię - adekwatna do tej tematyki - anegdota: Oswobodzony przez aliantów <sup>(z niemieckiej niewoli)</sup> ~~armieje~~ ~~pozo-~~stał przez pewien czas na Zachodzie. Trafił do USA. Znalazł się w pewnym okresie w trudnych warunkach materialnych. Nie miał konkretnego zawodu, nie znał języka. Pewnego dnia, gdy był bardzo głodny, wpadł na pomysł: wziął wiązkę siana, stanął przed Białym Domem i zaczął jeść. Liczył na to, że swym widokiem wzbudzi litość i któryś z zatrudnionych tam bogatych ludzi da mu parę dolarów. Tak się też stało. Przez kilka dni żyło mu się o wiele lepiej.

Gdy po powrocie do kraju - cierpiąc również biedę - postanowił w podobny sposób zdobyć parę rubli, wziął wiązki siana i poszedł przed Kreml. Zwrócił na niego uwagę jakiś wysokiej rangi czynownik i zapytał: - Człowieku, dlaczego jesz siano ? - Jestem bardzo głodny, nie mam za co kupić chleba - odpowiedział nieszczęśnik. - Zostaw siano na zimę, teraz jest lato; jedz trawę /!/.!

Aż podziw brał, skąd u Wasi , który - jak sam twierdził - miał pozostać w łagrach do końca swego żywota, mogło się wyzwolić tak duże poczucie humoru ?

Z końcem lata brygada moja stopniała do stanu trzydziestu osób. Posiłki nie nadchodziły. Najwytrwalszymi okazali się Chińczycy, spośród których nikt z brygady nie odszedł. Ogólna wydajność pracy



spadała z każdym dniem. Robiłem, co mogłem, aby zapewnić jaki taki pajok. Z primbljudą było zaledwie kilku. Niewielu otrzymywało średni; największa liczba niski. Mój pajok, na który wpływał wynik pracy całej brygady, też uległ znacznemu obniżeniu.

Przy końcu grudnia, gdy pozostało już tylko osiem osób, brygadę rozwiązano, a nas wcielono do innych. Zostałem przeniesiony do mojej dawnej pogruzocznej brigady. Znalazłem się znów razem z Wasią, i to było moją jedyną pociechą.

Być może, gdybym zwrócił się do Makarenki, znalazłaby coś dla mnie lepszego, ale nie chciałem nadużywać jej dobroci, której mi tak wiele okazała.

Rok 1948 rozpocząłem pracując w dalszym ciągu przy załadunku. Ta bardzo wyczerpująca praca - znów o różnej porze i niezależnie od temperatury - doprowadziła mój już nieco podreperowany organizm do ponownego wyniszczenia.

Gdy nie było wagonów do ładowania okrągłaków, zatrudniano nas, jak dawniej, w tartaku do układania w sztable i ładowania na wagony podkładów kolejowych i desek oraz układania brusków czyli obcinków powstających przy piłowaniu drewna.

Pewnego styczniowego wieczora, gdy mróz sięgał czterdziestukilku stopni, wezwano brygadę do ładowania wagonów okrągłakami. We jedno zwężono przypadało po trzy wagony.

Gdy nad ranem powróciliśmy do baraku i zdjąłem z siebie buszlat, Wasia spojrzał na mnie i krzyknął:

- Kazimierz, masz odmrożony nos ! - Ubieraj się szybko i wychodź na dwór.

Wyszedł razem ze mną. Gdy dotknął palcem czubka nosa, nie poczułem zupełnie. Był twardy jak drewno. Przeraziłem się.../!/

Kazał mi wziąć garść sniegu i lekko masować. Uprzedził, abym nie czynił tego mocno, bo nos może mi odpaść.

Przebywałem tu już trzy lata i widziałem wiele przypadków odmrożeń. Mnie jednak - jak do tej pory - los oszczędził tego nieszczęścia.

Po kilku minutach nacierania poczułem jak nos zaczyna powoli ożywać. Dopływająca krew przywracała tkankom życie i reakcję na do-

tyk. Wasia wprowadził mnie do korytarza, obejrzał jeszcze raz odmrożone miejsce i orzekł, że możemy wracać na salę.

- Mogłoby być gorzej - pocieszył mnie - gdybym nie zauważył i nos odtajałby ci w baraku.../!/

Masaż spowodował silne otarcie naskórka. Miejsce to stało się tak wrażliwe na temperaturę, że musiałem je osłaniać do końca maja specjalną przepaską./Był to rodzaj płaskiego woreczka nadzianego watą, ze sznurkami do zawiązywania za uszami /.

Przeżywałem wówczas najtrudniejszy okres ciężkiej pracy i silnego głodu.

W warunkach sanitarnych, wyżywieniu i przydzielonej odzieży - pomimo, iż od zakończenia wojny z Niemcami upłynęło prawie trzy lata - nie było żadnej poprawy. Głód, zimno oraz wszy i pluskwy były nieodłączną zmorą naszego obozowego żywota.

Z brygady, po każdym medycznym osmotrze, ludzi wciąż ubywało. Kierowani byli do lepszych prac, do baraku dla dochodzących lub do szpitala. Ja, pomimo iż czułem się bardzo słaby, otrzymywałem kategorię kwalifikującą mnie do pozostania w brygadzie.

<sup>(dla mnie)</sup> Nieznaczniejszą była moja gruba kość i masywna budowa ciała. Ludzie o drobnej kości i słabszej konstrukcji - pomimo, że ich kondycja fizyczna nie była gorsza od mojej - robili wrażenie słabszych i otrzymywali niższe, niż ja, kategorie zdrowia.

Dopiero na początku czerwca, na kolejnym przeglądzie, otrzymałem trzecią kategorię i skierowanie do brygady, która kosiła w tajdże trawę.

Nigdy w życiu nie miałem w ręku kosy, ale sztukę tę - z pomocą ludzi, którzy już tę pracę wykonywali lub na wolności pracowali w rolnictwie - bez większego trudu opanowałem. Nauczyłem się także ostrzenia kosy i klepania jej ostrza.

Największą zmorą tej pracy była atakująca - o wiele bardziej niż na lesopowale - mészka i komary. Owady, niepokojone w swych siedliskach ruchem kos, zrywały się chmarami i oblepiały, jak szarańcza, nasze ciało i ubrania. Nakomarniki i wianki z trawy stanowiły jedynie częściowe zabezpieczenie. Duża ich część przedostawała się

przez najmniejsze szczeliny w odzieży. Skuteczną osłoną przed owadami było mocno dymiące ognisko. Przebywanie przy nim było jednak dozwolone tylko w czasie zarządzanego odpoczynku.

Jedynym plusem tej pracy była możliwość zbierania leśnego runa. Zbieraliśmy grzyby. Najczęściej spotykanym gatunkiem była tak zwana babka, przypominająca wyglądem borowika. Gotowaliśmy z nich w obozie zupę lub zamienialiśmy je na chleb. Wykopywaliśmy z ziemi cebulki kwiatu zwanego tu saranka. Trzeba się było dobrze natrudzić, aby bez pomocy łopaty, jedynie patykiem, wydobyć je z ziemi. Ugotowana z nich potrawa przypominała smakiem i wyglądem kisiel. Nie była smaczna, ale wypełniała skutecznie żołądek, a to było najbardziej istotne. Piliśmy również sok brzoźowy. Z naciętego drzewa sączył się szczególnie obficie właśnie wiosną. Był przyjemny w smaku, a co najważniejsze miał - jak twierdzili znawcy - właściwości lecznicze.

Zatrudniani byliśmy niekiedy w przyobozowym gospodarstwie rolnym do sadzenia kartofli. Pieczenie ich i gotowanie było - jak zwykle - zakazane. Jedyną możliwością było jedzenie na surowo, oczywiście w tajemnicy przed władzą, lub przemycanie do baraku, pokrojonych w plasterki, ukrytych w ubraniu. Z tym było jednak i tu sporo trudności. Dokonywano przed bramą rewizji i najczęściej trzeba było wszystko wyrzucić. Kończyło się zazwyczaj nie tylko utratą łupu, lecz dotkliwym kopniakiem.

Przy sadzeniu kartofli napotykaliliśmy niekiedy tak zwane zanaczki. Były to zadołowane co kilkadziesiąt metrów, dość płytko, przez naszych poprzedników jesienią, kartofle przeznaczone dla przyszłych szczęśliwców, których los skieruje wiosną do pracy na tym polu. Robienie zanaczek było w obozach bardzo popularne. Wykonywali je wszyscy na zasadzie cichej zмовы. Wybierania z nich kartofli i przynoszenia do łagru władza nie zabraniała. Były silnie przemrożone, lecz nie zepsute. Po ugotowaniu otrzymywało się rodzaj krochmalowego kisielu. Było to całkiem smaczne i najbardziej ze wszystkiego, co przynosiliśmy spoza obozu, pożywne.



Mięsa i tłuszczu nie otrzymywaliśmy w dalszym ciągu w ogóle. Zdarzały się przypadki - przy okazji jakichś większych świąt państwowych - przydziału niewielkich ilości ryb. Były to najczęściej małe solone rybki lub śledzie zwane iwasi. Zjadaliśmy je natychmiast. Nikt nie myślał o wymoczeniu. Brzuchy pęczniały później od nadmiaru wypitej wody. Niektórzy gotowali z nich zupę. Dodatkowymi składnikami było najczęściej jakieś badyle i okruchy chleba. Było to tak słone i obrzydliwe, że z trudem dawało się przełknąć nawet najbardziej wygłodzonemu człowiekowi. Efekt był podobny: kolejne litry wypijanej wody /!/

Zdarzało się również, że ryby zepsuły się w magazynie, lub już zepsute zostały dostarczone do obozu. Taki "prowiant", nie nadający się do spożycia, był wystawiany w beczkach w okolicy śmietnika, jakby do wyrzucenia. Po kilku minutach nie było w nich nawet najmniejszego kawałka ogona, a kociołki wypełnione tym świństwem rozcieńczonym wodą z dodatkiem "najbardziej wyszukanych ingrediencji" zatruwały w baraku powietrze napełniając je oparami soli i zgnilizny.

Po takiej "uroczystości" szpital zwiększał znacznie "przepustowość", a grabarze "wydajność pracy" /!/

Przy koszeniu trawy pracowałem przez całe lato.

Na początku sierpnia zaczęły krążyć po obozie słuchy, że Polacy gromadzeni są w jednym z tunguskich obozów. Niektórzy twierdzili nawet, że zostaniemy odesłani do Polski. Ta wiadomość wydała mi się mało prawdopodobna. Trudno było uwierzyć aby władza, która otrzymała od swego satelity w prezencie darmowego robotnika, zechciała go teraz wypuścić na wolność?... Musiała zdawać sobie sprawę, że wszyscy, którzy byli tu więzieni - jeżeli uprzednio nie byli jej wrogami - po tym, co tu przeżyli, stali się jej zagorzałymi przeciwnikami.

- A może jednak?... chciałoby się bardzo w to uwierzyć. Przecież wojna dawno się skończyła i system komunistyczny w Polsce umocnił na pewno do tego stopnia swoje wpływy, że nie mogliśmy stanowić dla niego żadnego zagrożenia.

Myśl ta nie dawała mi spokoju. Podniecenie było tak wielkie,

że wszystko, co się teraz wokół mnie działo, nie miało żadnego znaczenia. Kilka nocy prawie zupełnie nie spałem. W pracy ledwo trzymałem się na nogach.

Obiecałem sobie, że gdybym rzeczywiście powrócił do kraju, udam się niezwłocznie do Częstochowy, aby podziękować Matce Boskiej za opiekę i szczęście jakie mnie spotkało.

Około 10 sierpnia wezwano mnie do URB`e i polecono przygotować się do opuszczenia obozu. Brigadir otrzymał polecenie, aby wykreślił mnie z listy członków brygady.

Po zakończeniu odprawy brygad do pracy miałem się stawić przed bramą. Byłem tam już o godzinę wcześniej i nie mogłem się doczekać zakończenia rozvodu.

Nie uwierzyłem własnym oczom?... Zebrało się tu nas Polaków kilkunastu /?!/... O ich obecności w obozie nic do tej pory nie wiedziałem. Chodziliśmy jednakowo "ubrani", mówiliśmy tym samym językiem... Tylko przypadek - w bezpośrednim kontakcie - mógł doprowadzić do dekonspiracji.

Po ogłoszeniu znanych ostrzeżeń załadowano nas na samochód ciężarowy i - pod konwojem - ruszyliśmy w drogę.

Zawarłem nowe znajomości. Tematem najważniejszym był oczywiście cel naszej podróży. Mieliśmy wszyscy o tym jednakowe pojęcie?...

Nie było wśród nas żadnego z moich znajomych. Byli to, w większości, Akowcy skazani za "terroryzm i zdradę ojczyzny!"

Obóz, w którym nas ulokowano, nosił nazwę "sędmoj komandanckij". Zostałem tu, wśród przywiezionych uprzednio: Maćka, Zygmunta oraz Ryśka, Józka, Wacka, a także Mariana z Sochaczewa.

Padliśmy sobie w objęcia. Radości i łez szczęścia było tyle jakbyśmy się znaleźli już na wolności.

Ulokowano nas w baraku. Przebywało tu również, przywiezionych wcześniej, kilkunastu lokatorów. Moi najbliżsi koledzy umieszczeni zostali - niestety - w innych barakach.

Zebrano nas tu wszystkich około pięciuset.

Już następnego dnia zorganizowano nam kąpiel, a nasze łachmany zamieniono na nowe, pachnące magazynem, waciaki. Otrzymaaliśmy również osobistą bieliznę /!/. W ciągu czterech lat był to pierwszy

przypadek potraktowania nas w tak cywilizowany sposób /Nie licząc przydziału, który otrzymałem z Ryszardem - w drodze wyjątku - w Ingaszu w związku z naszymi występami w teatrze/.

Wyżywienie otrzymywaliśmy na poziomie 100 - procentowego wykonania normy. Było jasne, że władza czyniła, co mogła, aby zrobić na nas jak najlepsze wrażenie. Można by rzec, że wyraźnie nas kokietowała... Do pracy nas nie wyprowadzano. Po kieracie, w którego trybach spędziliśmy cztery lata, trudno się było przyzwyczaić do obecnego dolce far niente. Czas wypełnialiśmy sobie - szczególnie z Maćkiem i Zygmuntem - na opowiadaniu o tym, co przeżyliśmy od chwili, gdy zostaliśmy rozdzieleni.

Oni obaj - choć nie zawsze pracowali w tej samej brygadzie - mieli szczęście przebywać wciąż w tych samych obozach.

Grono naszych najbliższych kolegów powiększył bardzo sympatyczny, znajomy Maćka i Zygmunta, Leon Skowroński również Akowiec, mieszkaniec Ostrołęki. Był od nas o kilka lat starszy. Przed wojną odbywał naukę w zawodowej szkole podchorążych.

Choć od naszego przyjazdu upłynęło już prawie trzy tygodnie trwaliśmy wciąż w beznadziejnym oczekiwaniu... Domysłów było wiele: że odeślą nas do Polski dla odbycia dalszej części kary, lub że w kraju wypuszczą nas na wolność. Co niektórzy byli zdania, że wywiozą nas do jakiejś republiki w ZSRR, w której - już jako wolni - spędzimy resztę życia. Najwięksi pesymiści uważali, że pozostaniemy na Syberii i zatrudnią nas w łagrach jako wolnonajomnych.

Przy końcu sierpnia zaczęło się robić coraz chłodniej. Zbliżała się syberyjska zima.

Gdy któregoś dnia na początku września wyprowadzono nas do pracy poza teren obozu byliśmy bliscy załamania /!/. Pesymiści "triumfowali"...

Pracowaliśmy tak przez okres około tygodnia tracąc z każdym dniem nadzieję na oczekiwaną zmianę naszego losu.

Pewnego dnia zaczęto wzywać nas pojedynczo do URB'e i spraw - dzać nasze personalia. Nadzieja znów powróciła...

Rozmowa prowadzona była w sposób tak uprzejmy, że wprawiła mnie w zakłopotanie... Oświadczono nam, że istnieje szansa dla pewnej liczby Polaków, którzy wykazali się dobrą pracą i lojalnością wobec sowieckiej władzy, przedterminowego zwolnienia z obozu. Za-  
proponowano nam jednocześnie pozostanie, na stałe, w Związku Radziec-  
kim,



a jako dowód szczególnej łaski, której pozbawieni byli skazani za przestępstwa polityczne obywatele radzieccy, dano nam możliwość osiedlenia się w dowolnym rejonie ZSRR - nie wyłączając Moskwy i Leningradu.

-Nikogo nie namawiam - oświadczył Maciek, gdy powrócił z URB'e - ale ja zdecydowałem się tu pozostać.

- Ty chyba postradałeś zmysły ! - zareplikował Leon.

W podobny sposób odebrali postanowienie Maćka wszyscy pozostali koledzy. Jedynie Zygmunt i ja pozostaliśmy niewzruszeni. Zналиśmy doskonale Maćka możliwości...

-Ja miałem na myśli tylko kilka dni "wyjaśnić " Maciek i dodał: Tak dobrze, wydawałoby się, poznałem naszą władzę przez tych kilka lat, ale nie posądzałem jej - o tak duże poczucie humoru...

A teraz - Szanowny Czytelniku - dość żartów: Ani jeden spośród pięciuset nas tu obecnych nie wyraził zgody na tę propozycję /!/  
Zgodnie z deklaracją Maćka, po kilku dniach zaczęło się

dziać wokół naszej sprawy coś konkretnego: Zakomunikowano nam, że mamy się szykować do drogi.

Radość zabarwiona niepewnością trzymała nas w ciągłym napięciu.

## P O W R Ó T   D O   K R A J U

25 października - a był to rok 1948 - gdy zima zagościła tu już na dobre, na liście <sup>(na wyjazd)</sup> znaleźliśmy się również my: Maciek, Zygmunt i ja. Załadowano nas do wagonu typu wagonzak, lecz tym razem do osobowego. Umieszczono nas w różnych przedziałach.

Jechaliśmy na zachód, a słońce było naszym drogowskazem.

W przedziale - podobnym do naszych kuszetek - umieszczono sześć osób. Mnie przypadło miejsce pod sufitem. Było niemiłosiernie gorąco; szczególnie nocą. Nie okrywałem się, leżałem tylko w bieliźnie i pływałem w potach.

Drzwi i okno były zaryglowane. Wypuszczano nas wyłącznie do toalety. Otwieranie drzwi wartownicy traktowali jak wielką fatygę. Często musieliśmy cierpieć... Najgorzej mieli się chorzy na pęcherz lub żołądek; ci przeżywali prawdziwe tortury.

Pluskiew było tu mniej, niż w obozowych barakach. Liczba wszy też zmniejszyła się znacznie po ostatniej wymianie ubrania i częściej prowadzonej kąpieli i dezynsekcji. Towarzystwo tych insektów, jako jeden z czynników naszej codziennej udręki, miało się dla nas skończyć po przekroczeniu sowiecko - polskiej granicy. Od niej dzieliło nas jeszcze około 6 tysięcy kilometrów/!//

Jechaliśmy dokładnie tą samą trasą, którą odbyliśmy w drodze do Krasnojarska. Warunki, choć dalekie od tych w jakich ludzie odbywają tak daleką podróż, były o niebo lepsze niż wówczas.

Czas, którego mieliśmy teraz nazbyt wiele, wypełnialiśmy sobie zwiększoną porcją snu i opowiadaniem o obozowych przeżyciach.

Wielką niewiadomą dla każdego z nas był los naszych najbliższych, którzy pozostali w kraju. Gdy wieziono nas do więzienia, toczyła się jeszcze zacięta wojna ?...!

Gdy minęliśmy Swierdłowsk, a później Moskwę, i jechaliśmy dalej na zachód stało się jasne, że jedziemy do Polski.

Do Brześcia dotarliśmy wczesnym rankiem 6 listopada. Tu pewien odcinek drogi przejechaliśmy ciężarówkami, które zawiozły nas na jedną z bocznic miejscowego dworca. Oczekiwały nas, luźno stojące, dwa polskie wagony osobowe. Zniknął konwój !/!

- Boże ! To już prawie Polska. - Byliśmy wolni!!!

Od granicy dzieliło nas już tylko kilka kilometrów.

W chwili, gdy opuszczał nas konwój, podszedł do nas sowiecki kolejarz i, zwracając się do nas czystą polszczyzną,

polecił zająć miejsca w wagonach. Przestrzegł, abyśmy zbyt daleko nie odchodziłi, ponieważ wagony mogą być w każdej chwili zabrane i połączone do składu pociągu, który zawiezie nas do Polski.

Kolejarz, w wieku lat około czterdziestu, okazał się Polakiem. Pracował tu jeszcze przed wojną, gdy Brześć należał do Polski.

- Szkoda, że nie mogę zabrać się z wami - powiedział - ale mam tu dom i dość liczną rodzinę.

Naszej grupie przypadł w udziale cały przedział. Oprócz nas trzech dębliniaków ulokowali się z nami: Józek, Ryszard, Wacek i Leon. Gdy się już rozmieściliśmy, wyszliśmy z wagonu, by zaczerpnąć świeżego powietrza, którego w ostatnim okresie było nam tak bardzo brak. Niemal wszyscy pozostali uczynili to samo. Nagle:

- Chłopcy ! - krzyknął któryś - musimy posprzedawać nasze waciaki. Kto będzie w tym chodził w kraju ? - Tu otrzymamy za nie coś do jedzenia !

Odważniejsi wyruszyli natychmiast w teren. Maciek i Zygmunt po pewnym czasie również. Ja bałem się ryzykować.

- Gdyby w tym czasie pociąg odjechał ?... - pomyślałem. Ciarki przeszły mi po krzyżu.

Gdy po kilkunastu minutach powrócili pierwsi z bochnami chleba i zabrali się do uczyty, a wokół naszych wagonów nic się nie działo, nie wytrzymałem...

Kontrahenta musiałem szukać teraz dalej; ci bliżsi już się za-



opatrzyli.

Dworzec był duży. Stało tu kilka pociągów i wiele pojedynczych wagonów. Poruszałem się w tym labiryncie rejestrując- partyzanckim zwyczajem - przebytą drogę. Znalazłem wreszcie w jednym z kolejowych zabudowań chętnego. Za buszkat zgodził się - bez targu - dać mi dwukilogramowy bochenek chleba. Takiej ilości nie miał ze sobą; musiał przynieść z pobliskiego sklepu. Czekałem, jakbym stał na rozżarzoną węglu. Gdy się wreszcie zjawił, zostawiłem buszkat, chwyciłem chleb i ruszyłem truchtem w powrotną drogę. Starąłem się iść na skróty. Dłuższe składy pociągów przechodziłem pełzając pod wagonami.

- Żeby tylko nie odjechali...- myśl ta nie dawała mi spokoju.

Przyśpieszyłem kroku. Kondycję miałem słabą. Pogorszyły ją znacznie jedenaście dni spędzonych w wagonie.

Gdy dotarłem na miejsce, zamarłem w bezruchu. Wagony zniknęły/!/ Rozejrzałem się wokół. Wszystko inne stało na swoim miejscu. Nie miałem wątpliwości, to było na pewno tu. Poczuję, jak nagle przestaje mi bić serce.

- Za wszelką cenę muszę odnaleźć wagony !

Pobiegłem w kierunku najbliższego posterunku. Nie byli pewni, lecz jeśli do Polski, należy szukać po przeciwnej stronie dworca. Pobiegłem we wskazanym kierunku. Musiałem zwolnić; czułem, że za chwilę upadnę.

Jeżeli zdarzyło się komuś, że w ciągu minuty osiwił, to nadeszła dla mnie taka minuta /!/

Znów przyśpieszyłem. Gdy w pewnym miejscu przekraczałem przewody od semafora, zaczepiłem nogą i upadłem. Chleb wypadł mi z ręki.

- Niech się dzieje co chce; dalej nie dam rady. Muszę choć chwilę odpocząć.

Miałem pełną świadomość, lecz nie starczyło sił żeby stanąć na nogi.

- Co zrobi ze mną władza, gdy mnie tu odnajdzie?...)

(- Przestępca w obcym kraju i do tego bez dokumentów/?!/.... - Trochę poleżę, nabiorę sił i pobiegnę dalej, gdy nagle:

- Kazik ! - usłyszałem znany mi głos. - Wstawaj szybko !

Maciek i Zygmunt wzięli mnie pod rękę. Zrobiliśmy kilka kroków.

- A chleb ?! - krzyknąłem.

Wyrwałem im się i podniosłem chleb.

Gdy dowlekliśmy się do pociągu, byliśmy bardzo zmęczeni. Kiedy po przetoczeniu wagonów w dalszym ciągu się nie zjawiłem, moi najbliżsi koleźcy rozbiegli się po dworcu. Do odjazdu pozostało wówczas jedynie kilkanaście minut...

Byłem uratowany /!/  
.

Z trudem wspiąłem się na stopnie wagonu. Gdy usiadłem w przedziale odetchnąłem z ulgą.

- Aniele Boży, Stróżu mój... i znów mi dopomogłeś /!/  
.

Odpočząłem chwilę. Wyjrzałem przez okno.

- Boże ! Polski kolejarz. Jaki elegancki. Na jego piersi wisiała błyszcząca jak lustro mosiężna karbidówka.

Podróż z Brześcia do Białej Podlaskiej trwała około pół godziny. Po drodze: polska straż graniczna, białe czerwone słupy, zwieńczone białym orłem i polska ziemia, droga jak matka. O nią walczyłem przez pięć lat okupacji i dla niej gotów byłem poświęcić życie.

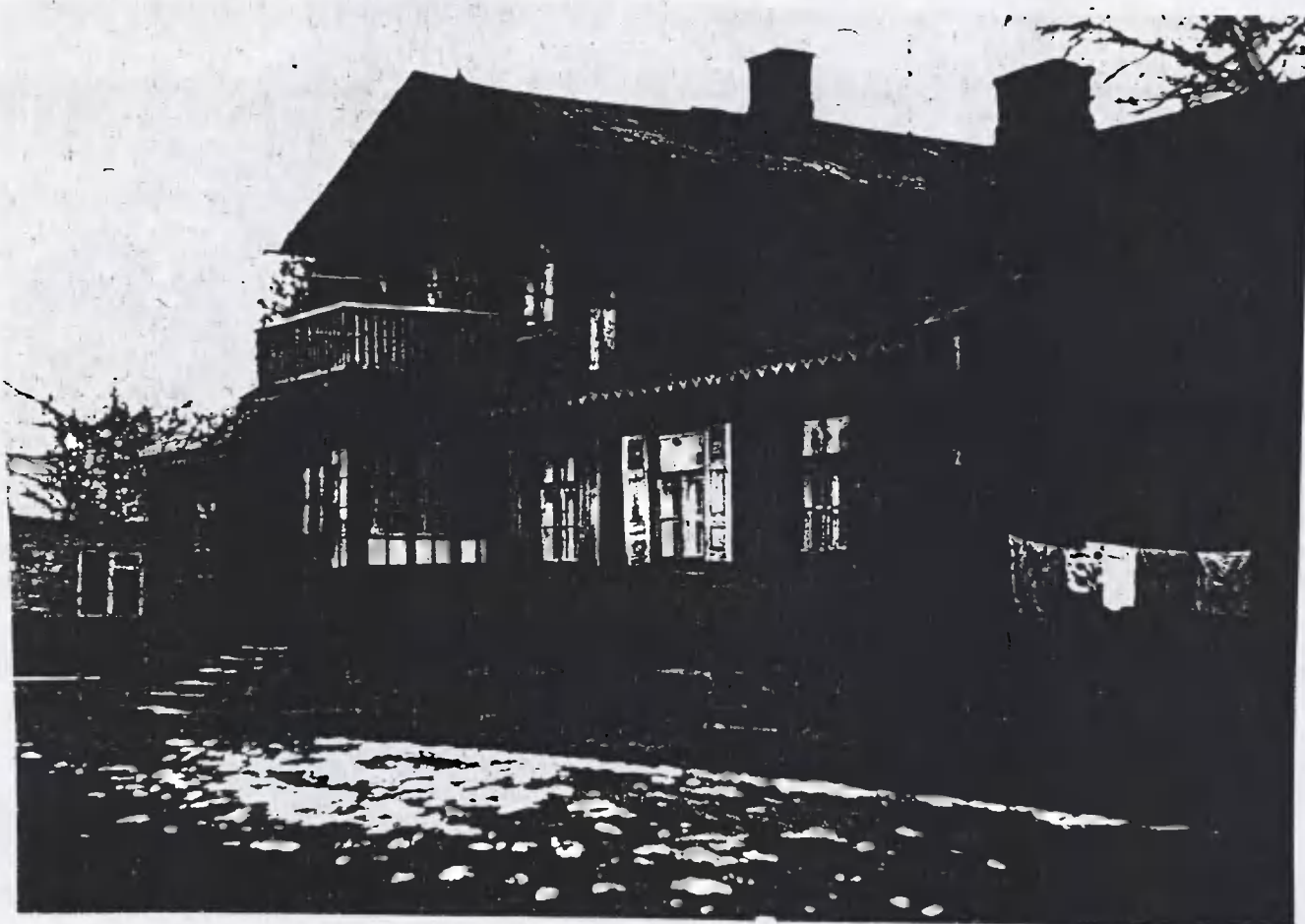
Na miejsce dojechaliśmy około południa. Na dworcu oczekiwał nas przedstawiciel Państwowego Urzędu Repatriacyjnego /PUR/ i

Czerwonego Krzyża. W budynku PUR'u zostaliśmy zarejestrowani i przydzielono nam kwatery. Otrzymaliśmy po dwa tysiące złotych kieszonkowego dla zaspokojenia pierwszych niezbędnych wydatków. Dla załatwienia formalności mieliśmy pozostać w Białej przez okres około tygodnia.

W stołówce otrzymaliśmy prawdziwą zupę /!/, taką, że łyżka w niej stała, a także chleb z masłem, jajecznicę z jajek w proszku i kawę z mlekiem. Porcji nam nie wydzielano; każda byłaby za mała. Wykonano nam również zdjęcia do dowodu tożsamości i popołudnie mieliśmy wolne.

My trzej skierowaliśmy pierwsze kroki do kościoła by podziękować Bogu za opiekę i szczęśliwy powrót do kraju.

Postanowiliśmy zawiadomić o przyjeździe nasze rodziny. Poszliśmy na dworzec, aby się rozejrzeć, czy nie ma wśród pasażerów znajomych z Dębłina.



Siedziba Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Białej Podlaskiej.





RZECZPOSPOLITA POLSKA  
Ministerstwo Administracji Publicznej  
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Wzór Nr. 3  
(dla mężczyzn w wieku od lat  
16 do 50)

Punkt Przyjęcia  
w Białej-Podlaskiej

**Zaświadczenie** Nr. 057157

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Łochowski Karimierz Stejana

27/III 1923 w Deblin-Jona ul. Stascha 1

przybył do Polski z terytorium S. P. R.

i dnia 6 listopada 1948 r. zarejestrował się na Punkcie

Przyjęcia w Białej-Podlaskiej

Obecnie udaje się do Zelena-Góra

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 5/V. 1150

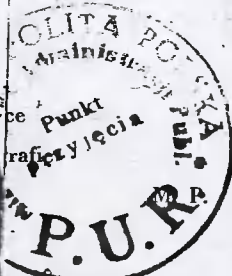
ob. Łochowski Karimierz ma pierwszeństwo i prawo

jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do

Zelena-Góra

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej

bcy okazicielowi niniejszego.



wydano d. 9 listopada 1948 r.

Ważne do dnia 23 listopada

Drukarnia Nr. 1

- U W A G A:
1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się Milicji Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
  2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu — na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia

w Białej-Podlaskiej

*[Signature]*

Zaświadczenie wydane przez PUR jako tymczasowy dowód tożsamości.



Biała Podlaska

13 LIST. 48

A. miles

A. parwa

A. obarvina

A. p. r. c.

A. p. r. c.

A. p. r. c.

A. p. r. c.



słownie zt. *otrą żywno*  
wymiarone tyt. zppm. dot. ażej i  
sano pod pozycją

P.U.R. Pow. Oddz. Biał. Podl.  
15/2/48 Podol



POLSKI CZERWONY KRZYŻ  
Oddział Biała Podlaska

*Wskawia /  
Kawrony /  
mydło /  
Kawrony /  
1948 - 1949*

P.U.R. BIAŁA PODLASKA  
Wydal zebrał kolel. Nr. *11/48*  
Do St. kol. *Jelenia Góra*  
On *14/11/48*

POW. ODCZ. P.U.R. w Białej Podlaskiej

Wydol *parwa, mydła, kawrony, cukier, olej, mąka, pszenica*  
*Przez szlak, kaszki, syrop, żytny, mól, sól, kawa, garb, olej*

Data 15.11.48 Podpis *[Signature]*

ZAREJESTR. DN. *29/11-48*  
NA PUNKCIE ETAPOWYM P. U. R.  
Jelenia Góra, za liczb. *57950*

Zadwinięcie  
*99220*  
na *14.11.48* wydano,  
do *29/11-48*  
Pow. Gdz. P. U. R. w Jeleniej Górze

Wydano:  
1. miodur  
1. kowul  
1. siemur  
1. nowoberski do użycia

Złoni 2. 11. 48

Posterunek Milicji Obyw.  
w IRENIE  
otrzymano dn.  
Nr. *Zamel do 10.11.48*  
Zachowanie dnia 18.11.48

P. U. R. Oddział Miejski Łódź  
Zarejestrow. Nr. *14208* dn. *2 XII 48*

A. D. R. Miejski Oddział w Łodzi  
Zaprowiantowano na *5* dni  
sygnata Nr. *1439* 17.11.48

Zarząd gminny w Jeleni.  
pow. Cwałickiego  
*Zamel do 10.11.48*  
*14.11.48*

Rewers tymczasowego dowodu tożsamości.



Ministerstwo Administracji Publicznej  
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Zaświadczenie Nr Lb. S. VIII 47478

na ulgowy przejazd osoby, przybywającej lub powracającej w ramach akcji repatriacyjnej z krajów Europy Zachodniej i Południowej i z krajów Z. S. R. R. oraz na uzyskanie ulgi na przewóz mienia, z kredytowaniem opłat na rachunek PUR.\*)

Ob. Lichowski Jerimier  
imię i nazwisko

legitymujący się jako repatriant dowodem NR Nr 057157

z dnia 6-XI-48 wydanym przez PUR w Białej Podl.

przybył do Polski z terytorium Z. S. R. R.

udaje się z grupą osób, powracających w łącznej

ilości osób 1

słownie jedna osoba

ze stacji Biała Podlaska

do stacji Jelenia Góra

i ma prawo do:

- 1) jednorazowego przejazdu w klasie 3 pociągu, w którym dopuszczony jest przewóz osób za opłatą, według tabeli T 75.
- 2) przejazdu wraz z grupą, pociągiem specjalnym z obliczeniem przewoźnego według stawki zł. 3 gr 50 osłokm..
- 3) nadania przewozu mienia, jako przesyłka zwyczajna wagonowa z obliczeniem przewoźnego za wagon według stawki 40 gr. za 1 osiokm\*\*).
- 4) nadania do przewozu mienia, jako zwyczajna przesyłka drobna z obliczeniem przewoźnego według stawki klas I i II obniżone o 50%\*\*).
- 5) nadania do przewozu mienia, jako przesyłka pośpieszna z obliczeniem przewoźnego według stawek klasy Po., obniżone o 50%\*\*).
- 6) nadania do przewozu mienia, jako przesyłka pośpieszna przyspieszona z obliczeniem przewoźnego według stawki Po., obniżona o 25%\*\*).
- 7) nadania do przewozu mienia, jako bagaż przewoźny ekspresową za opłatą, według tabeli BE za zniżką 50%).

Niniejsze zaświadczenie jest ważne tylko z jednoczesnym wyznaczeniem listu ewakuacyjnego (dla powracających z Z. S. R. R.) oraz zaświadczenia Punktu Przyjęcia PUR (kolejny różowego) dla powracających z kraju Europy Zachodniej i Południowej.

Ważne do dnia 29 listop 1948 r.  
(najwyżej 14 dni od daty wystawienia)

Biała Podl., dnia 18 r.  
(podpis podległego lub przewodniczącego) [Signature] (podpis wystawcy)



\*) niepotrzebne skreślić.  
\*\*) do każdego listu przewoźnego, kwitu przewoźnego, lub listu ekspresowego należy dołączyć oddzielnie zaświadczenie.

Zaświadczenie PUR'u na ulgowy przejazd koleją.



W dniu naszego wyjazdu wymieniliśmy adresy z Józkiem, Ryszardem oraz Wackiem i Leonem i pożegnaliśmy się z nimi serdecznie.. Obiecaliśmy sobie, że gdy tylko się zagospodarujemy, urządzimy spotkanie sybiraków.

W domu zastałem wszystkie moje ubrania i przedmioty osobiste w takim stanie jakbym nigdzie nie wyjeżdżał.../!/

Po tygodniu odżywiałem się już prawie normalnie. Mama przyzwyczajała mnie systematycznie do nowych potraw. Tłuszcz i mięso, którego tam w ogóle nie oglądałem, dozowała bardzo ostrożnie.

Był w domu mały piesek. Kręcił się pod nogami; był głodny. Pokruszoną słodką bułkę zalaną mlekiem powąchał i ominął obojętnie/?/

- Boże ! Spraw, abym już nigdy nie musiał powrócić do kraju  
"... gde tak wolno dyszyt czełowiek..." /!!!/





Wspólne zdjęcie sybiraków z Dęblina w dwa tygodnie po powrocie do kraju. Zygmunt z lewej strony, Maciek z prawej, autor w środku.

Dr med.  
Razimierz Wyrzykowski  
Dęblin - Irena

22-XI-1948

Zaswiadczenie lekarskie

Niniejszym zaświadczeniem, że w dniu 22 listop.  
1948r. zbadałem stan zdrowia ob. Zochowickiego  
Kazimiera, s. Stefana, ur. 1923r., zamieszkałego w  
Grenie, ul. Słaska nr 3, pow. Jarosławski.

Przy badaniu stwierdziłem u niego:

- 1) Obrzęki dolnych kończyn i twarzy (obrzęki gwałt.).
- 2) Ostabienie mięśnia sercowego z obniżeniem  
ciśn. krwi = 105/70 mm Hg.
- 3) Mierne i powolne wytrąby i bolesności  
w dolnej części żołądka.

4) Objawy niedokrwistości. 5) Prążki zębów i skorupki

Wydaje mi się, że za przyczynę choroby w tym  
przebiegu ob. Zochowickiego Kazimiera, celem przedsięwzięcia  
w P. U. R.-e.

Badamy wyprostę leczenia u lekarskiej dentysty  
i ewent. leczenia zdrażnawczy<sup>up</sup> w kładowej, duoniloch,  
Krypcy.

Orzeczenie lekarskie o stanie zdrowia autora w dwa tygodnie  
po jego powrocie do kraju.

Treść zaświadczenia lekarskiego:

"Dr med.  
Kazimierz Wyrzykowski  
Dąblin - Irena

22 - XI - 1948

Zaświadczenie lekarskie

Niniejszym zaświadczam, że w dniu 22 listop. 1948 r. zbadałem stan zdrowia ob. Kazimierza Żochowskiego, s. Stefana, ur. 1923 r., zamieszkałego w Irenie, ul. Śląska nr 3, pow. Garwolińskiego.

Przy badaniu stwierdziłem u niego:

- 1/ Obrzęki dolnych kończyn i twarzy /obrzęki głodowe/.
- 2/ Osłabienie mięśnia sercowego z obniżeniem ciśn krwi =105 / 70 mm Hg.
- 3/ Nieznaczne powiększenie wątroby i bolesność w okolicy woreczka żółc.
- 4/ Objawy niedokrwistości.
- 5/ Próchnica zębów i skorbut.

Wydaję niniejsze zaświadczenie na własną prośbę ob. Żochowskiego Kazimierza, celem przedłożenia w P.U.R. 'ze.

Badany wymaga leczenia u lekarza dentysty i ewent. leczenia zdrojowego np. w Kudowej, Dusznikach, Krynicy.

K. Wyrzykowski "





# ZWIĄZEK SYBIRAKÓW

Oddział w Warszawie



LEGITYMACJA

Nr 5783

*[Signature]*  
Ciepła

Kazimierz  
Imię ZOCHOWSKI 1923  
Nazwisko Rok urodzenia

Abornicza  
Adres Gen. Sikorskiego 13<sup>a</sup> 28

Ryszard R. H. Sidorowicz  
Prezes Sekretarz

Warszawa 14.02.83 r.

Legitymacja autora przynależności do Związku Sybiraków.

S P I S   T R E Ś C I

OD   A U T O R A .....	2
S Ł O W O   O   A U T O R Z E   I   J E G O   K S I A Ź C E.	4
A R E S Z T O W A N I E.....	9
W   W I Ę Z I E N I U.....	49
W   W A G O N I E.....	72
W   T A J D Z E.....	93
P O W R Ó T   D O   K R A J U.....	189